ŚWIĄTECZNY NUMER „DUNAJCA” W PODWÓJNEJ OBJĘTOŚCI

Zwierzenia Juliana Kawalca i Janusza Roszki ◆ Opowiadania Ernesta Hemingwaya i Juliana Kawalca ◆ Leszek Mazan rozmawia ze Sławkiem Cieślakiem, a Jerzy Leśniak z Buncolem ◆ Reportaże ze Szczyrzyca i Huby ◆ Refleksje o roku 1981 ◆ Wspomnienia Ireny Styczyńskiej ◆ Kim był Kostka Napierski? ◆ Sytuacja naszych uzdrowisk ◆ Eugeniusz Halicki o atmosferze Zakopanego w dawnych latach ◆ Foto-impresje Staszewskiego i Żaka ◆ Program telewizji ◆ Horoskop ◆ Krzyżówka — gigant.

DUNAJEC

TYGODNIK PZPR

Nr 49 — I (112 — 113) ROK IV Nowy Sącz 25 XII 1982 — 1 I 1983r. Cena 15 zł

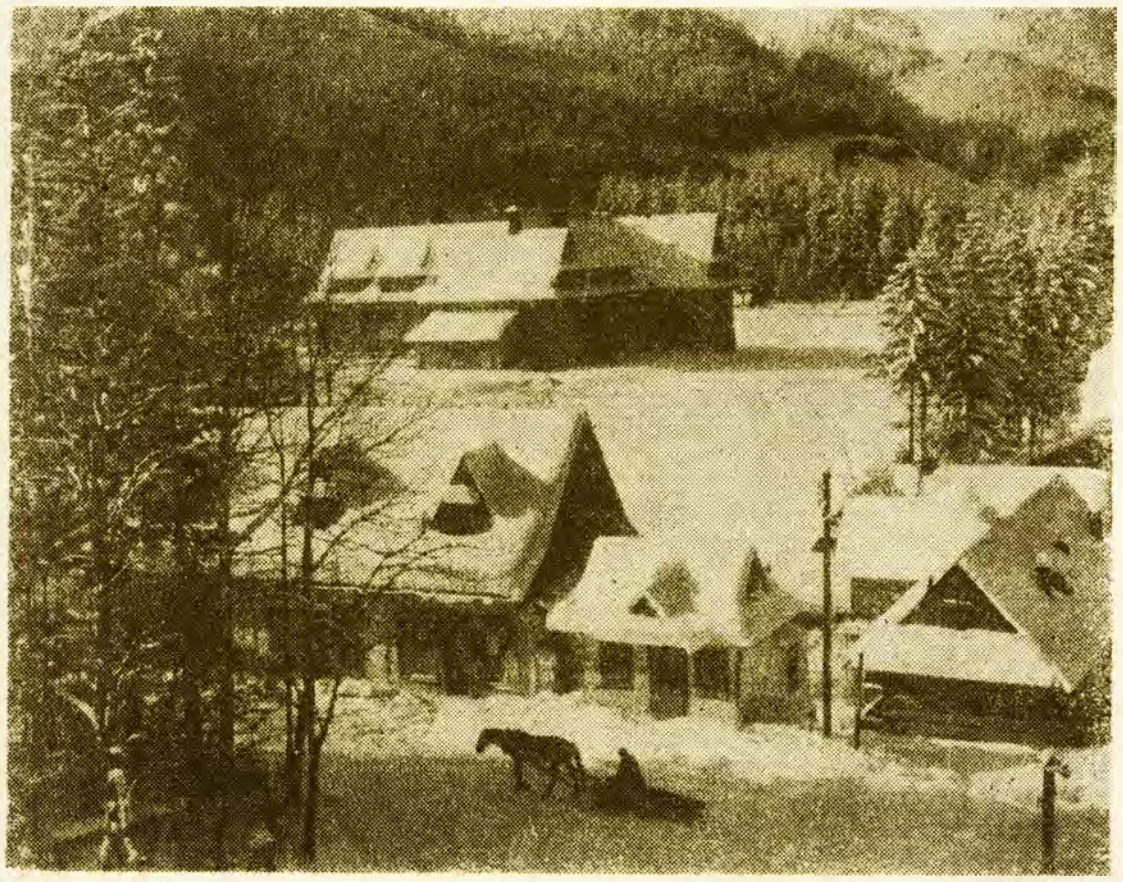

Krystyna Wrońska

Życzenia świąteczne

Cicha noc, święta noc
pokój niesie ludziom wszędzie...
Niech przyniesie jeszcze dom
choć w połowie taki sam,
jaki tutaj kiedyś stał.
Więc za oknem śnieg i wiatr,
a tu w środku pieca żar,
a tu w środku ja sprzed lat.
A na szybie mrozu kwiat,
ale w barwach jabłonkowy.
I niech pachnie jodłą dom
i niech pachnie dobrym słowem.

HORYZONT JAŚNIEJSZY

Uniknęliśmy wojny domowej, nie zamarzniemy z braku węgla, nie stoimy nocą w kolejkach, skończyło się strajkowe szaleństwo, ustały uliczne burdy. W polskim kalendarzu — nowa data. Graniczna. Zamykająca złowróżebny etap.

Tak jak nie wrócił Anders na białym koniu, tak nie powróci przedgrudniowy chaos. Wyroki historii są bowiem nieubłagane: **kto się pomylił w rachunku sił i możliwości, opuszcza polityczną scenę na taczki.** Ale osobliwy charakter starcia, jakie przeżyliśmy w Polsce, powoduje, że wyeliminowanie z gry kilku setek zajadłych antykomunistów, którzy manipulowali społecznym rozczarowaniem, wam jeszcze nie kończy. Pozostał przecież czad utrudniający pewnej części społeczeństwa pozbieranie myśli.

Pomyślny rozwój wydarzeń w kraju idącym ku odbudowie gospodarki i uładzeniu stosunków społecznych, zależy od postawy tej ogromnej gromady naszych rodaków, o którą toczył się bój. Pierwszy raz zdystansowali się oni wyraźnie od podjudzaczy dopiero 10 listopada, siedem tygodni temu. Czy na trwałe? Czy rozmaite fiksacje spędzone ze sceny, ale przecież tak agresywne nadal w życiu towarzyskim opiniotwórczych środowisk, ustąpią po dobrej woli?

Gorzka to prawda: mitomanów nie brakuje, a ludziom rozsądnym nie zawsze starcza odwagi cywilnej, by się otwarcie przeciwstawić chorym rojeniom facetów, którzy nie pogodzili się z porażką. Horyzont nad Polską jaśniejszy. Ale po różnych zakamarkach snuje się przedwczorajszy czad, blokuje dzieło reform, opóźnia normalizację. Może wietrzenie nie objęło jeszcze wszystkich kątów?

Zamiast świątecznego „kochajmy się”, proponujemy tedy refleksje biegnącą ku przyszłości: — Co to znaczy być patriotą dzisiaj? Kogo wspierać? Przegranych entuzjastów zejścia w podziemie? Dobrze urządzonych, lecz zionących nienawiścią do socjalizmu kawiarnianych politykierów? Dywersyjne rozgłośnie, które agitują za odmową? A któż wtedy zadba o to, żeby socjalizm głoszony z wysokich trybun nie uległ w praktyce ponownemu skrzywieniu? Zwłaszcza na dole, gdzie kontrola słabsza, a pokusy i przyzwyczajenia — nie zawsze czyste... Tego nikt za nas nie zrobi, to nasza wyłączna powinność i szansa.

Życzymy naszym Czytelnikom owocnych przemyśleń u progu Nowego Roku, a także satysfakcji z uczestnictwa w kształtowaniu rzeczywistości ku pospolnemu dobru. Kto zaś nie gotów jeszcze, by przystąpić do wspólnego dzieła, niech przynajmniej nie przeszkadza. Biec przeciw pociągowi nie warto.

„DUNAJEC" w stanie wojennym

Żegnając rok 1981 napisaliśmy: *bardzo nas ten rok poróżnił, niczego nie oszczędził, nałożył na barki trudne do udźwignięcia ciężary. Ale nie zrezygnowaliśmy z próby odnalezienia wspólnego języka w obliczu wyższej konieczności. Pójdziemy w nowy rok bardziej wyczuleni na fałszywą grę polityczną i jątrzenie, zdecydowani zrobić wszystko, by nie było gorzej, niż jest, zdecydowani nie zadać ani jednego ciosu ponad bojową konieczność. Każdy dzień przydaje nam otuchy: po szoku spowodowanym nową sytuacją nastąpiła mobilizacja wzajemnej życzliwości, instytucje funkcjonują sprawniej, niepewność ustępuje nadziei. Polska widziana znad Dunajca nie jest kłębowiskiem namiętności, lecz przedmiotem wspólnej troski.*

Przypomnijmy owe dwanaście wyjątkowych miesięcy, które minęły od chwili podjęcia historycznej decyzji przez Wojskową Radę Ocalenia Narodowego. Oto wybór tekstów, jakimi towarzyszyliśmy zdarzeniom roku 1982.

STYCZEŃ

Idzie o to, żeby po rozbiciu agresywnej opozycji kontynuować reformy społeczne i gospodarcze. Żeby nie uronić niczego, co postępowe w posierpniowym ruchu związkowym i w pozjazdowej Partii. Żeby oczyścić życie społeczne z nietolerancji, fałszu i nieuczciwości. Żeby otworzyć drogi awansu ludziom zdolnym i prawym. Żeby racjonalnie organizować zbiorowy trud i sprawiedliwie wynagradzać dobrą pracę. Innymi słowy — żeby socjalizmu nie niszczyć, lecz naprawiać.

Idzie też o to, żeby przywrócić jasność spojrzenia tysiącom ludzi zaczadzonych wrogą propagandą. Gdy przeanalizujemy krajobraz po bitwach minionego roku, trzeba będzie wrócić do idei dialogu i porozumienia, którym normalne, praworządne warunki tworzy stan wojenny wymierzony jedynie przeciwko nosicielom chaosu i planistom konfrontacji.

*

W pierwszym styczniowym numerze cała kolumna poświęcona zmianom personalnym w regionie. Sądy pracują pełną parą: spekulanci, złodzieje i awanturnicy polityczni otrzymują surowe kary. Z ulic zniknęli pijacy i chuligani. Odchodzą ze stanowisk naczelnicy, dyrektorzy i sekretarze, którzy nie podołali obowiązkom. Powstają rejonowe ośrodki pracy partyjnej. Działacze PZPR są ustawicznie obecni wśród załóg.

— Stan wojenny nie będzie trwał wiecznie — mówi JÓZEF BROŻEK w ZNTK. *— Trzeba więc myśleć o przyszłości i podjąć takie działania, które po przywróceniu spokoju pozwolą na normalne funkcjonowanie państwa. Proponuję, byśmy wspólnie poszukali odpowiedzi na najbardziej aktualne pytania: Co zrobić, żeby Partia odzyskała autorytet? Jaki ma być los ruchu związkowego? Co dalej z reformą gospodarczą? Jak przygotować wybory do samorządów i rad narodowych? W jaki sposób dotrzeć do młodzieży i spożytkować jej energię oraz wrażliwość dla dobra narodu?* Rozpoczął dyskusję FRANCISZEK JANICKI: *— Mniej szumnych tematów, a więcej spotkań twarzą w twarz z ludźmi kontaktowymi, kompetentnymi. Wy, towarzyszu sekretarzu, przychodziliście do nas w trudnych dniach. A inni? O związkach zawodowych powiem krótko: nie mogą być takie jak przed Sierpniem. Potrzebujemy ruchu związkowego z prawdziwego zdarzenia. Tyle, że bez strajków politycznych...*

*

Notujemy opinie przedstawicieli różnych środowisk. ELŻBIETA BIELEŃ z Gorlic: *— Okres stanu wojennego powinien być wykorzystany dla usprawnienia pracy urzędów, komunikacji, handlu, ukrócenia spekulacji, pasożytnictwa oraz załatwiania towarów dla pociotków i znajomych.* LUDWIK KAMIŃSKI I sekretarz KM w Nowym Targu: *— Komisarz wojskowy przy naszym udziale skontrolował funkcjonowanie miejscowego aparatu administracyjnego. Wyszło na jaw wiele nieprawidłowości, brak inicjatywy ze strony kadry kierowniczej, niewłaściwe wykonywanie obowiązków, pijaństwo w pracy. Wymierzono ostre kary, łącznie z wydaleniem z pracy.* TADEUSZ RABIAŃSKI, sekretarz KW: *—Chłop zbyt często musi chodzić po urzędach. Po prostu praca instytucji nieprodukcyjnych jest mało przemyślana. Potrzebne są usprawnienia eliminujące zbędne wędrówki obywateli. Zwłaszcza rolnika trzeba uwolnić od mitrężenia czasu.*

*

Powódź w rejonie Płocka wyzwala autentyczny ruch społecznej pomocy. Wyróżniają się aktywnością w zbieraniu darów i pieniędzy organizacje partyjne i młodzieżowe.

W kilkunastu miejscowościach i zakładach pracy Nowosądeckiego powstają Obywatelskie Komitety Odrodzenia Narodowego.

LUTY

Pierwsze w tym roku plenarne obrady KW ogniskują się na sprawach podstawowych dla Partii: jakie doświadczenia wynosimy z wielomiesięcznej walki politycznej; co trzeba zrobić, żeby właściwie wykorzystać warunki stanu wojennego dla uporządkowania swych szeregów; jak przyspieszyć odbudowę społecznego zaufania? Dyskutanci mówią o spustoszeniach, jakie w świadomości wielu ludzi pozostawiły lata siedemdziesiąte i rozchwianie poglądów w okresie posierpniowym.

JANUSZ TOMALSKI: *— Nie zmarnowaliśmy tygodni, jakie upłynęły od 13 grudnia, nie czekaliśmy z założonymi rękami. Wykorzystaliśmy ten czas, by bardziej drożnymi uczynić kanały informacyjne, by prowadzić rozmowy z załogami. Poszliśmy na trudne rozmowy z wieloma środowiskami. Czeka nas poszerzenie dialogu z nauczycielami, twórcami i działaczami kultury. Dzieło, które prowadzimy, zakrojone jest na wiele lat.*

WŁADYSŁAW MICHALUS *— trzeba sięgnąć znów do tego, co budowało zaufanie do Partii w latach odbudowy kraju: do etyki, do prawdy. Nie socjalizm się ludziom nie podoba, lecz to jak postępowaliśmy.*

Nie ustaje pomoc dla powodzian z Płocka ● Obfite opady śniegu komplikują dowozy ludzi do pracy ● W Bukowinie — „Góralski Karnawał", w Muzeum Okręgowym wystawa prac Nikifora, Jolanta Pęksowa prezentuje malarstwo na szkle w Tarnowie ● Zaostrzenie dyscypliny społecznej i blokada przemieszczeń pomiędzy województwami zmniejszyły rozmiar przestępczości ● Braki surowców i materiałów zakłócają produkcję niektórych zakładów przemysłowych. Niedostatek akumulatorów i ogumienia głównym zmartwieniem PKS-u ● Kłopoty z zaopatrzeniem rolników w węgiel ● Wznowiły działalność niemal wszystkie placówki kultury w Nowosądeckiem ● Na spotkaniu partyjnego i ZSL-owskiego aktywu gminnego z goryczą mówiono o wzbierającej fali antychłopskich nastrojów w miastach ● „Pastorałki Polskie" — Jerzego Harasymowicza wystawił sądecki teatr Domu Kultury Kolejarza ● Konkurs folklorystyczny „Zima spiska" odbył się w Niedzicy ● Podpis pod rysunkiem satyrycznym na ostatniej kolumnie: **„Co? Prokurator mnie wzywa? Jeszcze niedawno to ja wzywałem prokuratora".**

MARZEC

Przeciwnicy polityczni sformułowali hasło odwetu: **zima wasza, wiosna nasza.** Złowieszcze to hasło. Kontrhasło patriotów brzmi: wiosna wspólna. Wojciech Jaruzelski na Plenum KC stwierdził, że nadzieje na odwrócenie wydarzeń w Polsce są niebezpiecznym złudzeniem i groźną pomyłką: **— Wiosna nie będzie ani „nasza" ani „wasza" — będzie po prostu polska i socjalistyczna.**

*

W „Myślach tygodnia" cytat z wystąpienia Generała: *— Jeżeli robotnicy stoją w kanale naprawczym po kolana w wodzie, a bezduszna administracja nie reaguje na ich protesty — to właśnie Partia jest od tego, aby stanąć po stronie robotników. Jeżeli w rozdziale mieszkań, w ustalaniu premii, w handlu lub urzędzie występuje niesprawiedliwość lub ludzka krzywda — pracujący uczciwie Polak powinien wiedzieć, że Partia będzie jego obrońcą.*

*

W przyspieszonym trybie przebiega proces rozliczania ludzi, którzy zawiedli społeczne i partyjne oczekiwania. Odchodzą ze stanowisk i usuwani są z szeregów partyjnych nieuczciwi i nieudolni. Są również przypadki cofnięcia kar pospiesznie wymierzonych, niesprawiedliwych ● ANDRZEJ KOWALCZYK omawiając treść listów kierowanych przez obywateli do Partii: *— Najczęściej krytykę wywołuje marnotrawstwo, nieróbstwo, zła jakość wyrobów, wadliwe funkcjonowanie usług i braki towarów w handlu. Wielu piszących skarży się na złe stosunki międzyludzkie w zakładach pracy. Spadła ilość skarg dotyczących opieki społecznej* ● Sprzeciw klientów wywołują zamknięte w soboty sklepy z artykułami przemysłowymi ● JERZY LEŚNIAK analizuje zatrudnienie w przedsiębiorstwach i instytucjach obsługujących rolnictwo. Wnioski — niewesołe ● Wiele instancji i organizacji partyjnych śmiało podejmuje zaniedbane sprawy społeczne. ELŻBIETA GLINKA relacjonuje Plenum KM w Nowym Sączu poświęcone niedomogom służby zdrowia ● Działacze OKON-ów prezentują na łamach „Dunajca" pierwsze doświadczenia i refleksje ● W Zakopanem trwają Dni Muzyki Karola Szymanowskiego ● Rozpoczynamy polemikę z handlowcami i producentami pieczywa oraz wędlin ● Lektorzy partyjni wsparci kadrą oficerów LWP prowadzą szeroką akcję wyjaśniającą złożone problemy społeczne, polityczne i gospodarcze Polski ● Głos ANDRZEJA JAZOWSKIEGO w dyskusji nad Deklaracją ideowo-programową PZPR: *— Nie wolno lekceważyć spraw codziennych, z pozoru błahych. Według nich osądza się władzę w terenie. Partii potrzebna jest wrażliwość na krzywdę ludzką. Ponadto Partia musi być zdolna do stałego kontrolowania tego, czy sama działa prawidłowo, czy jest wyrazicielką interesów mas ludowych* ● ROMAN KOSTANECKI w cotygodniowym komentarzu o działaniach Partii w regionie cytuje ocenę Egzekutywy KW dotyczącą handlu: *— Część zaniedbań wynika z nieudolności kadry kierowniczej. W związku z tym w pionie WZSR odwołano ze stanowisk 10 prezesów i wiceprezesów gminnych spółdzielni oraz tyluż dyrektorów i ich zastępców w pionie WSS. Nie udało się zlikwidować sprzedaży protekcyjnej. Kontrola wewnętrzna w organizacjach handlowych jest bezużyteczna, nieskuteczna.*

KWIECIEŃ

Korespondent londyńskiego „Timesa" donosi z Warszawy, że Wałęsa *„strzela sobie z wiatrówki w ogródku domu, gdzie go trzymają, bez przerwy pali, rozmawia z księżmi, hoduje coraz dłuższą brodę i czeka, by do sprawy wtrąciła się Czarna Madonna".* Natomiast w ulotce podpisanej przez podziemną „Solidarność" Małopolski rewelacja („od naocznego świadka"): *„Wojenna metoda przeprowadzania wywiadów przez Dziennik Telewizyjny — ekipa złożona z dwóch milicjantów i reportera zatrzymuje przechodnia. Milicjanci legitymują, a następie reporter zadaje pytania."* Wciskanie ciemnoty przez „wiarygodnych" trwa!

*

MIECZYSŁAW ROKITA na Plenum WKKP: *— Nasze zadanie to strzec Statutu i jedności ideowo-organizacyjnej Partii, opanować posierpniowy zamęt w głowach i rozprężenie dyscypliny, słuchać robotniczych opinii, ale nie ulegać każdemu wahnięciu w nastrojach, kształtować je rzeczowymi argumentami, bronić swych racji, obnażać miałkość wrogiej propagandy. Czas taktycznych kompromisów pozbawił nas wielu złudzeń; nie z wszystkimi ludźmi warto paktować. Cierpliwość, owszem, wobec zbałamuconych, targanych rozterkami. Ale nie wobec wroga, który łamie prawo, burzy ład i sieje nienawiść. Oczywiście — bez odwetu, praworządnie.*

Równolegle, na innym froncie: przeciw pustosłowiu, lenistwu i znieczulicy, przeciw marnotrawstwu i lekceważeniu obowiązków, przeciw pasywności, draństwu i głupocie — czyli ustawiczne baczenie, by kadry kierownicze miały czyste ręce, a głowy mądre.

*

Spotkanie działaczy OKON, komisarzy wojskowych i kierownictw newralicznych politycznie instytucji wojewódzkich. Konkluzje: **samymi słowami socjalizmu nie odrodzimy. Rzecz w tym, żeby zespolić teraz patriotyczne siły, rozszerzyć pole działania grup inicjatywnych. Niech każdy robi przynajmniej to, co do niego należy. Demokracja, ale bez anarchii. Postulaty w powiązaniu z realnymi możliwościami. Więcej uwagi poświęcić młodzieży.**

*

Podstawowe organizacje partyjne w Kościelisku i Witowie krytycznie oceniły stosunek części pracowników administracji terenowej do interesantów ● Egzekutywa KW poświęciła posiedzenie tematyce młodzieżowej ● Konsul Generalny ZSRR w Krakowie na spotkaniu z aktywem Rabki ● Plenarne posiedzenie WKR na temat zadań w porządkowaniu sytuacji wewnątrzpartyjnej ● W artykule o funkcjonowaniu Komisji do spraw pracy cytujemy rzecznika prasowego rządu: *„Niekiedy różnymi poczynaniami personalno-politycznymi powoduje chęć działaczy wzięcia odwetu za przeżyte upokorzenia. Częściej powoduje nimi dogmatyczna ciasnota myślowa i brak wyobraźni. Trudno ocenić na ile wypaczenia te są powszechne. Można tylko stwierdzić, iż są groźne* ● Członkowie Partii z trzech wsi na terenach zalewowych zbiornika czorsztyńskiego kolejny raz upomnieli się o praworządne traktowanie miejscowych rolników ● Redakcyjna dyskusja o sztuce dziedziczenia ● Perspektywy ożywienia działalności kulturalnej na wsi rozważano podczas narady zwołanej przez WK ZSL ● Kontrowersje w kwestii prawa do strajku podczas powszechnej debaty o przyszłości związków zawodowych ● Trwają przygotowania do wiosennych prac polowych ● Wielkanoc minęła spokojnie ● W Tatrach nawrót zimy.

MAJ

55 tysięcy mieszkańców Nowosądeckiego w Pierwszomajowym Święcie ● Patriotyczne manifestacje w rocznicę Konstytucji 3 Maja ● Liczne spotkania z okazji Dnia Zwycięstwa ● Skromniejszy program Dni Kultury, Oświaty, Prasy i Książki ● Sesja Rady Narodowej w Krynicy zatwierdza plan zagospodarowania przestrzennego uzdrowiska i gminy ● Na Plenum WK ZSL — pierwszym w stanie wojennym — z troską o wychowaniu młodzieży wiejskiej, o nierzetelnych usługach dla rolnictwa i wadliwym funkcjowaniu służby rolnej ● Zespół „Dunajca" na zaproszenie Komendy Chorągwii ZHP przez trzy dni opracowywał z harcerzami „raport" z wojennej przeszłości Nowosądeckiego. Wycieczki, spotkania z bojownikami o niepodległość, dyskusje, studiowanie materiałów historycznych — ożywiły patriotyczne uczucia i wzbogaciły wiedzę uczestników spotkania ● Kronika zmian kadrowych w regionie jest najpopularniejszą rubryką naszego tygodnika ● Mimo agitacji wrogów spokoju społecznego dzień 13 maja nie zaowocował strajkami ● Trwają przy-

(CIĄG DALSZY NA STR. 4—5)

2 DUNAJEC

ADAM OGORZAŁEK

Bój to nasz nie ostatni

Mój ojciec miał dwadzieścia trzy lata, gdy z Oleandrów pomaszerował w Pierwszej Kadrowej ku niepodległości. Trzydzieści lat później był w Polskiej Partii Robotniczej. Długą drogę musiał przejść legionowy oficer, by trafić do czerwonych.

Przypadek zdarzył, że startowałem w dorosłość również przy krakowskich Błoniach. Miałem dwadzieścia jeden lat, gdy podszedłem do mikrofonu na scenie Starego Teatru, by zaprosić Józefa Cyrankiewicza do październikowej Rotundy, która chciała wiedzieć, czy nadal sądzi, że rękę podniesioną w Poznaniu należy uciąć. Uważałem się wtedy za czerwonego i nic w tym dziwnego, skoro się miało takiego ojca. Gdy moja Partia uznała, że nie jestem dość partyjny, gdy wziąłem pierwszą gorzką lekcję polityczną, pocieszał: — *Wybiegając na boisko, musisz liczyć się z tym, że możesz być sfaulowany!*

Od tamtego czasu minęło ćwierć wieku i myślę, że moja droga nie była ani łatwiejsza, ani mniej pogmatwana, niż droga mojego ojca. Gdy zamiast ulotek zacząłem pisać artykuły w „Gazecie Krakowskiej", gdy przeżyłem Sierpień 1968 w czeskiej Pradze i polski Sierpień nad Dunajcem, gdy zabliźniła się pamięć o pierwszych razach otrzymanych od najbliższych, gdy doskwierała nowa rana zadana przez tych, którym się zdawało, że podnieśli nasz październikowy sztandar, gdy to wszystko miałem już za sobą — nadszedł niedzielny ranek 13 grudnia.

Mało od tego dnia piszę. Wystrzelałem się wcześniej w wielomiesięcznej wojnie na dwa fronty, w której przeciwnicy z lewa i prawa usiłowali wydziedziczyć nas właściwie z wszystkiego. Jeśli trzymałeś się wtedy środka drogi, byłeś niewygodny i dla Cichońskiego z tutejszej „Solidarności", który łgał w radiowęźle o amerykańskiej żywności rzekomo nie dopuszczanej przez nas do polskich portów, i dla moich kolegów z „Krakowskiej" którzy fałszując historię i ekscytując dziesiątkami ćwierć prawd podniecali czytelnika, strojąc się na dodatek w piórka cholernie „obiektywnych".

Jeśli odpowiedziałeś Cichońskiemu, jeżeli napisałeś prawdę o wejściu milicji do sądeckiego Ratusza okupowanego przez politycznych awanturników, jeżeli opublikowałeś fotoreportaż o tłustych babach idących w „marszu głodowym" — dostawałeś nominację na betona.

Ja tę nominację dostałem szybko i szybko zakosztowałem, jaka demokracja się szykuje. Apostołowie nowego ładu — długo przed szubienicami Jurczyka — dali nam posmakować swej zapiekłej nietolerancji.

Cała moja energia poszła w tę wojnę na słowa. Myśmy jej nie wygrali, choć racja była przy nas. Myślę czasami, że może nie należało zwlekać z opublikowaniem materiałów obciążających tutejszych Rulewskich, Gwiazdów i Jurczyków. Nie chcieliśmy jątrzyć, wzdragaliśmy się przed metodami wroga. Milczałem więc, gdy podstrzelona sensatka wyrastała na ideologa i publicystkę „Gońca Małopolskiego", gdy rabuś i chuligan redagował biuletyny oczerniające ludzi uczciwych, gdy niedowarzony ambicjonalista sięgał po władzę na południu Polski. Oni ferowali wyroki, dyktowali ułegłym komisjom „rządowym" swoje decyzje, a myśmy wytaczali argumenty, wzywali do opamiętania, wyjaśniali...

Choć brano naszą powściągliwość za słabość, tak trzeba było postępować. Choćby po to, żeby tamci nie chodzili dziś w aureoli męczenników. Potrzebny był czas, by ich pycha, arogancja i pospolite świństwa wyszły na wierzch, jak szydło z worka. Ten czas był potrzebny nie nam, lecz ludziom, o których zabiegaliśmy, by przejrzeli i dokonali wyboru. Nie zmarnowaliśmy tamtego roku, nie straciliśmy cierpliwości, warto było trwać przy swoim.

Gdy jednak ład został przywrócony, przyszło zapłacić za tamte napięcia niechęcią do pisania. Nie mogę się jej pozbyć. Mam wiele zaczętych brudnopisów. Łapię na papier zaledwie okruchy mijającego czasu, luźne refleksje. Te niedokończone notatki próbuję teraz poskładać do kupy.

✲

Największym bogactwem tej górskiej krainy są niepokorni, suwerenni w myśleniu, do przesady ambitni ludzie. Myślę o kilkudziesięciu najwybitniejszych, z którymi socjalizm nie znalazł dotąd wspólnego języka. Tutaj najdłużej tliły się ognie wojny domowej, ale to tylko częściowo tłumaczy, dlaczego myśmy tej karty nigdy porządnie nie rozegrali.

Tyle razy ich urażono, nadepnięto na czułe miejsca. Tyle razy nie posłuchano, zlekceważono przestrogi —aż zamknęli się w sobie, wyemigrowali w świat wewnętrznych przeżyć i uprzedzeń. Przywrócić ich dla życia publicznego, przekonać, że tym razem nie poprzestaniemy na kurtuazyjnych umizgach, których nie znoszą — to Twoja Sekretarzu szansa i Twój obowiązek.

Boję się, że lada dzień wprzęgniesz się w kierat sekretarzowania i zostawisz na boku inteligencką działkę. Dlatego serio radzę: każ sporządzić listę osób posiadających autentyczny autorytet, wartościowy mózg i bezinteresowne serce w poszczególnych wspólnotach lokalnych regionu. Następnie wyślij po nich samochód i zaproś na spotkanie. Zabierz ze sobą na to spotkanie swych najsprawniejszych współpracowników, którzy skrupulatnie zanotują wszystkie — nie przerastające obecnych możliwości — dezyderaty, i natychmiast, energicznie przystąpią do ich realizacji. O pozostałych propozycjach powinieneś otwarcie powiedzieć, że w tej chwili im nie podołasz. To będzie test, który pokaże, ile jesteś wart.

Nie czeka cię od razu serdeczność, nie usłyszysz przymilności na powitanie. Skoro jednak dowiedziesz, że dużo potrafisz, zyskasz ich wsparcie. Kolejne spotkania, otwarcie swych drzwi, gdy będą Cię potrzebować, i poważne wypełnianie zobowiązań, jakie zaciągnąłeś — tak sobie wyobrażam początek współpracy z naszą inteligencją, z tą jej częścią, która nie jest z nami, ale i nie jest przeciw. To są drożdże warte pozyskania.

✲

Wróciłem właśnie z gorlickiego „Glinika". I sekretarz KW uczestniczył w zebraniu oddziałowej organizacji partyjnej. Obskurna, niedogrzana świetlica, huk maszyn za ścianą. W bogatej, ważnej fabryce nie ma przyzwoitego kąta, żeby porozmawiać? Równocześnie w tym małym województwie buduje się tyle nowych kościołów...

To dobrze, że wiele się w naszych obyczajach zmienia. Już nie jest tak, żeby na prezydialnym stole stały butelki z sokiem, a na pozostałych — woda mineralna. „Dwór" w czasie przerwy nie idzie na inny posiłek, niż cała reszta. Ale nie przesadzajmy w skromności. Dobrą literaturę polityczną trzeba wydawać pięknie, żeby zalecała się również oku. Imprezy możemy robić rzadziej, ale staranniej, żeby zaskakiwały pomysłowością i pobudzały emocjonalnie. I budujmy nie tylko obiekty sakralne. W zimnie i hałasie, w odrapanych salkach można ludzi zwerbować do buntu, do rewolucji, ale nie można ich skłonić do poważnej dyskusji o potrzebie utrwalania zdobyczy rewolucji. Katowicki „Spodek" i inne fety w michotkowym stylu nie zyskały społecznej aprobaty. Nie zyska jej wszakże w czwartym dziesięcioleciu władzy ludowej także ubożuchna broszura i świetlica — wypisz, wymaluj z ery pierwszych subotników.

Po to mamy telewizję, po to powinniśmy mieć magnetowidy, żeby najmądrzejsi i najlepiej mówiący ludzie Partii każdego dnia mogli — dzięki nowoczesnej technice — nawet w zapadłej Pipidówce zjednywać dla naszej sprawy.

Lekcję nowoczesnej propagandy dał nam przeciwnik. Bądźmy mądrzy choćby po szkodzie.

✲

Nie brakuje nam koncepcji, mamy uchwały, które przynoszą chlubę kolejnemu pokoleniu polskich komunistów. Brakuje natomiast przekładni uruchamiającej mechanizm przenoszenia naszych programów do praktyki. To nie tylko wróg — wewnętrzny i zewnętrzny — pomniejszył swą kontrpropagandę dorobek Nadzwyczajnego Zjazdu. W świadomości obywateli odciskają się niekorzystnie wszelkie rozstępy między tym, co słyszą, a tym, co widzą. Na pewno liczą się posunięcia rządu w skali makro. One dużo już uładziły w nastrojach, dały minimum poczucia bezpieczeństwa. **Ale każdego niemal dnia w osiedlowym sklepie, w autobusie, w poczynaniach terenowej administracji — weryfikują się nasze programy. W tej mini-skali socjalizm jest mało zrywny, pasywny. Potykamy się o drobiazgi.**

Dlatego tak istotna w robocie partyjnej jest troska o „ciąg dalszy" owych wielkich programów. Na co dzień liczy się konkret. Każde zebranie powinno się więc kończyć załatwieniem przynajmniej jednej sprawy.

Nasz ruch zrodził się z buntu, z niezgody na zastany świat. Damy się wydziedziczyć ze stuletniej tradycji i — co gorsza — z praw do przewodzenia, jeżeli nie będziemy wyrażać uzasadnionego niezadowolenia, a kiedy trzeba — także gniewu ludzi pracy. Zrośnięcie się Partii z administracją państwową i gospodarczą poszło stanowczo za daleko.

„Ta sama, lecz nie taka sama" — znaczy przede wszystkim chroniąca życie zbiorowe przed schorzeniami, walcząca z butą, tępotą i amoralnością, potrzebna milionom ludzi, bo stająca widomie po ich stronie, nie identyfikująca się z urzędami, gdy się mylą.

Możemy i musimy być partią wrażliwą na zło, odważniejszą w przeciwstawianiu się w porę niesprawiedliwości, niekompetencji i znieczuleniu na drobne nawet sprawy drażniące utrudzonego człowieka. Jesteśmy potrzebni, gdy konkretami umiemy udowodnić nie tylko dobre intencje, lecz także zdolność przeforsowania słusznych spraw. Tego się nie udowodni referatami i kolejnymi posiedzeniami plenarnymi. Partia to przede wszystkim tysiące jej organizacji podstawowych. One — swym działaniem lub biernością — kształtują wyobrażenia naszych rodaków o tym, kim my naprawdę jesteśmy. Nieodwaga POP, ich papierowa egzystencja, byle jak przygotowane, formalnie tylko przeprowadzone zebrania, przemilczanie trudnych spraw środowiska, nie podejmowanie inicjatw, brak ofensywności w kręgach młodzieży — to śmiertelne niebezpieczeństwo dla masowej partii politycznej. Ciężar pracy partyjnej przesuwa się więc w dół.

✲

Pierwszy Maja. Stoimy na płycie Rynku. Gorzko nam było przed rokiem w tym miejscu. Dziś ludzi nie brakuje. Wysłuchali przemówień, nastrój pogodny, pochód na pewno się uda.

Tylko dlaczego przy mikrofonie widzę towarzysza R? Ostrzegaliśmy sekretarza KM, że to zły wybór. Że kiedyś... od biedy...

— Zaczyna się dAfilada! — grzmi w megafonach głos mistrza byłych ceremonii powiatowych. Młodzież wybucha śmiechem z powodu tej dafilady. Zanim ostatnie kolumny odejdą spod Ratusza, przełkniemy jeszcze kilka podobnych pigułek. Czy nie jesteś, Sekretarzu, zażenowany? Czy posłuchasz nas za rok?

Z zawstydzeniem odchodzę wśród rozbawionego tłumu, nad którym huczą głośniki: — *Wy z Kościelnej, nie spieszcie się! Jeszcze nie przyszedł Wasz czas!*

Po Marcu opowiadano w naszym mieście złośliwą anegdotę o towarzyszu K. Na wiecu tak się zagalopował, że wzniósł okrzyk: — *Syjoniści do Syjamu!* Ta anegdotka na pewno została zmyślona. Ale dafilady nie wymyślił wróg. Samiśmy je sobie zgotowali.

Oto jedna z barier oddzielających nas od społeczeństwa! Ćwierć inteligencja pchająca się do roboty propagandowej. Drętwe hasła na murach osiedli i fabryk, dęte referaty, infantylne popisy w części „artystycznej" różnych akademii „ku czci".

Tak nie wolno postępować ze społeczeństwem wykształconym, rozgarniętym i nadwrażliwie krytycznym wobec naszych publicznych wystąpień. Szczególnie młodzi — bezlitośni wobec każdej nieporadności — nie znoszą bylejakości, niedokształcenia i dafilad. Czują w tym fałsz, śmieją się. Nie jest to dobry, przyjazny nam, śmiech.

✲

W ubiegłym roku zgłosiłem postulat wydania w estetycznym kształcie zwięzłej wykładni naszego pojmowania socjalizmu. Mimo iż otrzymaliśmy już projekt Deklaracji ponawiam propozycję przełożenia na zrozumiały dla milionów język — naszych dokumentów, uchwał i przemówień. Myślę o jakichś sześciu, ośmiu wypowiedziach, które byłyby dziełem najwybitniejszych partyjnych piór.

Nie wystarczy mieć rację. Trzeba ją wprowadzić pod strzechy. Polska się nie zawali, jeśli tych kilku ludzi urlopujemy, uwolnimy na kwartał od innych zajęć. Powinni oni dać rozchwianemu społeczeństwu, które przeszło przez wielomiesięczne perfidne „pranie mózgów", odpowiedź na pytania trudne wywołujące do dziś kontrowersje. Nie sterylne chłodne teksty, lecz osobiste, mądre i pięknie napisane wypowiedzi.

Idzie mi o „dozbrojenie" aktywu, ale także o pomoc nauczycielom i uczciwym ludziom, którzy mają odwagę samodzielnie myśleć. Idzie mi o kontratak na wysokim poziomie argumentacji i równocześnie o dzieło sztuki propagandowej pobudzające emocje czytelnika.

W oczyszczającym ogniu przemian spłonęło niestety, także wiele zaufania społecznego. Nie powinniśmy czekać, aż fakty, które stwarzamy, przekonają wątpiących. Prawdzie trzeba pomóc — po prostu głosząc ją. Nie tylko w prasie, radiu i telewizji. Środkami masowego przekazu rządzi pewien pośpiech i powierzchowność. Upominam się więc o coś więcej: o literaturę polityczną, o książkę napisaną zbiorowo przez kilku utalentowanych towarzyszy, którzy przemówią sobą w naszym imieniu.

Uwierzyliśmy chyba, że wiedza o naszych dążeniach, o naszej wizji przyszłości — jest powszechnie znana. To nieprawda. Dlatego tak łapczywie czytano prymitywne broszury opozycji politycznej. Dla wielu — zwłaszcza młodych — były one pierwszym dostępnym źródłem wiedzy o rodowodzie współczesności. Stać naszych intelektualistów na książkę mądrzejszą i prawdziwą. Każde pieniądze warto wydać, by znalazła się ona szybko w powszechnym obiegu.

✲

W piątek przed Pierwszym Maja brakło w mieście chleba. Teraz — przed 13 czerwca — też. Ludzie biegający w nerwach od sklepu do sklepu mówią, że to nie przypadek. Wietrzyłbym w tym rzeczywiście sabotaż, gdyby nie to, że od paru miesięcy gromadzę dowody absolutnej indolencji tutejszych handlowców. Wyjaśnienia otrzymuję na poziomie godnym przedszkolaków. Poważni, dobrze opłacani prezesi, z naszą rekomendacją na dodatek... Zupełny brak odpowiedzialności, antytalenty organizatorskie. Gdyby w kraju zapanował dostatek żywności i innych dóbr konsumpcyjnych, zadławiliby się nadmiarem towaru, skoro nie potrafią handlować dziś, kiedy jest go mało.

Relikty z epoki błędnej polityki kadrowej. Każdego dnia umacniają barierę oddzielającą nas od ludzi pracy. Wierzę, iż padną niechlubnie, nie utrzymają swych stanowisk. Tylko dlaczego to jeszcze trwa? Ani politycznie, ani moralnie nic nas z tym barachłem nie łączy, wszystko dzieli. „Białe rękawiczki" jakie sobie założyliśmy kiedyś, nie zostały jeszcze zdjęte! Jeszcze za dużo tolerancji w lokalnych kierownictwach partyjnych! A prości ludzie nie na nieudolnych pomstują, lecz na władzę. Ten wrzód musimy a m p u t o w a ć.

(Fragment tekstu nagrodzonego w konkursie „Życia Partii")

DUNAJEC 3

IRENA STYCZYŃSKA

GODY MOJEJ MŁODOŚCI

Pierwszym zwiastunem nadchodzenia zimowych świąt był organista. Nieduży, poruszający się sztywno, z chłopska, ale starannie w sukienny przyodziewek ubrany, na nosie małe, w drucianej oprawie okulary, siwy wąs według c. k. austriackiej mody w górę, ku oczom, nastroszony. I głos, głos bardzo uroczysty, namaszczony, dzwonny. Wręczając matce opłatki pilnie baczył, ile też ofiary zań otrzyma. Ciekawie zerkaliśmy do koszyka z opłatkami, czy też między białymi i kolorowy się znajdzie. Ten kolorowy był przez nas najbardziej oczekiwany. Spory, kto go dostanie, były zgiełkliwe, dopiero na upomnienie matki przycichające.

W domu, przed Bożym Narodzeniem krzątaniny było sporo. Utrapieniem nas, dzieci, było przedświąteczne bielenie izb domu. Pootwierane drzwi i okna chłód wpuszczały, porozstawiane sprzęty, o które obijaliśmy się przed łajaniem dorosłych zmykając, przeszkadzały. W cebrach drogę zastawiających „siwkowane" wapno; ono także na naszych ubraniach, włosach, rękach.

Kuchnię bieliło się najpóźniej. Obszerna, piec duży z okapem. Sterta polan drewna na podłodze. Na sklepieniu pieca chlebowego suszące się sosnowe polana, długości pieca piekarskiego, do pieczenia świątecznego chleba przygotowane.

Ale dużo, dużo wcześniej niż grudniowe do świąt przygotowania — bo od żniw zwykle — tuczyło się przeznaczonego na świąteczne kiełbasy wieprza, jęczmiennej mąki i mleka mu nie żałując. Kłuło się go dopiero wtedy, kiedy doszedł do takiej wagi, by połowę w nim tłuszczu, a połowę mięsa było.

Na parę dni przed Świętami przychodził któryś z sąsiadów, przy sprawianiu wieprza pomagając. Czekaliśmy niecierpliwie, by otrzymać prosto z wędzarni specjalnie dla nas zrobione, nieduże „dziecinne" kiełbasy.

Potem, w wielkim, drewnianym, z jednej kłody drewna wydłubanym korycie marynowały się połcie słoniny w pasy krojonej i mięso na zimowe jadło przygotowane. Za piecem suszyło się sadło w dwie błony sznurkiem zaszyte — omasta i przysmak do codziennej kapusty z grochem, przynajmniej do Wielkanocy mające starczyć.

W wieczór przed dniem wigilijnym rozczyniało się w dzieży zaczyn na chleb. Chleb codzienny pieczono na zakwasie, świąteczny, dla łagodniejszego smaku, na drożdżach. Stawiało się dzieżę blisko ciepłego pieca, by ciasto dobrze fermentowało.

Nadchodził oczekiwany dzień wigilijny, na który dzieci były wcześniej przygotowywane przestrogami: bądźcie grzeczne, to cały rok grzeczne będziecie, nie płacz, bo cały rok przepłaczesz... Nie daj Boże, by w ten dzień karanym być, bo już na samą myśl, iż cały rok pasek — czy dziadkowa laska, którą nas straszono — w ruchu będą, o chlipanie przyprawiało.

Najbardziej jednak pamiętam głód w tym dniu. Zwyczaj domowy nakazywał, by w dzień wigilii post ścisły zachowywać, a więc jeno raz dziennie jeść do syta. Dostawało się więc na śniadanie czarną kawę, domowym sposobem z jęczmienia i żołędzi dębu paloną, do tego suchy chleb. Mleka w tym postnym dniu nie używało się do żadnych potraw. O tym „głodnym" śniadaniu doczekiwało się przez dzień cały wigilijnego obiadu.

Od bardzo wczesnego rana ruch w domu duży bywał, choć jakby przyciszony. Starano się nie hałasować, ani polanami drewna na podłogę przed piec wrzucanymi, ani nie nawoływać się ostro. Polecenia Matki i Dziadka, zwykle energicznie wydawane, nieco przyciszonym głosem mówiono.

Póki siostry ojca mieszkały z moimi rodzicami wspólnie, jedna z nich ciasto na świąteczny chleb miesiła. Dodawało się do wyrośniętego rozczynu serwatkę, jaj kilka i na drobnym sicie razową pszenną mąkę wysianą.

W momencie rozpoczynania mieszania chleba rozpalało się w piecu piekarskim ogień. Trzaskały wysuszone drewna, przy sprawdzaniu, czy drewno się w piecu wypala, iskry przez drzwiczki na kuchnię pryskały. Gdy dużo ich było, mówiło się „dobre będą urodzaje". Kiedy chleb upieczony wyjmowało się z pieca, kładło się go na długą chropawą ławę kuchenną na czterech ukośnie od się rozstawionych kołkach stojącą, „dziadkową" zwaną, bo przezeń z jego rodzinnego domu w Limanowskiem, na nowe siedlisko przywiezioną. Prędko obmywało się gorące bochny wodą, by chleb błyszczał, a skórka jego stwardniała — dłuższą świeżość chleba chroniąc.

Po upieczeniu chleba przepalało się w piecu po raz wtóry i wtedy piekło się kołacze z serem, także z razowej, a nie pytlowej mąki.

Był zwyczaj w rodzinnym domu, iż wigilijne potrawy przygotowywało się z tego, co własna ziemia rodziła Trudziły się matka moja i siostry ojca, by przygotować wigilijny na grzybach suszonych barszcz czerwony z ziemniakami (barszcz taki zakiszano w beczce zalewając jesienią pokrajaną ćwiklę deszczówką, dla uzyskania ciemniejszego koloru i gęstości płynu). Drugą potrawą była kapusta z okrągłym cukrowym grochem, następnie kasza jęczmienna z suszonymi śliwkami gotowana, karpiele na słodko i „garusz" z suszonych gruszek, jabłek i śliwek.

W domu mojego wiejskiego dzieciństwa choinki nie było. Ojciec wychodząc tradycyjnie na wigilijne polowanie przynosił z lasu gałązki jodły. Siostry ojca stroiły nimi obrazy świętych, w swoim alkierzu jeszcze doń bibułkowe kwiaty przypinając. Później, kiedy zaszła konieczność — używało się tych zeschniętych gałązek przy odczynianiu uroków, wodę przez nie na żarzące się węgle przelewając.

Natomiast siostry ojca przygotowywały na gody nowy, słomiany, papierem kolorowym i bibułkami zdobny „pająk". Zawieszały go w kuchni pośrodku sufitu, bo w pokoju gdzie z dziadkiem mieszkały, dziadek nierad go widział. Kołebał się ten słomiany pająk w podmuchach przeciągów, a nasze dziecinne oczy chętnie wpatrywały się w jego tańczący ruch.

Domowe porządki szybko w tym dniu wykonywano — szorowano kuchenne ławy, podłogę ługiem do białości, rozsypując na niej tylko w tym dniu słomę żytnią.

Dziadek pilnie baczył, by parobek i pastuch wszystkie prace dokładnie w obejściu wykonywali, a na tyle cicho, by wron nie płoszyć, bo krakanie wron na domowym podworcu w dzień wigilijny złą dla domu wróżbą było.

Obiad wigilijny jedliśmy w izbie dziadka. Dziadek — człowiek dawnego pokolenia, co to chłopskim zwyczajem sam sobie trumnę przygotowywał i nakazał, by go nie w murowanym grobie, ale w ziemi — jak chłopu przystało — chować, nie lubił z miejska urządzonego pokoju rodziców.

Kiedy zapadał mrok, wszyscy ubierali czysty, choć nie świąteczny jeszcze przyodziewek i gromadzili się przy stole, na którym siano lekko rozsypane było. Opłatek na bochnie chleba na środku stołu kładziono.

Nie dziadek, a ojciec mój dzielił między swoich opłatek, wszystkim dobrze życząc. Wychodził też z opłatkiem do kuchni, gdzie wzbraniający się z gospodarzami przy jednym stole siadać, parobek i pastuch obiadowali.

Rozpoczynało się obiad wigilijny chlebem, na który po kawałeczku śledzia, kupowanego w wiejskim sklepiku, kładziono. Jakże smakował ten świeży chleb, przez dzień cały wyczekiwany!

Nie śpiewało się u nas w domu w tym dniu kolęd za wiele, choć kantyczka ciotek na stole leżała. Wszyscy nieco zmęczeni spieszną gospodarską pracą w tym dniu, po wigilii przycichali.

W latach trzydziestych w miejskim już mieszkaniu rodziców, po raz pierwszy dla nas dzieci w wigilię postawiono w pokoju choinkę. Przyniesioną z naszego lasu, pod sufit wysoką, ozdabiało się zabawkami przez nas przygotowanymi. Były to koszyczki zmyślnie z bibułkowych pasków plecione, do których orzechy się wrzucało. Dla wykonania aniołów, baletnic czy pierrotów kupowało się tłoczone w papierze i litografowane ich główki. Łączyło się je z bibułkowymi strojami gwiazdkami zdobionymi. Choinkę zdobiły suto wieszane jabłka czerwone, ciastka cukrowane i cukierki — najzwyklejsze landrynki zawinięte w bibułkowe serwetki kolorowe, z dwóch stron drobno nacinane w wiechetki. Gałązki drzewka posypywało się drobniutko krojoną białą bibułką śnieg udającą. Choinkę rozświetlały świeczki kolorowe.

Prezentów gwiazdkowych nie bywało — kiesa rodziców przy sporej gromadzie dzieci zbyt skromna była, by jej na takie zakupy starczało.

Zmieniły się w tym miejskim domu i potrawy wigilijne. Przybyły potrawy postne z ryb słodkowodnych, strudel z jabłkami, nugat orzechowy.

Czas wojny wrócił mnie do rodzinnego wiejskiego domu. Matka przeniosła do niego i miejskie zwyczaje świąteczne — potrawy, wypieki, choinkę. Ale strojenie choinki znów inne było. Przybyły modne już naówczas szklane kolorowe bańki, elektryczne żaróweczki miast świeczek. Zabawki z kartonowych, złotym papierem oklejanych sześcianów różnej wielkości, łączonych koralikami, nieco kształt ciotczynych pająków, z dzieciństwa zapamiętanych, przypominały. Przybyły prezenty pod choinkę.

Na choince wisiały już nie bibułkowe koszyczki, ale misternie ze szklanych paciorków i drucików wykonane przez brata siateczki, do których orzechy wrzucaliśmy.

Moim synom takąż choinkę w ich dzieciństwie stroiłam.

Później starałam się wykonywać ozdoby z naturalnych tworzyw: słomy, lipowego łyka, wełny. Były to postacie pasterzy, aniołów, zwierząt, ptaków w pastorałkach śpiewanych występujące. Nie choinka — bo żal drzewek umierania, kiedy Narodzenie — ale gałązki jodły w wazonie na wigilijnym stole stawiane. Są też na tych gałązkach misterne koszyczki z paciorków szklanych, przez czterdzieści lat jak relikwia przechowywane na pamiątkę brata, którego wojenny czas kulami niemieckimi plutonu egzekucyjnego zabrał. I świeczki palą się świątecznie, na gałązkach przypięte.

Łączą mnie te gałązki — takież jak ojciec ongiś w dzień wigilii z lasu przynosił — z tradycją kolęd — pierwszych pieśni znanych w dzieciństwie — z pamięcią o najbliższych, których przy wigilijnym stole braknie, z dzisiejszymi, spiesznie upływającymi dniami mojego życia.

„DUNAJEC" w stanie wojennym

(CIĄG DALSZY ZE STR. 2)

gotowania do Święta Ludowego ● Pierwsze truskawki po 480 zł za kilogram błyskawicznie zniknęły z rynku ● „Raport z Mystkowa" — pierwsza nasza próba spenetrowania sytuacji na wsi ● 4600 abiturientów przystąpiło do egzaminu dojrzałości ● **Andrzej Szymański** oskarża zakopiański PKS o wyłudzanie pieniędzy od pasażerów bez wydawania biletów. Dyrekcja widocznie zgadza się z tą oceną, gdyż milczy jak grób. Mimo że proceder przywłaszczania sobie pieniążków na niektórych liniach potwierdzają liczni pasażerowie, nikt nie ściga oczywistego nadużycia ● Aktywizacja działań ZBoWiD-u w całym regionie.

*

JÓZEF BROŻEK podczas wiecu społeczeństwa nowosądeckiego i żołnierzy Warszawskiego Okręgu Wojskowego w Poroninie: — *Wiemy, ile roboty przed nami, ile spraw trzeba wyprostować. Ale nie damy sobie wmówić — a próbowano to hałaśliwie czynić — że jest dla Polski lepsza droga, lepsza orientacja i pewniejsza perspektywa — niż ta, jaką obraliśmy w roku czterdziestym piątym. Trwale związani z państwem stu narodów i całą socjalistyczną wspólnotą, wierni ideom marksizmu-leninizmu wyprowadzimy kraj z kryzysu mimo kłód, jakie rzucają nam pod nogi zimnowojenne siły zachodniej reakcji.*

*

Główna refleksja z Plenum KW: **pragniemy spokoju.** Ale demokracja nie może kojarzyć się z anarchią, samorządność z samowolą, a samodzielność z arogancją i sobiepaństwem. Zamysł rzucenia władzy na kolana prowadzi do wyeliminowania z gry politycznej osób realizujących taki program. Dysputę o przyszłości Polski próbują przenieść na ulicę ci, dla których spokój w ojczyźnie oznacza polityczną śmierć.

Płk JERZY GRODECKI: — *Ziarna nienawiści rozsiewane przez wrogów w ciągu półtora roku owocują, niestety, i w naszym regionie. Czeka nas czas taktownej, cierpliwej pracy politycznej. Będzie to długi proces, w którym liczyć się będą argumenty, a nie pustosłowie.*

ANTONI RĄCZKA: — *Mimo elementów destrukcji powraca atmosfera wydajniejszej pracy. Są oznaki uspokojenia się rynku żywnościowego; natomiast złą krew robią braki obuwia i odzieży. Niepokoi sytuacja wśród młodzieży. Dyrekcje szkół i nauczyciele muszą pełniej i energiczniej prowadzić pracę wychowawczą. Wymagamy jasnej postawy kadr pedagogicznych. Spokój nie wszystkim jest na rękę.*

*

Plenum przyjęło rezygnację sekretarzy KW, **Ryszarda Kotowicza i Zbigniewa Leśniaka,** wyrażając im podziękowanie za pełnienie tych funkcji w trudnym dla Partii okresie. W tajnym

KAZIMIERZ SKOCZEŃ

DAWNE WIGILIE

W tym dniu, jeszcze przed pianiem kogutów, wstawały nawet największe śpiochy. Wierzono, że *„kto zerwie się dzielnie z łoża, przez cały rok będzie rześki, hardy, wytrwały i szczęśliwy"*. Gospodynie popędzały do roboty swoje córki; której pannie dostało się tarcie maku, ta miała rychło wyjść za mąż. Pieczono na łopacie podpłomyki z najlepszej pszennej mąki ,dodawano najlepszych przypraw i delicji do bukt, tj dużych drożdżowych bułek. Gospodarze-myśliwi przed wschodem słońca wychodzili z flintą na zwierza. Gdy któryś upolował nawet zająca, mógł liczyć na szczęście i pomoc świętego Huberta. Wigilia upływała w mozole pracy, bo każdy starał się w tym dniu być dobry i przykładny. Gospodarz doglądał dobytku w zagrodzie, gromadził paszę, a od czasu do czasu karcił hałasujące i cieszące się z nadchodzących świąt dzieci. Wierzono, że gdy *„któremuś się sprawi lanie, to w nadchodzącym roku diabeł się w nim nie ostanie"*. Mimo śniegu i zimna dzieci półnago obiegały dom, „by rok przeżyć zdrowo" i pozabijać wszystkie „zmory" (zarazki). W tym dniu parobki ukradkiem „pożyczali" od sąsiada pług, siekierę itp. rzeczy, wierząc, że wszelkie dobro będzie im „lgnęło" do rąk.

Najwięcej uwagi poświęcano specjałom, które z wzejściem pierwszej gwiazdy miały przerwać wigilijną głodówkę. Liczba potraw, zależna od zamożności, musiała być nieparzysta. W bogatszych domach podawano m. in. barszcz czerwony z uszkami oraz zupę rybną z kluseczkami. W chatach chłopskich poczesne miejsce zajmowały kapusta z grochem, groch z suszonymi śliwkami, kluski z tartych ziemniaków, karpiele z mlekiem, żur owsiany z grzybami i ziemniakami, knedle z cukrem, krupy jęczmienne z olejem roślinnym.

Po wykonaniu najważniejszych prac panny i dzieci ubierały podłaźniczkę. Najczęściej robiono ją z wierzchołka młodej jodły lub świerka, który strojono świecidełkami, wycinankami, a czasem słodyczami. Wierzono przy tym, że każda ozdoba ma swoją czarodziejską siłę i moc. Tak np. gdy wieszano żółte jabłka i nie opadały one do Trzech Króli, to dom nawiedzić miała nowa miłość, zwiastująca rychłe małżeństwo. Z chwilą ubrania podłaźniczki, wieszano na jej szczycie „spicz" lub „świt", bądź „gwiazdę". Z czasem podłaźniczki zostały wyparte choinką.

Przed pojawieniem się pierwszej gwiazdy wszystko musiało być gotowe, domownicy przywdziewali odświętne szaty. By uśmierzyć rosnący apetyt, przed wieczerzą można było spożyć posiłek składający się z ziemniaków pieczonych w łupinie i kapuśniarki lub polewki ze śliwek.

Pokój, w którym odbywać się miała wieczerza, był specjalnie przygotowany. Stół nakrywano białą oktusą, na środku w woreczku kładziono zmieszane ziarna zbóż różnych gatunków, na nim stawiano najdorodniejszy bochen chleba. Na czas wigilii pod stół wstawiano wiązkę siana, w kątach izby jadalnej były snopy zboża. Czasami też rozrzucano siano i słomę po podłodze.

Wieczerzę inaugurowano okolicznościową modlitwą przewodzoną przez najstarszego członka bądź głowę rodziny, który również rozpoczynał łamanie opłatkiem. Winszując sobie nawzajem wiele szczęścia i radości na nadchodzący rok, w szczególności pannom zamążpójścia i dobrej partii, wszyscy obdarowywali się opłatkiem. Zwracano przy tym uwagę, by nikt nie został pominięty. W skupieniu i podniosłym nastroju spożywano podawane w jednej misce pokarmy. Z czasem zmieniały się potrawy, lecz zawsze były dania z ryb; uważano, że symbolizują zwinność życia. Do stołu starano się zapraszać parzystą liczbę biesiadników, przy czym zostawiano wolne miejsce dla ewentualnego gościa. Złowróżbna była nieparzysta liczba wieczerzających; w tym przypadku w najbliższym roku czekała jedną z osób niechybna śmierć. Nikt nie odkładał w czasie zmiany potraw łyżki, gdyż w w przeciwnym razie nie doczekałby przyszłej wigilii.

Przy jedzeniu nie wolno było rozmawiać, ani też wstawać od stołu, bo *kwoki nie wysiedzą kurcząt*, albo też *kobieta poroni dziecko*. Miski stawiano na rozsypanych ziarnach zboża. Po spożyciu potrawy gospodarz odnosząc miskę liczył, ile ziaren przykleiło się do spodu „na urodzaj". Kończąc spożywanie pokarmów chwalono gospodynię za dobrą kuchnię, by cały rok smacznie je przyrządzała. Gospodyni zadowolona, że wieczerza się udała, zaczynała śpiewać kolędy, dziewczyny zaś wybiegały na dwór i nadsłuchiwały szczekania psów. Z tej strony miał przyjść zalotnik-kawaler. Gdy zaś panował absolutny spokój, biegły pukać do kurnika, by zapiał kogut zwiastujący, że wesele będzie, choć z wyjściem za mąż trzeba poczekać do Świąt Wielkanocnych. Gdakanie kur oznaczało czekanie jeszcze przez kilka lat.

Po wieczerzy gospodarz resztkami potraw dzielił się z dobytkiem, dorzucał trochę opłatka. Karmiono także ziarnem rozsypanym po stole i sianem rozrzuconym w pokoju. Na noc wigilijną spuszczano psy, które miały odpędzić od gospodarstwa wszystkie czary, nieszczęścia i demony.

Z wieczorem wigilijnym wiązano liczne obrzędy i wróżby, prognozowano pogodę, urodzaje, śluby i urodziny. Nie wolno było płakać, bo cały przyszły rok będzie smętny i nieszczęśliwy. By nie bolały zęby, należało gryźć orzechy, by cera była gładka i duch czysty — twarz tego wieczoru myto wodą spod lodu. Zamążpójście oznaczać też miały gałązki lub drewienka przyniesione z dworu w fartuszku. Gdy liczba ich była parzysta, to związek był pewny. Dziewczyny wybiegając na dwór zwracały uwagę, by próg izby przekroczyć prawą nogą. Wyciągano też spod stołu źdźbła słomy; długie oznaczały długowieczność, krótkie chorobę i rychłą śmierć, zielone zaś ślub, żółte staropanieństwo, starokawalerstwo. Zdarzało się, że kawalerowie w ukryciu przed matkami próbowali z ojcem wódki — gdy miód się w niej dobrze rozpuścił znaczyło, że panna, do której wybierali się na podłaz, jest im przeznaczona.

Przy wróżeniu i kolędach czas szybko upływał, więc w pośpiechu zbierano się na „północkę" (pasterkę), na którą szli wszyscy. Każdy chciał się pokazać z jak najlepszej strony, strojne dziewczęta i wypatrujący ich kawalerowie wzmacniali głosem chóry kościelne. Nie brakowało psotników. Często zdarzało się, że wychodzące z kościoła dziewczyny miały pozszywane spódnice, a co większe dewotki obmywając twarz wodą z kropielnicy trafiały tam na rozpuszczony atrament. Wracając z kościoła chłopcy palili ognie, posypywali dziewczyny śniegiem oraz płatali im różne figle.

W dniu Bożego Narodzenia świętowano w kręgu własnej rodziny. Ten dzień uważano za najważniejszy w roku. Nie wykonywano cięższych prac. Wieczorem, gdy zaczynało szarzeć, gospodarz z dziećmi wyrywali źdźbła ze snopów żyta i wbijali pod powałę. Ile źdźbeł się wbiło, tyle kóp zboża miało stanąć w przyszłym roku na polu. Gdy pokazywał się księżyc, czas było rozpoczynać „podłazy". Odwiedzając znajomych składano im życzenia wszelkiej pomyślności, przy tym suto ucztowano, pito i śpiewano kolędy.

Na wsiach nowosądeckich pojawiali się przebierańcy i kolędnicy. W kolędę udawały się najczęściej dzieci z biedniejszych rodzin szukające jadła oraz innych datków. W okresie Bożego Narodzenia nawet najwięksi skąpcy otwierali drzwi przed *„szczodrakami"* albo *„nowoleciątami"*. Nadejście kolędników sygnalizowały dzwonki i śpiew. Gospodarze prosili do środka, częstowali słodyczami i obdarowywali grosiwem. W dowód podziękowania jeden z kolędników recytował, bądź śpiewał, specjalnie przygotowaną oracje z życzeniami:

Na scęście i na zdrowie
W to Boże Narodzenie, życzymy prosto z Betlejem,
By się scęściło Wom wszystko stworzenie,
Żeby było w oborze, komorze,
Była kopa przy kopie, snop przy snopie,
A gospodarz chadzał pomiędzy kopami,
Niczym księżyc pomiędzy gwiazdami.
Aby w każdym kątku było po dzieciątku,
By gospodyni otarła się o pierzynę,
To będzie mieć dziewczynę.

Zdarzało się, że gospodarz nie przyjął szczodraków, wówczas oni szemrali pod oknami:

Niechaj Wasze drzwi mchem zarosną wkoło,
A Ty gospodarzu szukał pszenicy w życie,
Niech będzie wszędzie pustka, w komorze, oborze
Tak Ci daj Boże.

Prawdziwa zabawa rozpoczynała się w drugi dzień — św. Szczepana. Wczesnym ranem wybiegano obwiązywać powrósłami drzewa owocowe, by zbiory były obfite. W tym dniu święcono owies, którym bito się nawet w kościele. Najtęższe lanie sprawiano dewotkom, pyszałkom i zarozumialcom. Młodzi chłopcy i parobki chodzili z gwiazdą, turoniem, Herodem, szopką lub niedźwiedziem. Z czasem gwiazdę połączono z Herodem w jedno wielkie widowisko. Starano się, w nawiązaniu do narodzenia Chrystusa, ośmieszać panujące stosunki społeczne, kpić z zabobonów i ciemnoty. Centralnymi postaciami w tym wiejskim teatrze byli: Anioł, Herod, Józef, Diabeł i Śmierć. Towarzyszyła kapela. Przedstawienia były chętnie przyjmowane przez gospodarzy, którzy mieli małe dzieci. Kolędnicy zbierali datki. Każdą noc kolędy organizowano tak, by na koniec trafić do gospodarza mającego na wydaniu kilka córek. Tu po odegraniu kolędy kapela zaczynała grać skoczne melodie, a kolędnicy brali dziewczyny do tańca. Zabawa, śpiewy oraz spożywanie zebranego jadła i napitków przedłużały się często do białego dnia.

Chodzono również z turoniem. Najczęściej prowadził go Cygan w asyście Dziada, Żyda, Niemowy, Dziadówki i Cyganki. Odgrywano widowisko dostarczające radości szczególnie najmłodszym, wyśmiewające panny i kawalerów. Gdy drzwi nie otwierano, Żyd i Cygan nieustępliwie prosili: „Gospodarzu przypuscować, będziemy Wam fiki, miki pokazować.

Aż do Matki Boskiej Gromnicznej z szopką chodzono po domach. Wykonywano ją w kształcie betlejemskiej stajenki, z czasem zdobiono i modyfikowano jej kształty. Sceny w szopce były pełne humoru, a czasem smutku i zadumy nad ludzkim życiem. Grupy kolędników prześcigały się w pomysłach.

Największe nasilenie odwiedzin przypadało na okres do Trzech Króli. W tym dniu trzej „mędrcy", symbolizujący mądrość życia, składając wizyty i życzenia głosili, że skończyły się już „Święta" i rozpoczął Nowy Rok.

W pierwszych tygodniach nowego roku zwracano baczną uwagę na różne zjawiska przyrody. Wiatr oznaczał obfitość zbiorów, gwiazdy świecące — pomyślność w zagrodzie, a słońce — szczęśliwy rok.

---

głosowaniu sekretarzami KW zostali wybrani **Grzegorz Jawor** i **Ludwik Kamiński.**

CZERWIEC

Nasza inicjatywa wzbogacenia letniego wypoczynku dzieci i młodzieży dodatkowymi atrakcyjnymi imprezami nie znalazła odzewu. Gotowość współdziałania zgłosiły jedynie organizacje młodzieżowe. Administracja, dyrekcje zakładów pracy, spółdzielczość, LOK, TKKF, samorządy mieszkańców nie odpowiedziały na apel ● Przewodniczący limanowskiego OKON-u ANTONI SKWARCZEK: — *Przeprowadziliśmy kontrolę magazynów GS wskazując niedociągnięcia. Po naszej interwencji zmieniono godziny otwarcia apteki. Byliśmy obecni przy rozdziale darów... Opracowaliśmy rejestr potrzeb społecznych. Przyjść do nas może każdy — z pytaniem, wątpliwością, skargą czy postulatem* ● WK FJN zwraca się do społeczeństwa o poparcie Oświadczenia Sejmu PRL zgodną, konstruktywną pracą ● Przedstawiciele sądeckiego rzemiosła sygnalizują drastyczne niedostatki zaopatrzeniowe. ● „Bank wolnych miejsc na stancjach" uruchamia ZM ZSMP w Nowym Sączu ● Rozpoczyna pracę Wojewódzki Zespół Gospodarki Materiałowej, kierowany przez wojewodę **Janusza Pieczkowskiego.** Idzie o właściwą dystrybucję i racjonalne wykorzystanie surowców, paliw oraz energii ● Zauważalna aktywizacja instancji i organizacji partyjnych. Nasi towarzysze z Krynicy krytykują system skierowań do sanatoriów: przyjeżdżają ludzie zdrowi, nieźle sytuowani, przywożą ich samochody służbowe ● Transmisje z piłkarskich mistrzostw świata przyciągają uwagę coraz liczniejszych kibiców. Od zwycięstwa nad Peru Polacy grają nadspodziewanie dobrze.

✲

JÓZEF BROŻEK podczas wyjazdowego posiedzenia Egzekutywy KW w Limanowej: — *Wszystko, co źle można było powiedzieć o Partii i kraju, zostało powiedziane. Na takim gadaniu nie zbije się już kapitału zaufania. Zaufanie powoli zyskiwać będą ci, którzy robią rzeczy namacalne, pożyteczne dla ogółu. Idzie o to, żebyśmy właśnie my pobudzali tę konkretną robotę. Bez niej nie zapełnią się półki sklepowe towarem, nie poprawi się poziom życia. Jeżeli nie będziemy unikać trudnych tematów, jeżeli konsekwentnie — bez liczenia na szybkie efekty — robić będziemy mądre i pożyteczne rzeczy, wahający się staną po naszej stronie, po stronie działania, a nie negacji.*

✲

W obliczu degradacji środowiska naturalnego pisaliśmy: — *Zwracamy się do służb specjalistycznych wojewody i naczelników o publiczne przedstawienie koncepcji zatrzymania tragicznego procesu uśmiercania rzek w regionie. Zwracamy się zwłaszcza do służb miejskich Nowego Sącza o odpowiedź na pytanie, czy posiadają one realistyczny program ukrócenia bałaganu, który przekształca Łubinkę, Kamienicę i Dunajec w ścieki coraz bardziej odrażające! Jeśli takie koncepcje istnieją, zgłaszamy gotowość popularyzowania ich na naszych łamach i pozyskiwania sojuszników dla słusznej sprawy.* (Do dziś — mimo uporczywego upominania się o odpowiedź — nikt nie raczył przedstawić społeczeństwu programu przezwyciężania niechlujstwa i niemocy! Wojewoda **Zbigniew Barylak** obiecał nam niedawno pomoc w wymuszaniu odpowiedzi na krytykę prasową, polecamy się więc z tym zaległym, ale wciąż aktualnym tematem).

LIPIEC

Wspólne plenarne posiedzenie KW PZPR i WK ZSL. Kilka myśli z refe-

(CIĄG DALSZY NA STR. 6—7)

DUNAJEC 5

Franciszek Łojas-Kośla

Na sałasie

Wiatrem markły smrecki w dole
zielonościom płani
a miesiącek juhasicek
przystanon na grani

Zlecieli sie z wysokości
niebiescy anieli
granat nocy jorne gwiozdki
pod nogi im ścieli

Ozfyrkła sie po dziedzinie
do cudu nowina
o tym casie na sałasie
rodzi sie Dziecina

Dzieciątecko hań na wyrku
od płacu sie nimo
Józef stary bez ustanku
ogień w watrze trzymo

Chwała Bogu już u progu
gro wiecno muzyka
a Maryja na ponewce
grulke w mlecku scyko

Cym ze bedzie opowijać
skołcane paluski
wnet gaździny biel syrzyny
potły na pieluski

Zbójnik harnaś na nodołek
talar złoty suje
ka sie baca nas obraco
z jorkom sie mocuje

Juhas dobył głos z trąbity
pozroł na podole
ooby Polska jako wielko
tonęła w pięknie kolęd

Fot. WŁADYSŁAW WERNER

Fot. STANISŁAW ŚMIERCIAK

Jerzy Masior

Grudniowy wiersz

Na Święta będziesz świąteczna
i jak liryka liryczna —
i wysrebrzona księżycem,
w każdą godzinę śliczna.

Obłokiem popłyniesz za mną
z zielonych twych kalendarzy —
może oznacza to smutek,
a może radość się zdarzy.

Znikną gdzieś nasze anioły
w zimowych, srebrnych sukienkach —
wiem, że zapomnisz te lata,
a ja cię w snach zapamiętam.

A ja cię w snach pomaluję
liryką bardzo liryczną
i wysrebrzoną księżycem,
w każdą godzinę śliczną.

„DUNAJEC" w stanie wojennym

(CIĄG DALSZY ZE STR. 5)

ratu wygłoszonego w imieniu obu partii przez TADEUSZA RABIAŃSKIEGO: — *Naszym zadaniem jest wyjaśnianie trwałych zasad nowej polityki rolnej, która gwarantuje nienaruszalność gospodarstw rodzinnych i równoprawne traktowanie wszystkich sektorów rolnictwa. Kontrolą musi być objęta obsługa rolnictwa, gdzie należy wyeliminować marnotrawstwo, złą organizację, a zwłaszcza — demaskowane przez wojskowe terenowe grupy operacyjne — przypadki żerowania na trudzie rolnika. Ważnym zadaniem jest egzekwowanie w ogniwach administracji państwowej i gospodarczej sprawnej i życzliwej postawy wobec rolnika, weryfikacja kadr, redukcja przerostów zatrudnienia, uzgadnianie, ważniejszych decyzji ze społeczeństwem, uczciwe dzielenie środków do produkcji, racjonalne wykorzystanie ziemi, zbliżenie służb rolnych ku rzeczywistym potrzebom gospodarstw, lepsza organizacja skupu, konsekwentne eliminowanie biurokratycznej mitręgi, niedbalstwa i nieodpowiedzialności.*

*

Pisaliśmy w przeddzień Lipcowego Święta: — *Wzbiera gniew, gdy dziś — w momencie wymagającym mobilizacji energii — pleni się w naszym regionie ospała pasywność. Co zrobiono w ostatnim półroczu, by reanimować — zgodnie z przyrzeczeniami — małe ubojnie, masarnie i piekarnie, które mogą wesprzeć rynek trapiony nadal brakiem ciągłości sprzedaży artykułów tak podstawowych jak chleb i mięso? Co zrobiono, by brak koordynacji i spory między tymi, którzy skupują, produkują i sprzedają nie odbijały się negatywnie na kliencie? Uwag krytycznych można zgłosić więcej. W najbliższym czasie nasilimy krytykę zadufanej, pewnej siebie biurokratycznej arogancji, która myli się sądząc, że ktokolwiek rozpiął nad nią parasol ochronny.*

*

Reaktywowano działalność Związku Podhalan ● Ostra krytyka zakopiańskiej administracji przez organizację partyjną w Poroninie ● Społeczna Rada Konsultacyjna przy wojewodzie nowosądeckim omówiła perspektywy zwiększenia produkcji rynkowej ● Działacze OKON-ów z Krynicy i Gorlic publikują refleksje o swej pracy społecznej ● Udany maraton imprez w Myślcu nad Popradem. Gośćmi KRAM-u byli m in. **Wojciech Siemion, Bronisław Cieślak i Tadeusz Malak** ● Wydarzeniem artystycznym jest wystawa prac **Władysława Hasiora** w Zakopanem ● Bogaty program obchodów Święta Odrodzenia — liczne imprezy w całym regionie, wysokie odznaczenia państwowe dla zasłużonych

Rozpoznanie terenu przeprowadzili dużo wcześniej komisarze wojskowi i grupy operacyjne. Dzięki temu Inspekcja Sił Zbrojnych wkracza z mar-

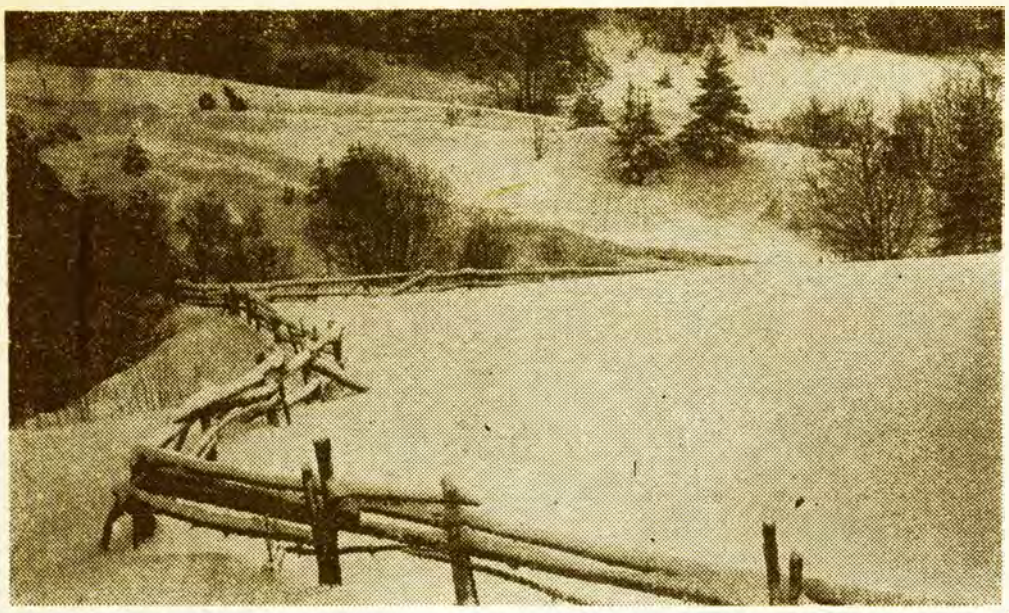

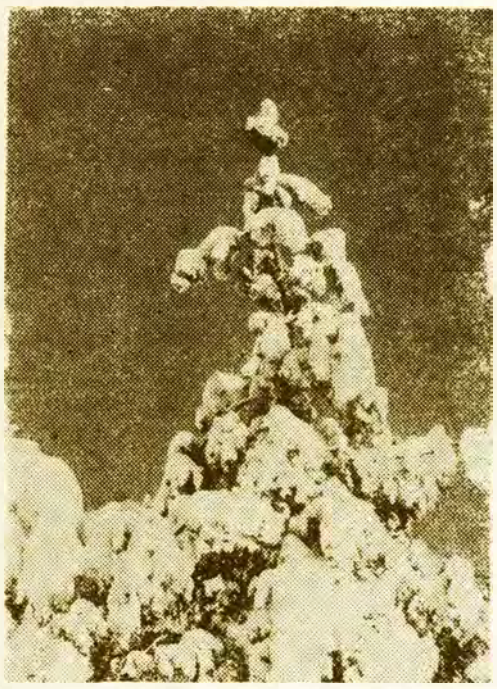

Jan Fudala

Kolędziołka Kasi

Hej, Kasiuniu córecko
kolędujom z gwiazdeckom
Hej, cy sie diabła bois
hej, ze w oknie nie stois

Turoń hipce po płocie
coz to tatuś godocie
Hej, on z zimą figluje
hej, z miesiąckiem tańcuje

Hej, Kasieńko janiołku
dziod tu idzie z tobołkiem
Hej, musis sie przezegnać
hej i Zyda odegnać

Hej, jo ci Zyda nie przegnom
kolędnicy go wiedom
Hej, on ozdaje kartki
hej, na boskie opłatki

Zdjęcia MIECZYSŁAW STASZEWSKI

Krystyna Dulak-Jankiewicz

Do sopy

(kolęda na nutę „Do sopy hej pastyrze")

Do sopy, hej do sopki pośpiyso dzieci rząd,
bo w złóbku na sionecku Pon Jezus lezy som.

Gembusie mu ozłoco najwiękso spośród gwiazd,
co Betlejem wyróżnio ze syćkik w świecie miast.

Pon rącki do osiołka wyciągo, jakby fcioł,
by osioł sie pogłoskać po ciepłyk usak doł.

A osioł jak to osioł wciąz ciepłom pare dmie
i patrzy jak Jezusek uśmiycho sie we śnie.

Ponizy dwa baranki z zakwytu: me me me
i kozdy na Jezuska poduchać troche fce.

A osioł jak to osioł na kwinte spuścił nos,
ze ón Dzieciątko uśpiył, a tamci se na głos.

Wtem ptosek jemiołuska zaglądo w stajni próg
i ocom swym nie wierzy, ze w biydzie lezy Bóg.

Więc trele mu wyciągo, co w piórkak starcy sił
nie wiedząc, ze co tylko Pon Jezus uśpion był.

Pon Jezus sie przebudzieł i rącynom przez złób
zaproso dwa baranki do zimnyk swoik stóp.

Baranki wniebowzięte, ze Panu grzejom świat,
patrzom sie, ze i ptosek do stóp sie złobu skradł.

I zgodnie pomekujom i osioł tyz im w takt,
a w stajni śniyzek prósy poprzez dziurawy dak.

Lec ptosków coroz więcy, wnet załotały dak,
w pastyrzy jakby radoś, a moze wstąpił strak.

Bo jagze w to uwierzyć, ze u Dziecięcia stóp
na ocak ik sie dzieje ten piyrsy w świecie cud.

szu na najbardziej newralgiczne odcinki życia społecznego i gospodarczego regionu. Towarzyszymy jej od początku z rosnącym zainteresowaniem i podziwem, gdyż jest to precyzyjny mechanizm, prototyp godny upowszechnienia w cywilnym życiu. Okazuje się, że są to nie tylko doświadczeni oficerowie, ale równocześnie wysokokwalifikowani fachowcy, współdziałający w dodatku ze sporą grupą specjalistów cywilnych. Po kilku dniach odkrywamy ich walory najważniejsze: **pasję tropienia nieodpowiedzialności marnotrawstwa i bałaganu sprzężoną z niebywałą pracowitością.**

Przybyli do Sącza bez rozgłosu i zaczęli swą misję wypełniać dyskretnie, a jednak miasto żyje tą inspekcją, mówi się o niej w rodzinnym kręgu, w pracy i na ulicy.

✲

Równolegle działa zespół Centralnej Komisji Rewizyjnej PZPR. Korzystając z pobytu w Nowym Sączu przewodniczącego CKR, KAZIMIERZA MORAWSKIEGO odbyliśmy z nim rozmowę, w której powiedział m. in.:

— *Partia rządząca nie może właściwie spełniać funkcji kontrolnych wobec innych, jeżeli sama nie poddaje się kontroli, jeżeli nie posiada systemu wczesnego ostrzegania. Komisje rewizyjne są jednym z elementów tworzących w partii system kontroli i samokontroli. Największe uprawnienia w tej dziedzinie przypisuje Statut PZPR podstawowym organizacjom partyjnym. Jeszcze nie w pełni korzystają one z tych uprawnień.*

(...) Wyzbyć się werbalizmu, rozmaitych pozoracji działania, uchwalać mniej ale lepiej — to pierwszy krok w uzdrawianiu partii. Drugi — to kontrola realizacji. Dlatego badając sprawność działania komitetów wojewódzkich mocno interesujemy się wydolnością poszczególnych struktur i wydziałów w zapewnieniu konsekwentnej realizacji uchwał instancji wszystkich szczebli.

(...) Sygnalizujemy niepokojące zjawiska, wskazujemy słabości. Natomiast robienie użytku z naszych dociekań, obserwacji i kontroli to już domena władz partyjnych. Nasze kontrole mają na celu pobudzenie takiego klimatu, w którym instancje i organizacje podstawowe same będą odczuwać potrzebę korzystania ze swych uprawnień kontrolnych.

✲

Po dwóch tygodniach intensywnych działań kontrolnych — podsumowanie Inspekcji Sił Zbrojnych przez jej szefa, gen. dyw. WŁADYSŁAWA MROZA. Oddzielny raport pokontrolny składa przewodniczący zespołu CKR, JÓZEF OLEKSY. Od tego momentu zaczyna się energiczne tworzenie harmonogramów realizacji zaleceń ISZ i CKR.

Inspekcja stała się bez wątpienia pierwszoplanowym wydarzeniem roku w Nowosądeckiem ● Z sierpniowych publikacji należy odnotować polemikę **Wacława Raczkowskiego** z artykułem red. Z. Satały w „Gazecie Krakowskiej". Spór dotyczył rozwoju małych, prężnych kiedyś miejscowości, które — zdaniem red. Satały — „straciły" na reformie administracyjnej kraju. W. Raczkowski odpiera insynuację, że Nowy Sącz zgarniał „pod siebie", zaniedbując teren.

WRZESIEŃ

Ponad 130 tysięcy uczniów rozpoczęło nowy rok szkolny. Brakuje w regionie 300 nauczycieli ● Utrzymuje się „wzmożona zachorowalność na wirusowe zapalenie opon mózgowych" ● Tłok w zakopiańskich schroniskach i kwaterach turystycznych ● W Podegrodziu spotkanie działaczy ludowych

(CIĄG DALSZY NA STR. 8—9)

BEATA DEMBOWSKA

SZPITAL na peryferiach

Lada dzień telewizja rozpocznie emisję kolejnych odcinków czechosłowackiego serialu „Szpital na peryferiach" Podczas uroczystości ślubnej dr Sztrosmajer wzniesie następujący toast:

— Szanowny panie młody, urocza panno młoda! Nie możecie nawet sobie wyobrazić, ile dzisiejszej nocy nałamałem głowy — czego wam właściwie życzyć. Czego życzyć panu młodemu, może bym nawet wiedział... Ale czegóż życzyć temu oto uroczemu stworzeniu, które po raz pierwszy wkroczyło do tunelu zwanego małżeństwem, całkowicie i bez reszty bezbronnemu?

ELŻBIETA: — *Ależ ja wcale nie czuję się bezbronna.*

SZTROSMAJER: — *Czegóż więc mam jej życzyć? Czy męża, który będzie kochał ją i tylko ją? Wcale nie jestem taki pewien, czy to znów takie wielkie szczęście. Czasem właśnie niewierni i błądzący bardziej się potem o tę miłość starają, a chwila przebaczenia jest — wierzcie mi — odurzająca. To zresztą jeden ze sposobów utrzymania miłości. Czy życzyć jej męża nieustraszonego, niezłomnego, sprawiedliwego bez granic? Wątpię, czy z takim człowiekiem w ogóle dałoby się wytrzymać. A więc może życzyć jej męża, który jest człowiekiem sukcesu? Po trzykroć: nie! Nic gorszego nie mogłoby jej spotkać. Człowiek sukcesu nie nadaje się w ogóle do niczego. Wraca do domu zmęczony, roztargniony, wyczerpany. A kiedy po krótkim okresie prosperity nastąpi upadek — to nieuniknione! — nie może wyjść ze zdumienia, że jego żona wynajduje sobie szybko następnego człowieka sukcesu.*

ELŻBIETA: — *Więc, na Boga, jakiego męża powinnam sobie życzyć?*

SZTROSMAJER: — *Moja miła! Toż to całkiem proste. Jeśli kobieta pragnie osiągnąć pełny rozkwit duchowy i fizyczny, potrzebuje pilnie męża odrobinę niewiernego, odrobinę tchórzliwego, odrobinę kłamczuszka, w miarę zdolnego, a więc po trochu takiego, jacy wszyscy tu jesteśmy. Pardon! Z wyjątkiem Sovy-seniora. Ale weźcie pod uwagę, że wszystko wskazuje na to, iż pod tym względem można go już spisać na straty. A może się mylę?*

SOVA: — *Sądzę, że się pan nie myli.*

SZTROSMAJER: — *Pozwólcie, że z całej duszy wzniosę toast za ich szczęśliwe i pełne radości małżeństwo. Niech żyją!*

Przytoczyłam nieco przydługi fragment scenariusza popularnego serialu, by przypomnieć klimat, w jakim rozgrywa się tamta opowieść. Jest to mianowicie klimat wzajemnej życzliwości, w którym ludzie pokroju Sztrosmajera, Sovy i Elżbiety z powodzeniem eliminują na margines życia towarzyskiego i społecznego każdą szuję. Pogodni — choć nie wolni od własnych problemów — darzą bliźnich zaufaniem, promieniują ciepłem wewnętrznym. W znerwicowanej i skłóconej Polsce roku 1981 byli serdecznie odbierani, trochę jak przybysze z innego świata. Bardzo nam wtedy brakowało tego komfortu psychicznego — cierpliwości, poczucia spokoju, sprawiedliwych ocen. Dziś również będą dobrze przyjęci, gdyż temperatura rozmów i kontaktów międzyludzkich nadal skażona jest napięciami i nieufnością. **O bliźnich — zwłaszcza o osobach trzecich — wciąż mówi się źle. Jest to nagminna przywara. Mało kto — nawet gdy słucha oczywistych głupot poniżających swego znajomego — ma odwagę stanąć w obronie jego** czci. Nie wspominam już o nieznajomych, na których wiesza się psy. Inni — z reguły są mało warci. Wspaniali i czyści to my, właśnie potakujący sobie przymilnie. Chore to, oczywiście, i graniczące z jakąś powszechną chorobą...

Z tym większym zaintrygowaniem przyjęłam wiadomość — podaną z kilku ust — że w Szczyrzycu żyje człowiek wartościowy, solidny fachowiec, w dodatku — lekarz. O lekarzach mówi się źle z jakimś szczególnym zacietrzewieniem. Że biorą, że tylko w *zielonych*, że są bez serca, że popełniają błędy w leczeniu. A doktor Huber — jak słyszę — to znakomity kardiolog, prowadzi wiejski szpital, uratował niejedno serce. No, więc trzeba się wybrać do Szczyrzyca, kroi się materiał do świątecznego numeru, pooddycham atmosferą „Szpitala na peryferiach" w polskim wreszcie wydaniu.

*

Wybrałam się w drogę rodzimym pekaesem i diabli wzięli pogodny nastrój. Szkoda zdrowia na opisywanie nieaktualnych rozkładów jazdy, spóźnień, podstawiania wozów zastępczych, komunikatów dworcowych, w których przeprosiny podróżnych należą do przeszłości...

Dojechałam na miejsce po południu i nie zastałam już dr Józefa Hubera. Pierwsze zetknięcie się ze szczyrzyckim szpitalem sprawiło mi zawód. Duża, zupełnie tuzinkowa bryła budynku gryząca się z pięknym krajobrazem, na szaro pomalowana, liszaje obłażącej farby, popękane schody, jakieś deski i beczki z lepikiem czy smołą... Dalekie to od wyobrażenia wyniesionego z czechosłowackiego serialu telewizyjnego, biedniejsze, niosące rozczarowanie.

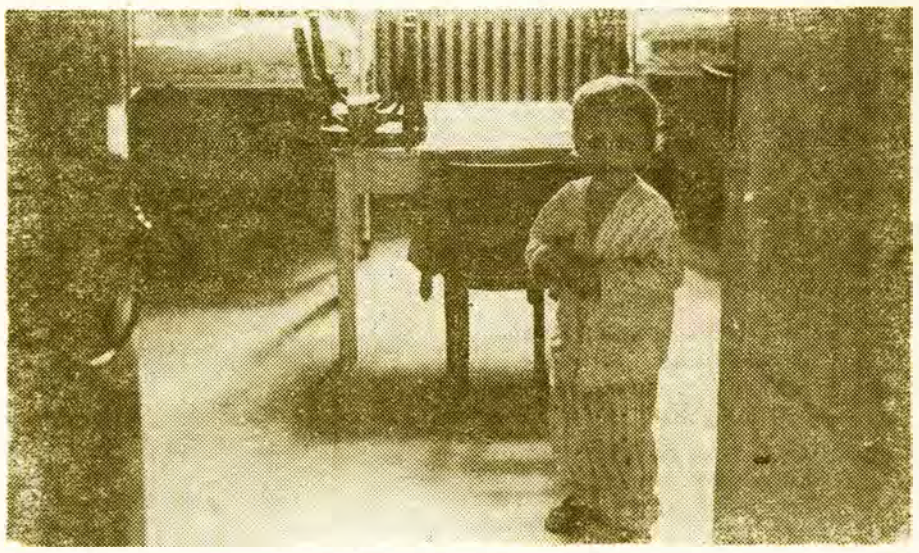

Fot. WACŁAW KLAG

Ale nie ma dymu bez ognia: coś tu musi być, co tworzy dobrą opinię szczyrzyckiej służbie zdowia. Poszukam tego czegoś przy następnej wizycie.

*

Jest dr Józef Huber, rozmawiamy. Mój rozmówca robi wszystko, żeby mnie sprowadzić na ziemię: minimalizuje swą rolę, opowiada o kłopotach, od których nie jest wolna w tej chwili żadna polska lecznica. Dowiaduję się, że budynek wzniesiony przed szesnastu laty pełnił przez jakiś czas funkcję „przechowalni" dla ludzi przewlekle i nieuleczalnie chorych. Początkowo było tu 30 łóżek, a lekarze pojawiali się dwa razy w tygodniu. Po roku 1970 — gdy zwabiony szansą uzyskania mieszkania pojawia się w Szczyrzycu Józef Huber — „przechowalnia" zmienia się w pełnoprofilowy oddział wewnętrzny limanowskiego szpitala.

Budynek postawiony w czynie społecznym mieści również aptekę i ośrodek zdrowia. W trakcie zwiedzania obiektu dowiaduję się, że jest już gotów projekt generalnego remontu. Rozmowniejsza część personelu nie kryje wszakże swych niepokojów. Otóż projekt przewiduje zainstalowanie hydroforów, ale kosztem zlikwidowania pralni. Bieliznę i pościel woziłoby się do Limanowej. Rodzą się wątpliwości: czy będzie dowożona zawsze w terminie? czy zachowa tę biel, która rzuca się w oczy obecnie?

Oglądam nakrochmaloną pościel na łóżkach pacjentów, ale widzę również pomieszczenia sanitarne, urządzenia kotłowni i pralni wymagające wymiany, słucham o problemach z wodą... Dość osobliwa to historia: ujęcie wody zaplanowano na nieużytkach należących do jednego z miejscowych gospodarzy. Cóż, właściciel nie zgadza się, by przez jego teren biegły rury do zbiornika retencyjnego. Widzę jeszcze i to, że kiepsko tu z aparaturą medyczną (pożyczony po koleżeńsku aparat do EKG, zepsuty rozrucznik serca, niesprawne aparaty do mierzenia ciśnienia), natomiast leków nie brakuje (pomogła osoba zamieszkała za granicą, pomaga też lekarz z Krakowa zaprzyjaźniony z ordynatorem).

— No więc skąd się bierze sława tego wiejskiego szpitalika, która mnie tu przygnała? — pytam wreszcie miłych, ale powściągliwych i nieskorych do autoreklamy gospodarzy.

— Dobrą opinię zawdzięcza nasz oddział naprawdę oddanemu pracy personelowi medycznemu, który od lat się nie zmienia — twierdzi dr Huber. **— Chorzy wyczuwają chyba troskę lekarzy i dbałość każdego zatrudnionego tutaj pracownika. Ponadto panuje tu względnie swobodna atmosfera — nie ma portierów, odwiedziny są dość liberalnie traktowane. Nie czuje pani również charakterystycznego dla szpitali zapachu, gdyż nie ma u nas chirurgii. Cóż jeszcze? Może to, że mieszkańcy okolicznych wiosek przyzwyczaili się traktować nasz szpital jako swoje pogotowie ratunkowe. W godzinach popołudniowych, gdy ośrodek zdrowia jest nieczynny, koledzy, którzy nas zastępują, nikomu nie odmówią pomocy. A reszta — to mity i przesada!**

*

Życzę tedy szczyrzyckiej załodze pomyślnego przebiegu remontu, przekonania projektantów i Sanepidu, że pralnię warto pozostawić na miejscu, a dla hydroforni znaleźć inne rozwiązanie, życzę doprowadzenia wody, bogatszej aparatury — a może nawet powrotu do koncepcji utworzenia tu oddziału kardiologicznego z prawdziwego zdarzenia?

Bo coś w tym jest — poza życzliwością wobec chorych — że ludzie, którzy niedomagali na serce, powiadają: *— Jedź do Szczyrzyca, wyleczą cię na pewno.*

Nie doszłam do sedna sprawy; nie wiem dlaczego o placówce egzystującej w trudnych warunkach i położonej daleko od znanych ośrodków myśli lekarskiej — mówi się aż z takim szacunkiem i uznaniem. Ale już samo to serdeczne mówienie zasługuje na zauważenie, bo na ogół nie kochamy dobrze mówić o innych.

„DUNAJEC" w stanie wojennym

(CIĄG DALSZY ZE STR. 7)

w 45 rocznicę strajków chłopskich ● Do Wydziału Komunikacji UW kierujemy interpelację w sprawie uciążliwości dojazdów do zakładów pracy i szkół ● Wcześniejsze wykopki ziemniaków ● Członkowie WKO wśród załóg robotniczych — tematem rozmów sytuacja w kraju i regionie oraz walka ze spekulacją ● Opublikowano decyzje personalne będące pokłosiem Inspekcji Sił Zbrojnych ● Na pogrzeb WŁADYSŁAWA GOMUŁKI udała się delegacja wojewódzka pod przewodnictwem Władysława Michalusa.

*

ANTONI RĄCZKA: — *Musimy stworzyć system, który ostatecznie zlikwiduje zauważony przez wojskowych biurokratyzm i bezduszność. Jak najszybciej przeorientowany musi być styl pracy i myślenia urzędników.*

*

Relacja z Egzekutywy KW: — *Ku rozpaczy dyrektorów przedsiębiorstw i instytucji handlowych Egzekutywa nie interesowała się liczbami i procentami. Pytano: kiedy skończą się braki chleba? Kiedy poprawi się jego jakość? Dlaczego nie ma dobrych wędlin? Nie zadowoliła większość odpowiedzi, zwłaszcza formułowanych przez kierownictwo WSS.*

(...) Ponownie oceniono sytuację w budownictwie mieszkaniowym. Tym razem członkowie Egzekutywy nie zechcieli wysłuchiwać zawiłych wyjaśnień o trudnościach obiektywnych. Żądano konkretnych propozycji jak robić, by zmienić sytuację, poprawić organizację pracy, jej jakość i terminowość.

*

Wielu szefów zaczyna dziś dniówkę od zerknięcia w harmonogram realizacji zaleceń pokontrolnych. Nikt nie wie bowiem, kiedy nastąpi rekontrola. Na dobrą sprawę można powiedzieć, że ona już się zaczęła. Dowiedzieliśmy się mianowicie od płk **Jana Rybickiego**, że grupa oficerów ustawicznie penetruje teren, zagląda w miejsca kontrolowane w sierpniu, sprawdza, czy wnioski i zalecenia są należycie uwzględniane.

*

Rozpoczynamy cykl publikacji zatytułowanych „Po *Inspekcji*". Pełnomocnik-komisarz Komitetu Obrony Kraju, płk dypl. STEFAN MICHAŁEK umożliwił reporterom „Dunajca" udział w pracach Wojewódzkiej Grupy Operacyjno-Kontrolnej. Dzięki temu opinia publiczna jest systematycznie informowana o realizacji posierpniowych zaleceń — a także o niemrawości niektórych instytucji.

Andrzej A. Dobrzyński

„Perspektywy"

UZDROWISKA

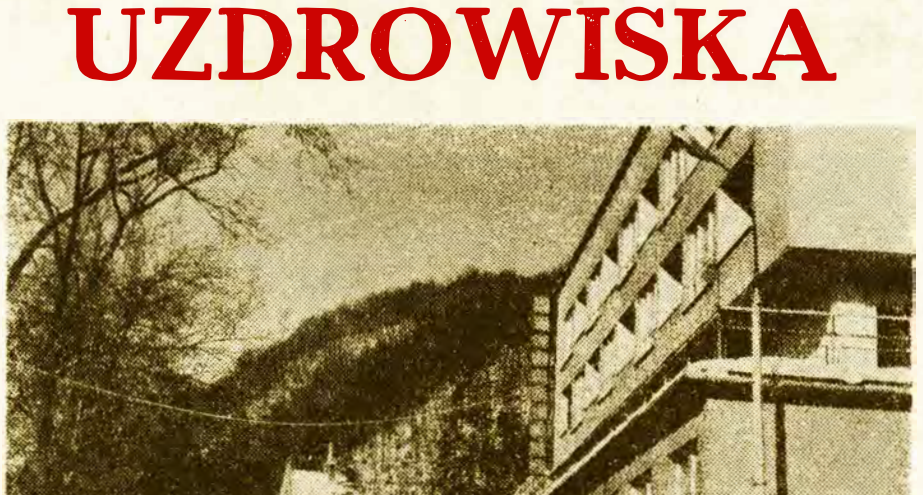

Fot. JERZY ŻAK

Istnieje ściśle określona roczna norma zapylenia powietrza w uzdrowiskach, ale przestrzegać jej już nie sposób. Wynosi ona 40 ton na 1 km kwadratowy. W uzdrowiskach, które odwiedziłem, ta norma jest przekraczana o 100—200 proc. Z trzech przyczyn: spaliny samochodowe, dym z kotłowni i kolej parowa. W Krynicy cały tranzytowy ruch samochodowy przechodzi właśnie przez centrum uzdrowiska, a obwodnica, mogąca uratować sytuację, od lat nie wychodzi poza stadium projektu. Podobnie jest w Muszynie, Żegiestowie, Szczawnicy.

Dyrektor tego ostatniego uzdrowiska, dr Andrzej Rzepecki, mówił mi o braku szans na przeforsowanie budowy obwodnicy, dodając, że przez całą Szczawnicę jeżdżą wielkie ciężarówki z wodą mineralną z tutejszej rozlewni, która dostarcza jej 5 milionów butelek rocznie. Dr Ryszard Florków, zastępca dyrektora uzdrowisk krynicko-popradzkich, twierdzi, że wszystkiemu winna jest niesamodzielność budżetowa uzdrowisk. Skąd — pyta on — urząd miasta i gminy Krynica ma wziąć fundusze na zbudowanie obwodnicy, elektryfikację kolei, czy gazyfikację ogrzewania?

Ostatnio ołów ze spalin samochodowych dostał się nawet do źródeł mineralnych. Co będzie za kilka lat? Samochody nie są jednak największym złem, o stopniu zanieczyszczenia powietrza decydują bowiem kotłownie. Najbardziej dymią te, które stanowią własność przedsiębiorstw uzdrowiskowych. System ogrzewczy tzw. Starych Łazienek w Krynicy liczy sobie około 100 lat, więc nic dziwnego. W innych uzdrowiskach jest podobnie.

Wspomniałem o kolei, która przechodzi przez centrum uzdrowiska Muszyna i Żegiestów — o elektryfikacji tej trasy nie ma mowy. Zanieczyszczone jest zresztą nie tylko powietrze. Krynicka oczyszczalnia ścieków pracuje na 30 proc. swej mocy. Rzeka Muszynka stała się ściekiem Krynicy, a w Muszynie oczyszczalni ścieków nie ma w ogóle. W. Muszynce kąpać się nie można, w Popradzie także nie, ponieważ muszynieckie uzdrowisko odprowadza swe ścieki wprost do Popradu. W Żegiestowie sytuacja przedstawia się identycznie. W Szczawnicy zanieczyszczono dokumentnie potok Grajcarek.

Z ochroną środowiska naturalnego jest więc kiepsko i nic nie wskazuje na rychłą poprawę sytuacji.

*

Obecny system funkcjonowania uzdrowisk cechuje totalna dezintegracja. Brakuje też koncepcji określającej miejsce lecznictwa sanatoryjnego w całym systemie opieki zdrowotnej. Na posiedzeniu egzekutywy komitetu miejsko-gminnego PZPR w Krynicy stwierdzono m. in., że nadmierna wielorakość form organizacyjnych lecznictwa uzdrowiskowego uniemożliwia efektywne wykorzystanie istniejącej bazy technicznej oraz kadr. Tezę tę rozwijało wielu moich rozmówców dowodząc, że od mnogości sanatoryjnych decydentów (zarządy uzdrowisk, resorty, zakłady pracy, związki zawodowe) prowadzi prosta droga do katastrofy. Naczelni lekarze uzdrowisk uważają, że decyzja kto, w jakim sanatorium ma być leczony, powinna należeć do nich. Dr Andrzej Grabka z Muszyny opowiadał mi o ludziach źle chodzących, kierowanych do sanatoriów położonych na wzniesieniach. Niektórzy nie mogą pokonywać licznych schodów, przez cały turnus pozostają w swych pokojach. Dr Ryszard Florków z Krynicy i dr Stanisław Berszakiewicz ze Szczawnicy zwrócili uwagę na fakt, że konsultanci kierujący kuracjuszy do sanatoriów znają wprawdzie ogólne wskazania lecznicze uzdrowiska, ale nie mają pojęcia o warunkach panujących w konkretnych sanatoriach. dlatego o tym, „kogo gdzie" skierować, powinno się decydować na miejscu. Np. w Muszynie sanatorium „Metalowiec" ma własną borowinę, a w wielu innych sanatoriach tegoż uzdrowiska borowiny nie ma. Osoby potrzebujące zabiegów borowinowych należałoby kierować do „Metalowca", nawet jeśli są zatrudnione w innym przemyśle.

Zgoda, że liczne zakłady pracy „utopiły" duże sumy, budując własne sanatoria i dlatego chcą mieć w nich miejsca dla swych załóg. Można to jednak załatwić. Choćby w ten sposób, że zakłady pracy mogłyby zachować określoną liczbę miejsc w uzdrowisku, lecz o tym, w jakim sanatorium są one do dyspozycji, decydowałaby miejscowa służba zdrowia. Nie chcę oczywiście sprawy upraszczać, gdyż różni decydenci rozporządzają obiektami o niejednakowym standardzie i nie chcą zrezygnować ze swej własności. Różne sanatoria dysponują też własnymi samochodami dostawczymi, grupami remontowymi, mają własną zdecentralizowaną administrację, własne służby zaopatrzenia. Lecz czy nie jest i tak, że oto w ten sposób wiele ludzkiej pracy się dubluje i marnuje? Można byłoby tego wszystkiego uniknąć właśnie dzięki wprowadzeniu niezbędnej integracji uzdrowisk pod egidą Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej.

Problem jest wielopłaszczyznowy. Np. płace personelu różnych sanatoriów, jakże zróżnicowane, powodują niekorzystną dla kuracjuszy fluktuację kadr, głównie specjalistycznych.

We wspomnianej uchwale egzekutywy komitetu PZPR w Krynicy mówi się wręcz o zjawisku migracji kadry uzdrowiska w poszukiwaniu korzystniejszych warunków pracy, płac i świadczeń socjalnych. Różnice są drastyczne. Dysproporcje dotyczą również specjalistycznego wyposażenia sanatoriów. W krynickim sanatorium „Budowlanych" można dokonać badań, jakich nie podejmie się nawet nowosądecki szpital wojewódzki. Czy — rodzi się takie pytanie — uzdrowiskowa baza diagnostyczna nie powinna być wspólna i łatwo dostępna dla wszystkich kuracjuszy?

Lekarze, z którymi rozmawiałem powiadają, że trzeba wreszcie rozstrzygnąć dylemat: sanatoria resortowe czy związkowe, zintegrowane czy rozproszone?

*

Dyrektor uzdrowiska Szczawnica otrzymawszy kalkulację kosztów własnych niektórych usług terapeutycznych, nie mógł w przedstawione mu przez ekonomistów liczby uwierzyć. Okazało się, że przedsiębiorstwo może osiągnąć niewielki, bo 10 proc. zysk, jeśli np. jeden zastrzyk domięśniowy (sama czynność) kosztować będzie 300 zł, a kilkuminutowe badanie okulistyczne nieco ponad 1000 zł. We wstępnych przymiarkach jedną wizytę u lekarza uzdrowiskowego skalkulowano na 600 zł. Takie racje cenowe, choć oparte na rzetelnym rachunku ekonomicznym, nie zostały przyjęte. Dyrekcja uzdrowiska znacznie je obniżyła przez co wiele badań nadal pozostało deficytowych. Trzeba to będzie wyrównać, kalkulując koszt innych usług, bo reforma gospodarcza ma swoje prawa. Stanęło na tym, że za jeden sanatoryjny „osobodzień" przedsiębiorstwo musi uzyskać w sezonie około 900 zł. Tyle też od ministerstwa zdrowia otrzymuje. W innych uzdrowiskach koszt „osobodnia" jest podobny; np. w Krynicy wynosi on 820 zł. Gdy zapytałem w dyrekcji uzdrowiska, dlaczego aż tyle, otrzymałem odpowiedź, że trzeba przecież utrzymać pijalnie, park, zmieścić się w planie remontów, a wszystko kosztuje.

W uzdrowiskach coraz częściej mówi się o niezbędnych oszczędnościach. Ulec powinny obniżeniu koszty własne „osobodnia", ale nikt jeszcze nie wie, na co zaoszczędzone pieniądze mogą być przeznaczone. Czy będzie można podwyższać załogom płace, rozbudowywać bazę techniczną uzdrowiska, kupować specjalistyczny sprzęt medyczny? Na razie samodzielność jest tu niewielka. Jeśli zarząd uzdrowiska nie może nawet przyjąć pracownika bez skierowania z urzędu zatrudnienia, to co dopiero mówić o uznaniowym podwyższeniu płac? No, można powiedzieć, że to dopiero pierwszy rok reformy, więc nie wszystko jest jednoznaczne. Na razie pewne jest tylko to, że trzeba oszczędzać i efektywnie gospodarować, licząc się z każdym groszem.

Duże możliwości oszczędzania tkwią m. in. w organizowaniu własnej bazy żywieniowej. Myślę tu o szklarniach, gospodarstwach rolnych i hodowlanych. Przeciętny dzienny „wsad" do sanatoryjnego kotła wynosi na 1 kuracjusza 127 zł. Wszystkie uzdrowiska starają się tę kwotę obniżyć, oczywiście bez obniżenia ilości i jakości potraw. Najwięcej kosztuje mięso i stąd wiele inicjatyw hodowlanych; tym bardziej, że kuchenne zlewki nazbyt często marnują się.

Mówi się też o kompresjach etatów. Są takie plany, wszędzie gdzie byłem. Zmniejszenie etatów w administracji i działach technicznych, nie wchodzących w skład personelu służby zdrowia, może szybko zaowocować oszczędnościami. Jest to jednak zaledwie margines problemu.

*

Z materiałów resortowych oraz sejmowych dotyczących aktualnego stanu lecznictwa uzdrowiskowego wynika, że sytuacja południowej Polski jest w dużej mierze typowa dla całego kraju. Wszędzie odnotować można pogarszający się stan środowiska naturalnego, niedostatek specjalistycznej kadry medycznej, dekapitalizację budynków uzdrowiskowych zarówno zabiegowych jak i mieszkalnych.

Opanowanie istniejących zagrożeń utrudnia — powtórzę to raz jeszcze — wadliwa struktura organizacyjna kierownictwa uzdrowiskowego, a w szczególności mnogość gestorów. Wydaje się, że istnieje więc pilna konieczność podporządkowania całokształtu problematyki uzdrowisk jednemu gestorowi, chodzi bowiem o to, by leczenie sanatoryjne weszło wreszcie w skład całokształtu opieki zdrowotnej w kraju.

PAŹDZIERNIK

Płk JERZY GRODECKI z okazji Święta Milicji Obywatelskiej i Służby Bezpieczeństwa: — *Żyjemy w społeczeństwie, jesteśmy jego cząstką, chcemy iść mu z pomocą — nie sloganami, lecz codziennym wysiłkiem wszystkich funkcjonariuszy. Pragniemy także zamknąć pewną kartę niedawnej przeszłości. Myślę o konfliktach, skłóceniach i rozdarciach politycznych przed 13 grudnia. Nie chcemy pamiętać, brać rewanżu... Polska potrzebuje zgodnej pracy, odnowy życia gospodarczego i społecznego, łagodzenia napięć. Taka jest wola większości obywateli. My jesteśmy aktywnie obecni w tym nurcie przemian, wspieramy je i współtworzymy.*

*

JANUSZ TOMALSKI podczas Plenum KW poświęconego sprawom młodzieży: — *Młodzież jest szczególnie wrażliwa na sprawiedliwość społeczną. Wiadomo zaś, że właśnie ta zasada stanowi podstawę naszego ustroju. Rzecz w tym, by naturalną tęsknotę młodych za światem sprawiedliwie urządzonym wykorzystać jako pomost łączący Partię z młodymi. Przeszkodą w budowie tej więzi bywa każde odstępstwo od idei, każda niesprawiedliwość. Młodzi reagują wtedy spontanicznie, niecierpliwiej domagają się karania winnych. Odgrodzeni od prawicy społecznej, zbijającej kapitał zaufania na naszych błędach, mogą stać się ważnym czynnikiem sprawczym odrodzenia moralnego, jeśli socjalizm będziemy im prezentować jako proces społeczny, jako zespół zadań do wykonania, jako walkę przeciw nierówności, nietolerancji i znieczulicy. Im więcej wokół nas będzie sprawiedliwości, tym silniejszą atrakcyjność w młodych oczach zyskiwać będzie socjalizm. Im więcej odniesiemy sukcesów w eliminowaniu zła, w racjonalnym urządzaniu świata, tym szybciej młodzi uznają socjalizm za swoją własną sprawę.*

*

● Na czele Tymczasowej Wojewódzkiej Rady PRON stanął Jan Turek. Wystąpiono z apelem do społeczeństwa o szersze włączenie się do Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego ● Trwają konsultacje wokół rządowego programu budownictwa mieszkań. Sekretarz KW, LUDWIK KAMIŃSKI, udzielił nam wywiadu na temat barier hamujących rozwój „mieszkaniówki" ● Śmierdzącą kiełbasę oferuje klientom Rejonowa Spółdzielnia „Samopomoc Chłopska" w Nowym Sączu. Sprawę przejął prokurator ● Dyr. STANISŁAW LEŚNIK z UW oferuje pomoc przy uruchomieniu „pogotowia" przyjmującego skargi obywateli. Brak odzewu ze strony pozostałych partnerów, których prosiliśmy o współdziałanie ● Szczawnica i Krościenko rozdzielone (piszemy o tym szerzej wewnątrz bieżącego numeru) ● Uroczyste obchody Dnia Wojska Polskiego oraz Dnia Edukacji Narodowej ● Publikujemy reportaż o pierwszych dniach nowych związków zawodowych ● Zastępca dyr. Wydziału Komunikacji UW odpowiada wstępnie na naszą interpelację w

(DOKOŃCZENIE NA STR. 10—11)

DUNAJEC

JULIAN KAWALEC

PRZY PŁUGU

/FRAGMENT/

Ten chłopak — chłopak nie chłopak, bo to jeszcze dziecko, sześć, siedem czy osiem lat — ma już za sobą pasienie gęsi a więc i ucieczkę przed rozjuszonym gąsiorem sunącym chyłkiem z groźnym sykiem za gołą nogą chłopaka, ale i odparcie za pomocą kija ataku tego wściekłego gąsiora; i ma już za sobą widok wrony spadającej znienacka na nieostrożne kurczę, i widok zagniewanej twarzy matki, jej roztrzepotane ręce i głośną wymówkę — nie upilnowałeś, porwała, przy tobie porwie wszystkie...

Wie już ten chłopak, jak się chodzi boso po ściernisku, i jak umie się schować kłos w tej rudej, ostrej szczecinie pokrywającej wczesno-jesienne pole, bo ma już za sobą zbieranie kłosów czyli to polowanie na kłosy ostatnie, które wymknęły się palcom dorosłych wiążących snopy i zębom grabi, i zachodzącym mgłą oczom starych...

Ma już ten chłopak za sobą noszenie drewna z drewutni do kuchni, konszachty z psami i kotami, wspinanie się na jabłonki a nawet przedziabanie patyka prawdziwą, dużą siekierą trzymaną w dwóch rękach, i wiele innych rzeczy, których dochodząc do swojego wieku powinien się nauczyć...

A teraz zabiera się do rzeczy ważnej, trzyma już w rękach lejce, przed sobą ma dwa konie, dwie kobyły, karą i łysą kasztankę przyprzągnięte do pługa, za pługiem stoi worek z żytem, a przy worku dziadek...

Naokoło tego wszystkiego ziemia, taka jakaś umordowana, zbita, obumarła ziemia, bliżej i dalej ziemia, aż do tych wierzb przy kamiennej drodze i do tej dzwoniącej kuźni, aż do wieży kościoła, aż do chmur ziemia...

Chłopak zapomniał o całym świecie, drży i myśli sobie — żeby ta kara poszła samym środkiem miedzy a kasztanka niżej, bruzdą, gdy dziadek chwyci pług i powie — ruszaj; i żeby szły równo na drugi koniec pola, to się dobrze oborze, wiem, że tak powinno być ale jeszcze nie próbowałem, bo mi nie dali, mówili, że jestem za mały...

— Już, no już dziadku...

— Jeszcze nie...

Nie bój się — uspokaja sam siebie chłopak — przecież wszystko wiesz o lejcach, bo je nieraz robiłeś z łyka; i o jeździe wiesz wszystko, bo często przyprzągałeś drugiego chłopaka do małego, drewnianego wózka i do pługa z kija, i do tego swojego koleżki, który podskakiwał i rżał mówiłeś jak do prawdziwego konia — nazad, nastąp się, wio, wiśta...

A później była zamiana, bo on nie chciał być wciąż koniem, a ty wciąż chłopem, a potem znów ta zamiana...

Nie bój się — wciąż uspokaja samego siebie ten chłopak — wszystko naokoło ciebie jest dobre, konie skubią przysuszone źdźbła trawy i spokojnie czekają, i są dobre, zgrzebny worek i to żyto w nim są dobre, i dziadek jest dobry, przypomnij sobie jak klął, gdy spadłeś z drzewa i złamałeś rękę, od razu po tych jego strasznych przekleństwach poznałeś, że cię lubi...

Czego się boisz...; że te skórzane lejce to zupełnie co innego niż lejce z łyka, że dziadek nie chwyta za capigi a klęka na gołej ziemi i żegna się, a potem wstaje i mówi do ciebie — przeżegnaj się...

Co ten dziadek wyprawia, zachowuje się tak, jakby spotkał Boga i przeląkł się, a tu przecież jest tylko ta rozpostarta ziemia, przecież nic się nie zjawiło, żadna światłość nie błyska, nic tylko ta rozpostarta ziemia, sama, goła ziemia...

Poszło dobrze chłopakowi to poganianie przy pługu, może nie tak zupełnie dobrze, bo w twardszych miejscach pług wyrywając większe bryły, parę razy ściągnął karą z miedzy w bruzdę, nim chłopak zdążył szarpnąć lewym lejcem i parę razy dziadek zawołał ostro — patrz, jak ci idą konie — ale gdyby wziąć pod uwagę całe poganianie, to poszło ono nieźle...

Poszłoby jeszcze lepiej, gdyby dziadek dał spokój ziemi i pozwolił pługowi iść bez przerwy z jednego krańca pola na drugi, ale on nie pozwolił...

Wołał do chłopaka — stanij — a gdy on przyciągnął lejce i konie zatrzymały się, zajmował się różnymi bryłami, kawałkami skiby, przerzucał je rękami z miejsca na miejsce, wyrównywał bruzdę, dogniatał, przygniatał, macał żelazo pługa, przekładał łańcuch na grądzielu, zdzierał pazurami ziemię z kółek i coś przy tym mruczał, nie śmiał się, nie mówił nic wesołego, tylko coś wymrukiwał jednostajnie jakby odmawiał pacierz, ale to przecież nie mógł być pacierz, bo jak można modlić się do bryły...

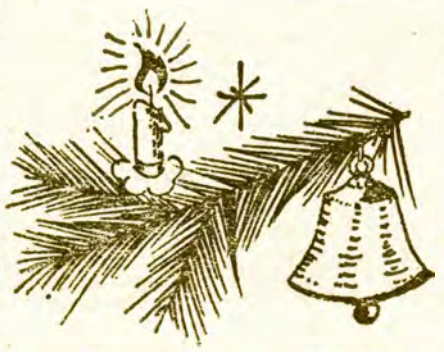

Dopiero po pewnym czasie, gdy sobie po tych zajęciach odsapnął, mówił cicho — wio — i to „wio" chłopak powtarzał głośno, podawał koniom i one ruszały...

To poganianie przy orce zmęczyło chłopaka, ale nie ma zmęczenia przy rozkoszy kierowania i rządzenia końmi; nie ma zmęczenia, choć jest, gdy się lekkimi pociągnięciami lejców kieruje łbami i nogami koni...

Szarpniesz lekko skórzanym paskiem i taki wielki jak skrzynia łeb, i taka ogromna noga, która by cię mogła zgnieść jak robaczka, i takie ogromne jak krypa ciało zwraca się w lewo; znów pociągniesz albo tylko poruszysz skórzanym paskiem i te ogromy zwracają się w prawo, i choć jesteś mały i bosy, jesteś królem, od dobrych, wielkich koni dostałeś tę niewidzialną koronę...

Zaraz będzie pierwsze bronowanie, przejedzie się raz bronami po polu, żeby trochę zrównać ziemię przed wrzuceniem ziarna, a dopiero potem będzie bronowanie prawdziwe, to znaczy długie, dokładne...

Chłopak bardzo by chciał bronować, ale dziadek chyba mu nie pozwoli, bo myśli, że ten mały nie poradzi sobie z tą robotą i poomija skiby, a to złości dziadka...

Chłopak rwie się do tego bronowania, bo wie, że w tej robocie byłby tylko on i konie, nie tak jak przy orce, przy której na pierwszym miejscu był dziadek a chłopak na drugim, a może dopiero na trzecim, i może mogłoby się obejść bez chłopaka, gdyby się dziadek uparł i krzyknął tym swoim skrzekliwym głosem — nie potrzebuję nikogo do poganiania koni, sam sobie poradzę...

Ale jest nadzieja, że on każe chłopakowi bronować, bo go bolą nogi...

Niech go bolą — wykrzykuje w sobie ten chłopak — niech go bardzo bolą, niech go tak rozbolą, żeby musiał zejść z pola, żeby usiadł na miedzy albo dalej na niskiej żerdzi i tam pożalił się sąsiadowi...

Wtedy zostałbym sam z końmi, mógłbym szarpnąć za lejce i krzyknąć ostro do koni — wio — jak duży chłop, przyciąć im batem z całych sił i zwymyślać konie, zawołać wściekle przez zęby do karej, która lubi się schylić po kilka źdźbeł rosnących na bryle — hej, ty nienażarta, ruszaj się; a do kasztanki, która lubi przystawać, potrząsać łbem i prychać na wszystkie strony — no, no, co za zabawy, chcesz pewnie, żeby cię „pogłaskać" batem po skórze...

Mógłbym wtedy zakląć jak prawdziwy gospodarz — do jasnej cholery, do pioruna — gdyby konie przy końcu pola chciały za wcześnie zakręcić i przeszkodzić bronowaniu pod linię...

Konie zostały już przeprzągnięte z pługa do bron i za chwilę się rozstrzygnie, kto weźmie lejce...

Wszystko teraz zależy od dziadka, ale tak po prawdzie wszystko zależy od bólu, który on ma w nogach, ból teraz jest na pierwszym miejscu, trzyma całą władzę, rządzi dziadkiem, a jak dziadkiem to i chłopakiem, i końmi, choć przecież chłopaka i koni nic nie boli...

Chłopak wpatruje się w nogi dziadka z całą siłą, jakby chciał ujrzeć ten ból; i można powiedzieć, że go ujrzał jako dwa pofalowane, rozpalone druciki w dwóch jego nogach; gdy te druciki ostro się żarzą, nogi bardzo bolą a gdy przygasają, ból się zmniejsza...

Niech będą czerwone — myśli chłopak — choć mu żal dziadka, ale bardzo chce być sam przy koniach, żeby nimi rządzić bez niczyjej pomocy, i żeby się go konie bały, jak prawdziwego chłopa...

A jednak dziadek wziął lejce i zaczął bronować, ale chłopak który miał na oku jego nogi, nie zmartwił się tym, bo wiedział, że dziadek wnet mu odda konie...

Bronuj, bronuj — myślał chłopak — nie pobronujesz długo, bo twoje nogi nie idą, a wloką się po nierównych, miękkich skibach, może raz objedziesz, a może uda ci się dwa razy objechać i staniesz, i powiesz mi — weź konie i spróbuj bronować, a ja sobie usiądę i spocznę, bo mnie okrutnie bolą nogi; i może jeszcze nim usiądzie na miedzy albo na żerdzi płotu sąsiada, rzeknie — dość się nachodziłem w życiu...

Chłopak sporo wie o dziadku, bo nieraz wieczorem siedział w kuchni i słuchał, co mówią starzy, i musiał się dowiedzieć, że w jego życiu uzbierało się tych długich dróg, bo dziadek chodził nie tylko po polu, ale nieraz szedł piechotą do dużych miast, które są daleko i z tych miast piechotą wracał na pole, i że pojechał w obce kraje, chodził po obcych, dziwnych ziemiach i znów wrócił na swoje pole...

Potem wybrał się jeszcze dalej, jechał pociągiem, płynął okrętem i długo chodził po jakichś ame-

---

„DUNAJEC" w stanie wojennym

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 9)

sprawie dojazdów do pracy i do szkół, obiecuje konkretniejszą informację *„po kompleksowym przeanalizowaniu zagadnienia"*. Czekamy ● W nowotorskim kombinacie obuwniczym zrezygnowano z 10 wolnych sobót. Spodziewany efekt: 250 tysięcy par butów!

LISTOPAD

Każde posiedzenie Egzekutywy KW rozpatruje stan realizacji zadań wynikających z zaleceń Centralnej Komisji Rewizyjnej PZPR ● Trwa kampania sprawozdawcza w organizacjach partyjnych ● Kłopoty z obuwiem zimowym ● Powstają kolejne grupy inicjujące nowe związki zawodowe ● Naczelnik Nowego Targu powołał zespoły kontroli społecznej, które wzorem wojskowych grup operacyjnych badają funkcjonowanie przedsiębiorstw i instytucji ● Uroczystości w 65. rocznicę Wielkiej Rewolucji Październikowej. Pod Pomnikiem Lenina w Poroninie barwne widowisko plenerowe ● Na Plenum ZW TPPR o skutecznych sposobach krzewienia przyjaźni polsko-radzieckiej ● Rady PRON w kolejnych miejscowościach regionu ● Dr ANDRZEJ B. KRUPIŃSKI został dyrektorem Wydziału Kultury i Sztuki UW ● Flisacy pienińscy podsumowali sezon: frekwencja turystów o połowę mniejsza. Z cenami igrać nie warto ● Na Plenum WKKP o potrzebie rzetelnego ujawniania powodów odchodzenia ludzi z eksponowanych stanowisk i funkcji, gdyż taka informacja jest czynnikiem wychowującym i ostrzegawczym dla innych ● Jubilusz 35-lecia Muzeum w Poroninie, jedynego w świecie leninowskiego muzeum we wsi ● W związku ze śmiercią **LEONIDA BREŻNIEWA** depeszę kondolencyjną do komunistów Uljanowska przesłał I sekretarz KW, **Józef Brożek**. Delegacja województwa złożyła wizytę kondolencyjną w Konsulacie Generalnym ZSRR w Krakowie ● Plenum WK ZSL o sytuacji zdrowotnej nowosądeckiej wsi ● Odwiedziliśmy Frydman. W lipcu wieś spustoszył pożar Dziś — dzięki wzajemnej życzliwości ludzi i pomocy władz — prawie nie widać śladów tamtego nieszczęścia.

*

Z komunikatu WKO: — **Spośród 150 tysięcy zatrudnionych w kilkuset zakładach i instytucjach woj. nowosądeckiego przerwało pracę w dniu**

rykańskich miastach, dźwigał tam cegły, kłody drewna i zabite zwierzęta, i znów wrócił na swoje pole, które po każdym przyjeździe dziadka robiło się trochę większe, ale wciąż było małe...

Tyle dróg przemierzył dziadek, a później ojciec chłopaka, tyle różnych ciężarów się nadźwigali, a pole tylko odrobinę się powiększyło, ręce się im wydłużyły jak małpom, nogi spowolniały, grzbiety pochyliły, a pole wciąż było małe, bo tylko ciut, ciut się powiększyło, włosy im posiwiały, oczy zapadły, a pole wciąż było małe...

Te jego nogi — myśli jeszcze chłopak — zrobiły milion a może więcej mil, chodziły po gołej ziemi, po betonie, szły pod górę po kamieniach, po drabinach, ale dobrze, że się tak nachodziły, bo mi musi teraz oddać konie...

Raz to on na pewno objedzie bronami — kombinuje dalej chłopak — objedzie, żeby wyrównać brzegi pola, bo to jest trudniejsze i zaraz potem da mi konie...

I tak się stało, i chłopak znów chwycił lejce, a dziadek zszedł z pola i usiadł na podeschniętej kopce perzu, w takim miejscu, w którym siedząc i spoczywając mógł i z sąsiadem rozmawiać, i na bronowanie popatrywać...

Wzięcie lejców przez chłopaka odbyło się za zadami koni i one tego nie widziały, bo patrzyły przed siebie, a potem schyliły się i obwąchiwały ziemię, i kto nie zna koni, mógłby pomyśleć, że ich zupełnie nie obchodzi ta przemiana rąk na lejcach...

Ale one choć nie widziały, wiedziały, że lejce trzyma chłopak, a dziadek oddalił się i zostawił je z samym chłopakiem...

Bo koni nie da się oszukać i one jeszcze nim ujrzą, i nim usłyszą głos, już wiedzą, kto je ma na lejcach...

Choćby się im zawiązało oczy i zatkało uszy, wiedziałyby, w jakich są rękach lejce...

Nie wiadomo skąd to się bierze, może to żelazo, które muszą trzymać w pyskach i które dogniata kąciki ich warg, mówi koniom, że nastąpiła przemiana rąk na rzemieniach...

A może sposób, w jaki ich zady są muskane i pobijane rzemieniami, daje znak koniom, że z tyłu za nimi lejce przeszły z jednych do drugich rąk, a może jakieś inne, koniom tylko znane odczuwanie podszeptuje — uwaga, nowe ręce na lejcach...

Koni nie da się oszukać i choć są one zamknięte w stajni, wiedzą, co się dzieje za ścianami i drzwiami, i kto zbliża się do drzwi i chwyta za skobel; czy taki, którego trzeba powitać rżeniem, czy taki, który zasługuje na milczenie i obojętność, czy taki na którego musi się przygotować kopyta i zęby...

I one zaraz się wyznają, czy to jest ten, który tuż przy ich końskim losie ciągnie swój ludzki los, czy ten, który zrobił koniowi łaskę i raczył zniżyć się do końskiego losu, który chełpi się i wywyższa przed końmi, i myśli sobie — głupie zwierzę...

Koń, niby mądry doświadczony starzec, umie ocenić człowieka i choć nie mówi, daje mu dobre rady i z pewnością samym sposobem życia wiele go uczy, choć jednak nie udało się koniowi dotąd namówić człowieka, aby odrzucił bat, aby połamał biczysko na kawałki, pociął węzłasty sznurek i upuścił to w błoto, wdeptał w śmiecie...

I mała jest nadzieja, by kiedykolwiek udało się koniom wpoić ludziom niechęć do śmigania, potrząsania i uderzania batem...

A tacy są mądrzy, tacy czuli, tacy pobożni i mili, a jednak bardzo pragną trzymać bat w swoich rękach...

Tak pięknie mówią i śpiewają, a jednak pędzą na wyścigi i każdy chce być pierwszy na mecie, żeby zdobyć bat i użyć go przeciwko tym, którzy się spóźnili albo nie zdołali dobiec...

Bat się rozmnożył i wciąż się rozmnaża, i próżne są marzenia, koni, aby go wyplenić...

Bat jest wszędzie i ma różną postać, są baty z konopi, i są baty posrebrzane, pozłacane, i od tego jak trzymasz bat, zależy kim jesteś...

Są stare, zużyte baciska i nowe, młode baciki, bat jest wszędzie, w fabryce, w szkole, bat jest w słowie, w oczach, w ruchu ręki i myśli, bat jest w bibliotece, w instytucie, w kościele, w miłości, w nienawiści, bat niby jaskrawa, rozpalona wstęga opasuje ziemię i świetliście wystrzela, wyśmiguje aż do niebios, bat jest ozdobą ziemi i ozdobą nieba...

Jak więc może udać się koniom połamanie i pokruszenie, uczynienie góry śmieci z tylu batów...

A wracając do tego bronowania trzeba powiedzieć, że gdy kara i kasztanka zorientowały się, kto jest przy lejcach, gdy odczuły, że trzyma je nie stary a dziecko, i że przy dziecku nie ma starego, jak było w czasie orki, „pomyślały", że mogą sobie pofolgować, zwolnić kroku, rozglądnąć się na prawo i lewo, poszperać wargami za resztkami trawy z uporem uczepionej ziemi i wysmykniętej nad skiby, poluźnić chomąta na karkach i dopuścić do spoconej skóry rześkie powietrze...

Chłopak wykrzykuje — wio — szarpie lejcami, śmiga i uderza batem, podskakuje na skibach i rzuca przekleństwami, jak może przemienia się w dorosłego, ale konie wiedzą, jak jest i nie słuchają go, bo go wychowują, aby nie myślał, że wystarczy chwycić lejce i robota pójdzie...

Chłopak staje się coraz bardziej srogi, a konie idą, jak chcą i brony posuwają się wolno pofalowaną linią...

Chłopak nie wytrzymuje już tej nie swojej srogości i tego wychodzenia ze swojej skóry i wchodzenia w skórę starego, staje się więc na powrót małym chłopakiem i cicho płacze, a potem znów próbuje porzucić swoją skórę i przebrać się w skórę dorosłego, krzyczy i przeklina jak stary, ale konie nie przejmują się tym, idą jak chcą, a linia bronowania staje się coraz bardziej falista...

Chłopak wstydzi się i ze wstydu wścieka, tak się wścieka, że zwraca uwagę dziadka i on widząc, co się dzieje z końmi i chłopakiem, woła z daleka i upomina konie — co znowu, co znowu, chcecie, żebym was „połechtał" batem; i on jeszcze do koni z tej kopki perzu — na której siedział — iść równo, bo umoczę bat w rowku z wodą i przyłożę wam...

Od razu można było poznać, że doleciały do koni napominania dziadka, bo one zaraz zgrzeczniały i zaczęły słuchać chłopaka i już do końca bronowania słuchały, jakby wiedziały, że to oddanie lejców chłopakowi, to nie żadna zabawa ani miłość dziadka, który chce wnukowi zrobić przyjemność, a rzecz poważna i że konieczna jest ta przemiana rąk, i że tak być musi, bo tak jest w życiu i na to nie ma rady...

Po pierwszym z grubsza równającym skiby bronowaniu, było sianie z płachty, w czasie którego z prawej ręki dziadka wylatywało ziarno rozpryśnięte w bladozłociste półksiężyce, migotliwe a jednak przez moment wyraźnie zarysowane w powietrzu, nim wpadło w ziemię...

Po zasianiu było bronowanie dokładne, aż do skruszenia wszystkich brył i przemienienia ich w bryłki nie psujące jednostajnej równości pola, aż do tego ogromnego, ciemnopopielatego podścielonego na ziemi płótna...

Nim się to stało dziadek mówił do chłopaka — będziesz bronował, aż zabronujesz dobrze, choćby nas tu noc zastała, będziesz bronował, bo pole musi być równe...

Ale jednak samo bronowanie, nawet szybkie przeciąganie bron po polu w trudnym dla koni kłusie, stawanie na bronach i dodatkowe obciążanie ich klocem nie wystarczyło, aby pole wygładzić do równa, gdyż pozostały takie twarde, uparte bryły, do których musiało się doskoczyć z motyką i rozbić je na okruchy...

Ale to było już gładzenie końcowe, ostatni szlif, po którym pole przywdziewało wyprasowany, ciemny płaszcz; i jeśli wypadło tu i ówdzie rozkruszyć bryłę, musiało się chodzić po nim delikatnie, bo on przykrywał coś bardzo ważnego, chodzić — można by powiedzieć — fruwająco, stosując ten psychofizyczny wysiłek, aby uczynić siebie najlżejszym i nie zakłócić tych ważnych a delikatnych działań, które już się pod nim zaczęły; ale najlepiej zejść z niego szybko, bo pole po zasianiu stało się nietykalne niby brzuch ciężarnej kobiety...

No, to już — powiedział dziadek, a powiedział wtedy, gdy na kościelnej wieży zgasły czerwone iskry odbierane od zachodzącego słońca i wysyłane w stronę pól, i gdy cała tafla ziemi zaczęła się już opuszczać w mrok...

Fot. MIECZYSŁAW STASZEWSKI

10 listopada jedynie 298 osób w trzech zakładach przemysłowych i jednej spółdzielni. Przestoje były krótkotrwałe. Próba zakłócenia procesu normalizacji życia w regionie nie powiodła się. Kompetentne władze przystąpiły do wnikliwej analizy stopnia odpowiedzialności owych 298 osób, które dały się otumanić prowodyrom dążącym do anarchizacji życia w województwie. Druzgocący wynik swoistego plebiscytu — strajki czy praca — stanie się zapewne ostrzeżeniem dla niedobitków kreciej roboty przeciw państwu i przeciw narodowi.

*

Spore zainteresowanie towarzyszy naszym relacjom o przebiegu wojskowych działań kontrolnych. Czytelnicy pytają wszakże o efekty, o ciąg dalszy tego żmudnego procesu odkrywania nadużyć, nieudolności i marnotrawstwa. Są to pytania uzasadnione. Sami również z rosnącym zniecierpliwieniem domagamy się informacji o wszczęciu dochodzeń, czekamy na decyzje dyscyplinarne lub przynajmniej na sygnały świadczące, że kierownictwa kontrolowanych instytucji usuwają stwierdzone niedostatki. Mało, bardzo mało jest takich informacji. Na tle szybkich i ruchliwych ekip wojskowych niekorzystnie wypada działalność niektórych instytucji cywilnych.

GRUDZIEŃ

Z apelu skierowanego do Sejmu przez działaczy PRON:

— Żadne obce i wrogie Polsce siły nie mogą już liczyć na jakiekolwiek szersze poparcie i nie są w stanie poważnie zagrozić postępującemu procesowi społeczno-politycznej i gospodarczej stabilizacji. Dlatego uważamy, że stan wojenny powinien być zakończony w jak najkrótszym czasie.

*

13 grudnia zbiera się Sejm PRL. Kończy się burzliwy epizod naszych najnowszych dziejów. Refleksję na ten temat dajemy na pierwszą stronę świątecznego numeru. Kto nie jest głuchy na argumenty rozumu, ten przyzna, że decyzja podjęta przed rokiem, okazała się dla Polski zbawienna. Podjęto ją z ciężkim sercem w obliczu wyższej konieczności, zrealizowano z ogromną kulturą polityczną, do minimum ograniczono niezbędne środki dyscyplinarne. Społeczeństwo naszego regionu dało w tych trudnych 365 dniach dowód patriotyzmu spokojną, wytężoną pracą przyspieszając wyjście kraju z niebezpiecznej sytuacji.

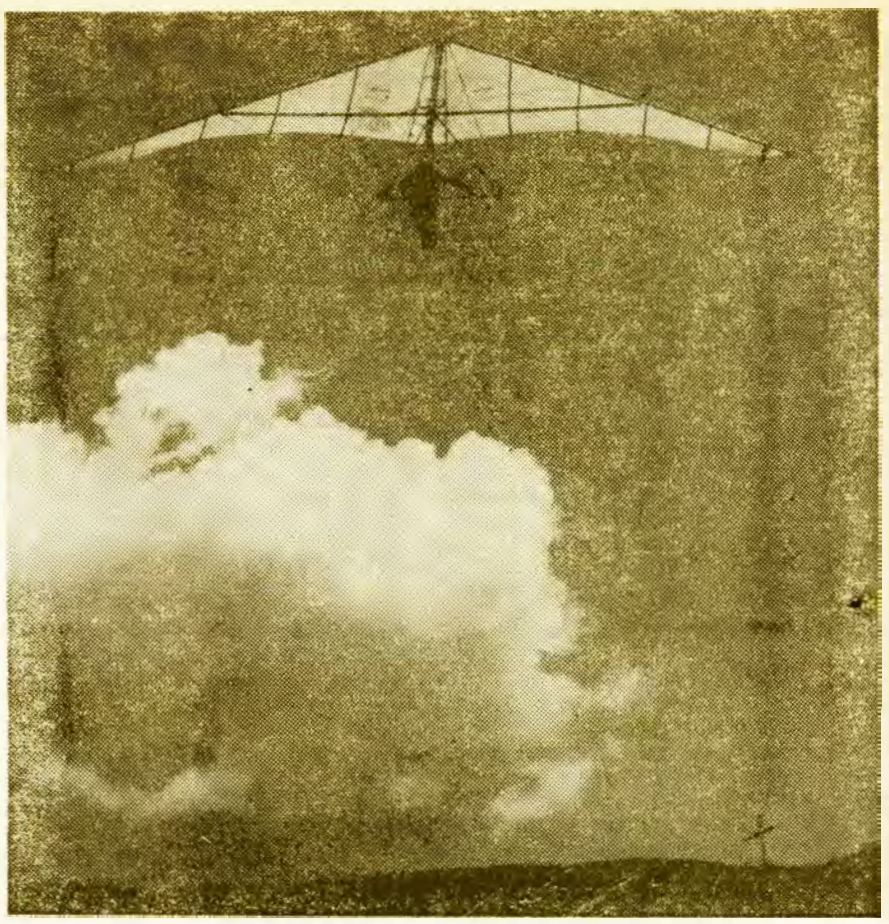

JERZY ŻAK
prezentuje

JANUSZ ROSZKO

WYCHOWANI NA BREDNI

Historia jest nauczycielką życia. Nasze społeczeństwo wychowane na bredni i przepowiedni — powtarza papuzio tę formułkę od dawna. Historia jest jednak nauczycielką. Co z tego? A no to, że każda nauczycielka zrzędzi, poprawia, karci, wypomina, przypomina i ma za złe. Historia jest stara i zrzędliwa, a społeczeństwo młode. Młodość nie lubi gderliwej starości. Toteż nie pozwoliliśmy nigdy tej histori być nauczycielką prawdziwą. I nigdy nam nauczycielką nie była, o nie! Nigdy nie wypominała złych czynów, nie przestrzegała, nie ukazywała błędów, na których można i trzeba się uczyć. Polacy woleli słodki lukier pochwał, po stokroć mądrzejsze wydawało im się pisanie w kółko o kilku zwycięstwach, niż o setce klęsk. Po co uczyć się na klęskach? Uczmy się na zwycięstwach!

To przecież w naszej historii od dawien dawna panowała metoda propagandy sukcesu. Jeżeli ktoś pisał o błędach, a już nie daj Boże o winach narodu — stawał się sprzymierzeńcem wrogów ojczyzny, złym patriotą, wszetecznikiem! Jak potraktowano najmędrsze pokolenie krakowskich historyków, jakie mieliśmy w dziejach naszej historiografii? Myślę o krakowskiej szkole historycznej. Przecież uznano, że ona w końcu „dowiedzie, że Król Herod dobroczyńcą był dla sierot". Pisał to Adam Asnyk, pozytywistyczny epigon romantyków, a raczej romantyk zabłąkany w obcą sobie epokę. Równocześnie wołał, że trzeba „z żywymi naprzód iść, po życie sięgać nowe, a nie w uwiędłych laurów liść z uporem stroić głowę". Któż jednak, od liryków, w cichości strojących swoją lutnię westchnień — wymaga żelaznej logiki? I kto miał przekonywać Adama Asnyka, mego sąsiada z Łobzowskiej w Krakowie, gdzie spomiędzy okien do dziś wychyla się jego głowa odlana z brązu — że tych laurów było jakoś mało w tej historii, a już okropnie mało od XVII wieku poczynając! W XVIII wieku już ich w ogóle nie było.

Francuzi opisywali bez skrępowania swoje wojny religijne, które były przecież wojnami bratobójczymi, myśmy o wojnach bratobójczych woleli zamilczeć. Nie przedstawiła nam historia, nauczycielka życia — tych krwawych okropności, ani głupoty politycznej naszych przodków w całej tej krasie. Bo nie była ona nauczycielką! Była panną do towarzystwa, rajfurką łatwych zwycięstw, ladacznicą udającą damę, aby większym był triumf zdobywców! Zawsze na usługach. Specjalność: podbijanie bębenka. Pożywka nieustanna dla megalomanii narodowej. Nie mówiła prawdy, więc ją zlekceważyli w końcu wszyscy. Nie wiedząc nic, nie znając faktów, Polacy odstrychnęli się od niej, twierdząc że jest zakłamana i oni wiedzą lepiej. Skąd mieli wiedzieć; skąd mają wiedzieć?

Historia jako nauczycielka życia powinna była Polakom zaszczepić kult państwa jako instytucji. Operowała jednak tylko pojęciami naród, społeczeństwo. Rzeczpospolita, ojczyzna. Co to znaczy? Przecież opowiada dzieje państwa polskiego i narodu polskiego. Naród może istnieć bez państwa, trwał tak przez 123 lata. Ale były to lata walki o odzyskanie państwa suwerennego. I niestety, niewiele nas historia nauczyła, choć lekcja była tragiczna, dramatyczna, zapisana krwawo na plecach naszych ojców. Miast tej prawdy otrzymywaliśmy piękne obrazy w złoconych ramach, na których były sceny podniosłe. Pamiętaliśmy o złotych ramach, o ranach nie mówiliśmy nic, albo półgębkiem.

Oto mamy straszliwy XVII wiek. Przerażająca symetria stulecia: pośrodku straszliwy potop szwedzki. Wcześniej bunt kozacki, potem po potopie — jego epilog, czyli poddanie Ukrainy carowi. Pod koniec pierwszego ćwierćwiecza i trzeciego — Turcy, nawała pogańska. I w to wszystko wpisane dwa rokosze, dwie wojny domowe, wzniecone przez durny tłum szlachecki, dla którego ważniejsza zawsze była wolność wewnętrzna, niż zagrożenie zewnętrzne. Nieprzyjaciel stał u wrót, a Lubomirski potrafił gromadzić wojska w obronie zagrożonej wolności złotej, źrenicy praw Rzeczpospolitej. Tymczasem traciliśmy nieodwołalnie lewobrzeżną Ukrainę! Zebrzydowski chodził za królewską armią dowodzoną przez Żółkiewskiego, dążył do rozlewu krwi, to samo powtórzył Lubomirski w pół wieku później. Króla, państwa — bronić będzie prawnuk Żółkiewskiego, Jan Sobieski. Upadek państwa był prostą konsekwencją tego, co stało się pod Żółtymi Wodami, pod Piławcami, pod Ujściem i pod Mątwami. Ten upadek państwa zadecydowany został przez Polaków XVII wieku, choć oni nie zdawali sobie z tego sprawy. Nie mieli perspektywy politycznej, historycznej, nie potrafili przewidzieć. Wyklinający co chwilę Jana Kazimierza, odmawiający mu rozumu i horyzontów politycznych Tadeusz Korzon („Dole i niedole Jana Sobieskiego") jest przykładem smutnym. On niczego nie rozumie, podczas gdy Jan Kazimierz przewidział przyszłość prawidłowo. Abdykował nie tylko przez niezrozumiałą idee fixe osadzania na tronie francuskiego kandydata — ale nie miał już siły rządzić Polakami. To była straszna rzecz — rządzić tym rozhukanym narodem szlacheckim, który nie znał żadnej miary, który uważał, że wszystko mu wolno, który nie chciał słuchać, a nawet na

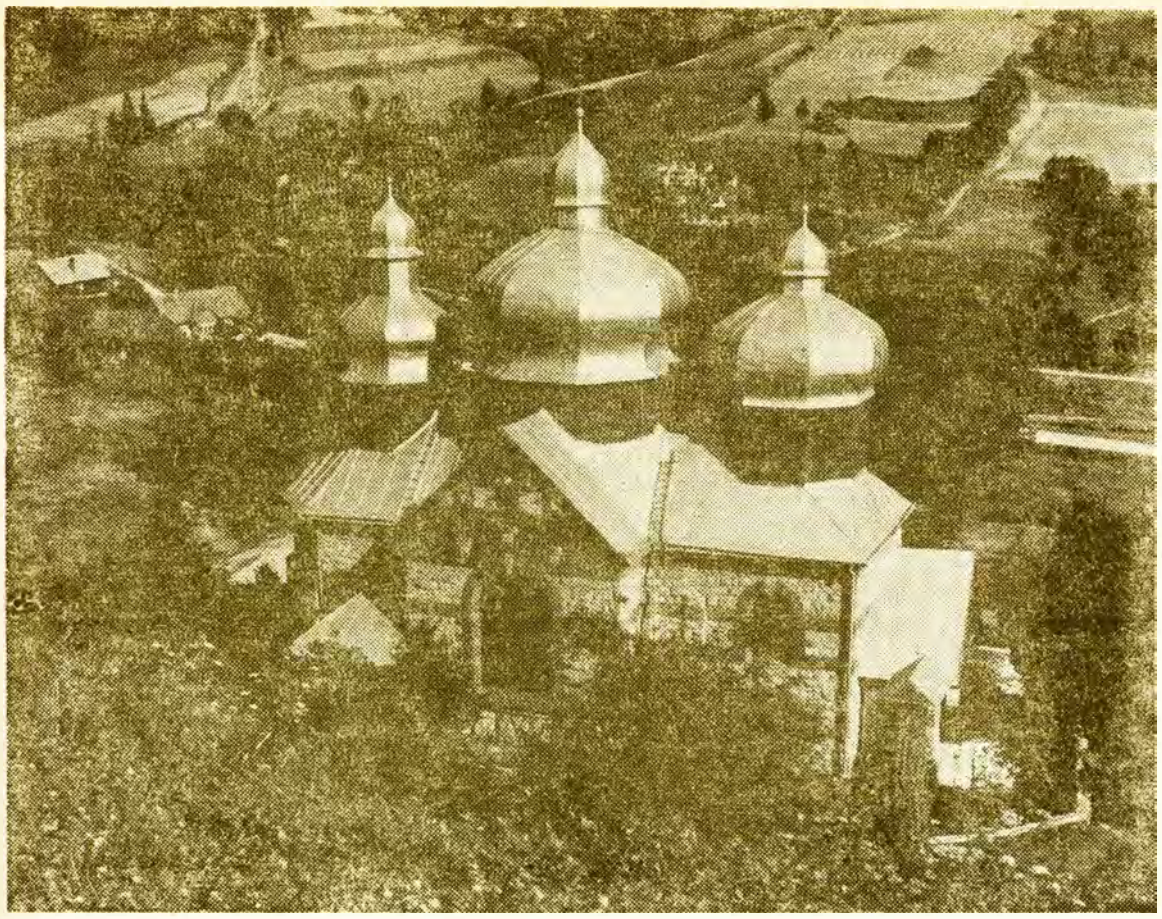

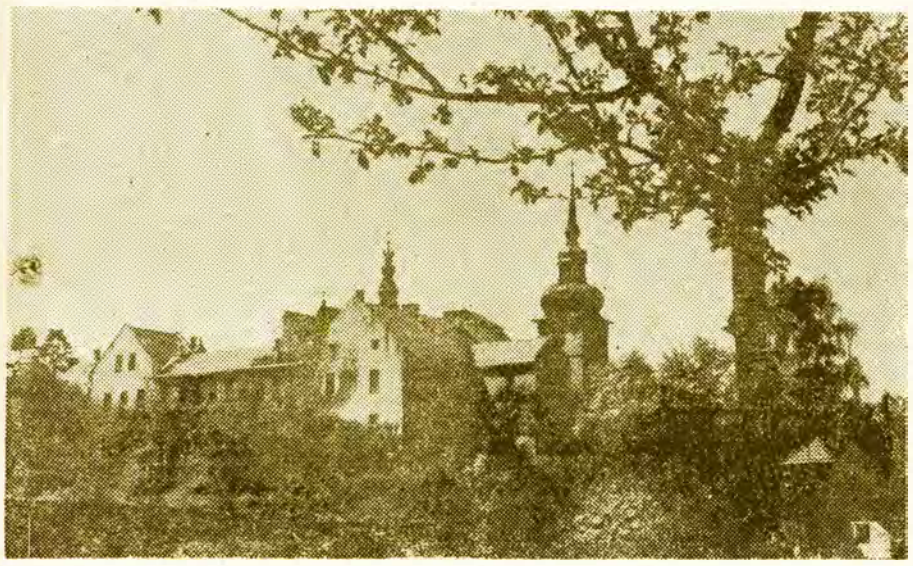

i PRZEPOWIEDNi

polu bitwy, w obliczu nieprzyjaciela dyskutował z wydającym rozkazy, gotów w każdej chwili odmówić ich wykonania. Liberum veto, wolne nie pozwalam! (Czy bakcyl anarchii na pewno nie został nam przekazany w genach poprzez stulecia?!)

Nie chcę dyskredytować znakomitych badaczy przeszłości znawców starych dokumentów, szperaczy archiwalnych. Jednak najczęściej ich wzrok nie wybiega poza mury archiwum; ich horyzonty polityczne są rozległości gminy czy placu targowego, koło którego mieszkają. Mają gdzieś wagę, na której starają się fakty historyczne wyważyć. Chcą być w tym ważeniu dokładni. Idą do apteki, szukają miligramów. Nie wiedzą, że pewne wydarzenia są zbyt wielkie, że się na aptekarską wagę nie mieszczą, że trzeba poszukać wielkiej wagi historii państwa i narodu. Z taką wagą było gorzej, ciągle obsługiwał ją kto inny i kto inny do ważenia wydawał instrukcje. Czy z szuflady jakiegoś dziejopisa wydobyto kiedyś jego opinie niezależne, suwerenne, nie liczące się z nikim, zawierające samą prawdę historii? Nie, takiego przypadku nie znamy. Ale historii Szujskiego, tej pierwszej czterotomowej, czy drugiej w jednym tomie — nikt nie wznowił. Jeżeli wyznawano Bobrzyńskiego — to jego publicystykę historyczną, kuriozum, że tak niegdyś można było patrzeć na historię. Moje pokolenie odwróciło się od niego zupełnie, w roku odnowy 1980-81 zachowywało się nasze młode społeczeństwo nie tylko jakby nigdy nie czytało Bobrzyńskiego, ale jakby w ogóle nie miało w ręku żadnego, nawet zakłamanego nieco podręcznika historii. Można się przecież zastanowić nad faktami, zeskrobując z nich interpretacje!

Ostatni okres przyniósł wiele dyskusji o błędach historii.

Zabierający głos lamentowali, że ktoś zabrał prawdziwą historię Polakom, a teraz należy ją zwrócić. Że została zakłamana, bowiem nie byliśmy ani tacy anarchiczni, ani tak nie uciskaliśmy nikogo. A więc znowu propozycja na historię glansowaną, Grunwald, Neminem captivabimus i 3 Maja...

Zabierający głos w dyskusji o historii na łamach „Miesięcznika Literackiego" (nr 8-9, 1981 r.) wybitny pisarz Andrzej Kuśniewicz wręcz przeraził mnie swoim porównaniem: Janusza Radziwiłła, zdrajcy z czasów potopu, oraz króla Stanisława Leszczyńskiego. Że w gruncie rzeczy obaj współpracowali z tymi samymi Szwedami — więc czego Leszczyńskiego nikt nie nazwie zdrajcą, a raczej czemu się Radziwiłłowi nie przywróci czci? Obie te postacie dzieli od siebie pół wieku, bo Janusz przystał do Szwedów w 1655 roku, a Stanisław za ich sprawą został królem w 1704 roku. Równocześnie jednak dzieli ich epoka: z początkiem XVIII wieku inny był układ stosunków w Europie i inna była rola Szwedów w Polsce. Walka z Piotrem Wielkim była walką o polskie być albo nie być. I dlatego historia oceniła tych dwóch ludzi tak odmiennie.

Zadziwiłem się, bo wiele opinii Kuśniewicza jest słusznych, wiele tam sympatii dla szkoły krakowskiej i dla jej „dalekiego ucznia", Ksawerego Pruszyńskiego. Potem jest polemika: dlaczego w latach 1945 - 1955 wykorzeniono legendę Piłsudskiego, powstania warszawskiego, Armii Krajowej... Ustawienie tych spraw w kolejności jest przypadkowe. Sam Kuśniewicz mówi o „legendzie Piłsudskiego"; na nią pracowało całe XX-lecie międzywojenne i na pewno pora, aby w podręcznikach przyjrzeć się mitowi marszałka z pełną wnikliwością. Czy anty-mit, utworzony po wojnie — zastąpić powrotem do bezkrytycznego mitu sprzed wojny?! A może zaczerpnąć trochę z opinii rządu Angers, z francuskiej epoki Sikorskiego? Nikt dziś nie powie złego słowa o ludziach z AK, czy o powstaniu warszawskim. Są to świętości narodu, zryw walki zdesperowanych. Ale nie bądźmy jednostronni w swoich opiniach. Raz jeszcze przytoczę opinię Pawła Jasienicy, że „powstanie warszawskie skierowane było militarnie przeciw Niemcom, politycznie przeciwko ZSRR, faktycznie przeciw Polsce".

Rzecz w tym, że świadomość historyczna społeczeństwa kształtowana była okazjonalnie. Nie uczyło się historii z fatalnych podręczników, ani cegieł zwanych „syntezami", bo były nie do czytania. Nie zadbano o to, aby ktoś ludzkim językiem tę historię przedstawił narodowi, tę najnowszą. Jasienica doprowadził swoje dzieło tylko do rozbiorów.

Tymczasem nikomu nie chodziło o przybliżenie faktów historycznych w ich prawidłowym wizerunku. Ciągle chodziło o prawidłową interpretację. Ciągle krzyczano o błędach. Aliści historii ma uczyć się naród na błędach przodków, a nie na błędach historyków.

Może ktoś zawoła veto: nie tylko na błędach przodków, ale na ich osiągnięciach. I już jesteśmy znowu przy propagandzie sukcesu, którą nam zawsze hurra-optymistycznie w historii serwowano. Pod Grunwaldem i pod Wiedniem! Ileż wypisano na temat anatomii sukcesu militarnego tych dwóch viktorii, a ile na temat przegranych Maciejowic, czy bitwy pod Mątwami? Jeżeli mówimy, że uczyć się należy na błędach, to dlaczego historii mamy się uczyć tylko na sukcesach?!

(„Zdanie" nr 1/82)

ELŻBIETA GLIŃKA

SKŁÓCONA WIEŚ

— *Tego nikt nie wyprości! Zgody nie będzie!* — wysoki kobiecy głos wybił się ponad gwar panujący w izbie.

Zebranie trwa już drugą godzinę, od początku wypełnione emocjami, zażartą rozgrywką między tymi od sołtysa a Konopkową. Według Konopkowej wszyscy poza nią obecni na sali to „rodzina sołtysa". — *Tylko swych krewnych tu zaprosił* — powiedziała.

— *Nie opowiadaj* — replikowała któraś z kobiet siedzących w drugim kącie sali.

— *Wszyscyście jego rodzina* — upiera się Konopkowa.

— *Tak samo i twoja* — podtrzymała tamta.

No więc — jak? Odpowiedź ważna, bo przecież mamy mówić o sporze ciągnącym się od wielu miesięcy.

Kobiety podrywają się z ławek, skaczą sobie do oczu.

— *Myśmy tu wszyscy do kupy rodzina* — podpowiada mi sąsiad. — *Ale teraz się rozbiliśmy.*

— *Z nią się nie dogadasz!* — krzyczy Maria Janczakowa. — *To wariatka!*

— *Słyszycie?!* — Konopkowa również nasila głos. — *Niech to pani redaktor zapisze!*

— *Miej pretensje do własnego męża* — wtrąca Stanisław Janczak. — *To on powiedział, że nikt ci nic nie zrobi, bo masz wariackie papiery.*

Śmiech. Nie ten dobry, rozładowujący atmosferę, lecz złośliwy, ciężki jak kamień ciśnięty wrogą ręką.

— *Cicho, ludzie! Nie po tośmy się zebrali. Wróćcie do tematu.*

Do tematu wrócić niełatwo. Emocje wybuchają co chwila, przelatują wyzwiska. Jedno — niestety — wiem już na pewno: niełatwo będzie wygasić ten pożar, uspokoić ludzi rozdartych na dwa wrogie obozy, między którymi czerwieni się krew. Bo nawet zabójstwo nie zostało oszczędzone Hubie — maleńkiej wsi niedawno jeszcze słynącej z gospodarności, ze zgodnego budowania wspólnego bytu na tym stoku wystawionym do słońca, wyniesionym wysoko ponad dolinę — tę dolinę, gdzie dziś warczą motory i oślepiają reflektory wielkiej budowy czorsztyńskiej zapory.

A przecież jeszcze dwa-trzy lata temu cała Huba — dwadzieścia trzy gospodarstwa — żyła naprawdę jak rodzina. Działało Kółko Rolnicze, wydłużało się pasmo drogi wiodącej ku światu, nitki rurociągu doprowadziły wodę z odległego o trzy kilometry źródła, telefoniczny kabel dał szansę kontaktu z innymi miejscowościami. Huba cieszyła się nową, nieopodal biegnącą szosą oraz tym, że wkrótce dzieci bliżej będą miały szkołę: w Nowych, a nie Starych Maniowach.

— *My byśmy wszystko zrobili dla siebie, dla swojej wsi* — mówi Józef Bubis. — *O wszystkim decydowaliśmy wspólnie, na zebraniach. Był taki czas, że Konopka razem z sołtysem załatwiali pomoc wojska. A dziś...*

— *Dziś co sołtys wymyśli, to inni przytakną, bo się go boją, a ludziom się wmawia, że zebranie uchwaliło* — powie w tydzień później Wiktor Konopka. Konopka to „złota rączka" Huby, domorosły hydraulik, były I sekretarz POP, były aktywista wiejskiej „Solidarności", dziś główny przeciwnik sołtysa Jana Kubicza.

— *To przez Konopkę teraz wszyscy Hubę na języki wzięli!* — wołała na zebraniu Maria Bednarczyk. — *Przez nich zaczęły nas opisywać gazety.*

— *Jak Konopka sprowadził się do Huby, to zawsze musiał niezgodę na wsi robić* — dorzuciła Janczakowa.

— *Sprawiedliwości szukał* — odpaliła Konopkowa w imieniu nieobecnego na zebraniu męża.

— *Mścił się za to, że ci sklep odebrano.*

— *Nieprawda! Nie mógł ścierpieć rządzenia się sołtysa wspólnym majątkiem wsi!*

— *Ale! Nie podobało mu się, że go z partii wyrzucili i sam nie mógł już rządzić.*

Głosy przekrzykiwały się, nie nadążałam z notowaniem nazwisk.

— *Z partii wyrzucili za co innego* — broni Konopkowa.

— *Ano, że własnego szwagra napadł* — wykpiwa czyjś dyszkant. — *Przecie siedział za to.*

— *Szwagra pobił, bo miał swoją rację: o ojców się ujął* — ucina Konopkowa, widać — w przekonaniu, że chłopski samosąd nie kłóci się z moralnością członka partii.

Napad Konopki na szwagra, złe gospodarowanie sołtysa, jakieś pustaki, kamienie, drzewo z gromadzkiego lasu... Trudno pojąć, o co tu w ogóle chodzi. Dopiero ponowna wizyta na wsi, spokojne rozmowy w domach dwu głównych oponentów: sołtysa Jana Kubicza i Wiktora Konopki rzucają więcej światła na dramatyczny spór, który skłócił Hubę.

Z dala od przeciwników mówią spokojnie, z goryczą, przedstawiają racje mające wszelkie znamiona prawdziwości. Jedni — i drudzy. Która z tych prawd jest prawdziwa? Chyba dzisiaj sami już nie bardzo wiedzą. Gdy stoją naprzeciw siebie — głuchną na argumenty przeciwnika. Gdy są wśród swoich — przeciw ich racji nie ma żadnej innej. To ich umacnia w przekonaniu o własnej słuszności.

Powoli, powoli rozszyfrowuję kolejne wątki zawiłego wzoru tworzącego obraz dzisiejszej Huby.

— *Wszystko zaczęło się od tego, że Konopkową ze sklepu wyrzucili* — mówiono na zebraniu.

— *Nikt mnie nie wyrzucał* — wyjaśnia Konopkowa. — *Miałam wypadek: poranił mnie zerwany sopel lodu, długo chorowałam, teraz przeszłam na rentę. Miałam ranną głowę, dlatego mi teraz wymyślają od wariatek.*

Sklep był w domu Konopków, teraz przeniesiono go do Pawlikowskich; prowadzi go Maria Kubiczowa, żona sołtysa. — *Wykorzystał okazję* — twierdzi Konopkowa — *ze szkodą dla wsi.*

— *Najwyższy był czas* — dowodziła na zebraniu Stefania Pawlikowska — *bo było tam tylko złodziejstwo, oszukiwanie na cenach, a mąkę sprzedawano z mysimi gównami.*

— *A teraz są mrówki* — odpaliła Konopkowa. — *I stale sklep zamknięty.*

— *No, we wszystkich protokołach notowano skargi* — rzucił Kazimierz Ściórka, I sekretarz POP. — *A sklep przenieśliśmy ze względu na złe warunki sanitarne, uchwałą POP.*

Jak było to było, dość że sołtys znalazł się na cenzurowanym. 2 lutego 1981 r. do Ministra Rolnictwa jedzie list z 17 podpisami, z prośbą o interwencję w sprawie odpłatności za wybudowany w czynie społecznym wodociąg. Piszących bulwersuje fakt, że muszą płacić za tę wodę i że Jan Kubicz „nie wiadomo jakim prawem i za co" bierze pieniądze za konserwację instalacji. Dlaczego nie robi tego, na przykład, Konopka? — myślą zapewne.

Sołtys ma umowę z odpowiednim Urzędem i z kasy tegoż Urzędu pobiera pensję — 900 zł — za pół etatu. Konopkowie jednak i ich stronnicy są przekonani, że pieniądze idą z kieszeni wsi. Niestety, nikt nie zadał sobie trudu, by w porę, gdy tylko wodociąg powstawał, uświadomić gospodarzom Huby, że staje się on urządzeniem komunalnym i tym samym podlega ogólnopolskim zasadom eksploatacji i odpłatności.

W dwadzieścia dni po pierwszym piśmie — następne; na udostępnionej mi kopii brak podpisów. Adresaci: Urząd Wojewódzki i Komitet Wojewódzki PZPR. Tym razem mówi się już bez ogródek o samowoli sołtysa, o niezgodnym ze statutem partii i prawem podejmowaniu decyzji przez sołtysa i jego rodzinę, o przywłaszczeniu kamieni, pustaków zgromadzonych przez całą wieś na budowę dalszego odcinka drogi i remizy, o niewłaściwej gospodarce gromadzkim drzewem, o zagarnięciu sprzętu rolniczego.

Duszno się zrobiło w Hubie. Ciche podejrzenia i szepty nabierają mocy, stają się coraz lepiej słyszalne. W Hubie dzieje się źle. Tylko — dlaczego? Czy przez samowolę sołtysa, jak twierdzą Konopkowie i ich stronnicy, czy przez rozbijackie poczynania Konopków, jak mówią Kubicz, Bednarczyk, Pawlikowscy?

Stanisław Janczak powiedział na zebraniu: — *Niezgoda zaczęła się przez „Solidarność". Ona rozłączyła ludzi.*

— *Jak zaczęła powstawać „Solidarność"* — wyjaśnia w tydzień później Konopkowa — *to Józef Plewa mówił, że trzeba ją szybko u nas założyć, żeby sołtys i jego rodzina nie wykręcili się od odpowiedzialności. I miał rację: Kubicz zrobił drugą listę, ale mu w mieście nie zatwierdzili, powiedzieli, że w takiej małej wsi jedno koło wystarczy.*

Czy rzeczywiście tak się miały sprawy? Pamiętamy przecież ten gorący czas, pamiętamy, że „Solidarność" nie przygarniała ochoczo do serca tych, co opowiadali się mocno po stronie partii, wolała tych, co partię atakowali. A Kubicz — w przeciwieństwie do Konopki — do dziś zachował partyjną legitymację. Zapamiętuję też nazwisko Józefa Plewy — usłyszymy je wkrótce znowu, w okolicznościach, niestety, tragicznych...

— *Mój mąż* — wspomina Plewowa — *sam był w partii, ale widział zło i krytykował je. Za to go gnębili sołtys i jego krewni, choćby Bednarczyk.*

— *Przecież Bednarczyk jest pani rodzonym bratem!* — przypominam.

Chwilę siedzi z otwartymi ustami, zaskoczona, zanim odpowie: — *No brat. Ale on rodzina sołtysa!*

I bądź tu mądry!

A w Hubie coraz duszniej. Do prokuratora idzie pismo, tym razem od Koła „Solidarności", o *„wszczęcie postępowania wyjaśniającego przeciwko niżej wskazanym osobom, które w naszym odczuciu dopuściły się szeregu poważnych przestępstw i nadużyć na szkodę rolników naszej wsi i nie tylko"*. Te osoby — to Stanisław Janczak, prezes Kółka Rolniczego, i sołtys Jan Kubicz. Uderza styl pisma, o ileż doskonalszy od poprzedniego. Czyżby tak się wyrobili nadawcy? A może znaleźli życzliwych pomocników?

Prokuratura wszczęła śledztwo, skrupulatnie kontrolowała dokumenty komisja z Urzędu Wojewódzkiego. Zarzuty nie znalazły potwierdzenia.

Jan Kubicz wyjaśnia: — *Mam wszystkie asygnaty, księgi. Wszystko tu w porządku... nie, jeden Konopka jeszcze się za drzewo nie rozliczył.*

— *Sołtys był winien mężowi drzewo, to mąż sobie odebrał.* Ze wspólnego?

— *Kamienie po części sprzedaliśmy, żeby wypłacić ludziom należność za prace przy drodze. Była uchwała. Pustaki są, tylko je wymieniałem: jak ktoś się budował, pożyczał gromadzkie, a potem oddawał nowe; w ten sposób nie niszczały, bo nie ma ich gdzie składować, a nie załatwiliśmy jeszcze sprawy działki pod remizę. Postawiliśmy tylko prowizoryczny garaż. Trzeba też było sprzedać trochę gromadzkiego lasu, żeby były pieniądze na wykup gruntów, które poszły pod drogę.*

— *A co z tym sprzętem rolniczym?* — pytam.

— *Cały sprzęt był w połowie lat siedemdziesiątych przejęty przez SKRy, jak w całym kraju, a potem SKR wystawiał na licytację zużyte maszyny. Każdy mógł kupić* — wyjaśnia Jan Kubicz.

Mógł, prawda. Ale czy każdy o licytacji wiedział? Ogłoszenie wisiało w SKR w Czorsztynie, a do gminy rzadko kto, poza sołtysem, jeździł. Sołtys zaś całej wsi nie informował. Choć więc kupił zgodnie z prawem, ziarno słuszności w zarzucie o załatwianiu spraw po cichu jest...

Mozolnie dochodzi się tu prawdy. Cienka chwilami jest granica między winą, złą wolą a bezmyślnością.

Wiktor Konopka dowodzi, że całe zło w Hubie zaczęło się od jego prywatnego sporu z Andrzejem Bednarczykiem. Z sołtysem żył dobrze, póki nie wżenił się w rodzinę Bednarczyka. Ostatnio na zebraniu mówili, że się u mnie podziemie robi, nasyłali na mnie rewizje; nic nie znaleźli. A ja tylko jestem za sprawiedliwością.

Pewnie w ramach tej walki o sprawiedliwość wysłali 19 maja 1981 r. pismo do Prokuratora Rejonowego, by pozbawiono Bednarczyka broni myśliwskiej, którą „straszy ludzi", a także „prawdopodobnie kłusuje"

Bednarczyk — członek PZPR, delegat na IV Zjazd partii. Bednarczyk — ze stronnictwa sołtysa. Bednarczyk — mądry, gospodarny chłop. A zarazem Bednarczyk, który nie potrafi pohamować swej polsko-chłopskiej natury, co ciągnie go do kieliszka. Więc Konopka ma argumenty w swym „prywatnym", jak sam mówił, sporze, wykorzystuje je.

Może by się to wszystko rozeszło po kościach, może wieś otrząsnęłaby się z dzielącego ją niepokoju, tak jak zaczął się otrząsać cały kraj, gdyby nie przyszło to najgorsze: zabójstwo. Andrzej Kubicz pozbawił życia Józefa Plewę.

Mieli ze sobą na pieńku od dawna, od chwili, gdy Kubicz wraz z Józefem Gołdysem pobili młodego Plewę. — *Dokopali jak psu!* — krzyczał na zebraniu młody Plewa.

Jego ojciec odgrażał się, że za syna zabije Kubicza. Gadanie, jak zapewne niejedno we wsi. Tylko, że mówiono o tym na zebraniu POP, a jeden z jego uczestników, Firek, wyniósł to na wieś — skreślono go za to z partii. Ale ognisko było na nowo podsycane.

A potem nadszedł tragiczny 4 czerwca. Zginął człowiek i zaczęło się: pogróżki, spekulacje, umawianie świadków, listy po redakcjach. Sugestie, że była to rozgrywka polityczna.

— *Gdzie tam!* — oburza się wdowa. — *Chodziło o granicę. Kubicz skosił naszą łąkę, to na drugi dzień mąż poszedł kosić jego.*

— *Pewnie, że o granicę* — potakują Franciszek Plewa, Maria Firek, Konopkowie.

— *Więc dlaczego* — atakuję — *pisaliście do Prokuratora... — czytam z wręczonej mi przed chwilą przez Konopkę kartki:* „W dn. 4 czerwca br. w naszej wsi został zamordowany jeden z założycieli koła „Solidarność" we wsi Huba, ob. Józef Plewa, człowiek, który przed śmiercią złożył swój podpis pod naszym pismem skierowanym do prokuratora i miał być jednym z głównych świadków naszego oskarżenia".

— *Nam o co innego chodziło* — gwałtownie prostuje Konopka.

— Może... Ale co wobec tego znaczą te słowa o „Solidarności", o oskarżeniu... Co mają one wspólnego ze sporem majątkowym? — dociekam. Konopka mówi: *Nic.* — A ja myślę: może trochę prawdy, tylko innej, niż zapisana przez was, jest w tym piśmie. Gdyby nie owe skargi, donosy, spory — nie narosłaby może taka nienawiść, która wciska do ręki narzędzie zbrodni. Gdybyście nie przywykli do tych waśni, bójek — nie przyszłaby tak łatwo zamiana bata, kija, kamienia na nóż czy kosę. Jak cienka może być granica między „zwykłym" sporem a śmiertelnym ciosem...

Śmierć Józefa Plewy stała się dramatem obydwu rodzin. Jedni stracili męża i ojca — drudzy żyć będą z piętnem morderstwa. Martwego nikt nie wskrzesi. Dramatyzm sytuacji pogłębia jednak to, że ta śmierć niejako przypieczętowała rozłam wsi.

— *Lekarstwem dla Huby* — mówi Konopka — *byłoby tylko jedno: choć przez parę lat nie powinno tu być sołtysa, bo żaden ani z naszej, ani z Kubiczów strony, dziś nas nie pogodzi.*

— *Najważniejsze, by jak najszybciej zakończyło się śledztwo w sprawie zabójstwa, by wreszcie zapadł wyrok* — mówi Kubicz. — *Póki sąd nie rozsądzi tej sprawy, wieś będzie się spierała o przebieg zabójstwa, o narzędzie, o to, co się naprawdę stało tam na łące, będzie ugadywać świadków. A po drugie — ludzie m u s z ą się wreszcie nawzajem wysłuchać.*

Tylko — jak to zrobić, żeby się c h c i e l i wysłuchać? Widziałam przecież, co było na zebraniu. W rozpalonej do czerwoności atmosferze nie ma miejsca na chłodny rozsądek. A bez niego trudno o zgodę. Żeby tak można było wykreślić z życia Huby ostatnie lata... Czy naprawdę nie można? Czy nie da się przerzucić pomostu między minionym czasem wspólnego budowania a dniem, gdy znów wspólnie, zgodnie będą żyły te niespełna trzy setki ludzi w swych dwudziestu trzech gospodarstwach tworzących naddunajecką wieś Hubę?

JERZY LEŚNIAK

ALEKSANDER KOSTKA NAPIERSKI

„Osądzono Kostkę na pal wbić, a Marszałka ćwiertować, klechę ściąć na Krzemionkach za Kazimierzem. I musieliśmy dać nowe dębowe szubienice troiste. Z laskuśmy dali dęby ściąć, pal sosnowy, na koniec ostrze daliśmy odrobić. A tak wyprowadzano ich z zamku we wtorek, 18 lipca 1651 roku, przed południem. Kat Szymon nie umiał pala weń wbić, bo kielkadziesiąt razy weń uderzał, nim pal przeszedł przezeń. Potem z żywym jeszcze wodzem został wzniesion w górę i wstawion do wykopanego dołu. Marszałka ściąwszy raźniej już ćwiertował, klechę ściął, ciało syn uprosieł do pochowania, a głowę wywołując wielką grozę przybito na szubienicy".

Taki był koniec Kostki Napierskiego i jego towarzyszy w relacji **Marcina Golińskiego,** rajcy miasta Kazimierza, dzisiejszej dzielnicy Krakowa.

Przed trzema miesiącami (DUNAJEC, nr 99) **Jan Marian Kacwin** z Nowego Targu zadał pytanie: **Kim naprawdę był Kostka Napierski? Czy był szwedzkim agentem? Gdzie jest prawda, a gdzie legenda?** Pan Kacwin zaproponował, aby DUNAJEC podjął próbę rozstrzygnięcia wątpliwości wokół życia Kostki Napierskiego, które — jak pisze Jalu Kurek — jest nam prawie nieznane i tonie w mrokach.

Osobą Kostki Napierskiego interesowało się wielu polskich i obcych historyków, dość tu wspomnieć rodzimych znawców tematu: **Juliusza Bardacha, Władysława Czaplińskiego, Adama Kerstena, Gerarda Labudę, Szczęsnego Morawskiego, Adama Przybosia i Stanisława Szczotkę.** A było jeszcze kilku innych. Postać chłopskiego bohatera inspirowała poetów, pisarzy i kompozytorów m. in. **Kazimierza Przerwę-Tetmajera, Jana Kasprowicza, Władysława Orkana, Stanisława Nędzę-Kubińca, Jalu Kurka.**

Buntownik czy kondotier?

Aleksandra Leona Kostkę Napierskiego nazywano antyfeudalnym bojownikiem, sprzedajnym najemnikiem, mitomanem, nieudacznikiem i awanturnikiem, lokalnym rębajłą i ideowym pradziadem Witosa. Spór badaczy o pochodzenie do dziś nie daje wyniku, gdyż brak pewnych danych historycznych. Sam Kostka w czasie tortur przed egzekucją zeznał, że jest nieślubnym synem króla **Władysława IV.** Urodził się około 1620 roku na dworze królowej **Cecylii,** żony Władysława IV, nauczył się władać biegle łaciną, niemieckim i szwedzkim. Ogładą i wykształceniem górował nad ówczesną szlachtą.

Legenda głosi, że Kostka był synem nie Władysława IV, lecz **Zygmunta III** i **Urszuli Meierin,** ochmistrzyni królewskiego dworu. Poważni historycy dziwią się: Zygmunt III, taki arcykatolik i arcymoralista miał dziecko z nieprawego łoża? No cóż, można przypuszczać, lecz nie twierdzić.

Nie wiadomo, co robił przed rokiem 1645. W tym roku służył w wojsku szwedzkim w stopniu kapitana. Niektórzy czynią mu z tego powodu zarzut i zwą kondotierem, czyli sprzedajnym najemnikiem. Tymczasem służba w obcych armiach w owych czasach była rzeczą normalną; wielu Polaków zaciągało się nie tylko dla żołdu, lecz po prostu dla zdobycia wiedzy wojennej. **Jan Sobieski,** późniejszy król, nabywał wojennych umiejętności u Francuzów, **Krzysztof Arciszewski** w armii holenderskiej, królewicz **Jan Kazimierz** i **Michał Korybut Wiśniowiecki** w habsburskiej. Zanim zostali polskimi bohaterami w obcym wojsku służyli: **Tadeusz Kościuszko, Jan Henryk Dąbrowski** i książe **Józef Poniatowski.** To chyba nie kondotierzy. Podobnie i w polskiej armii w XVII wieku służyło wielu cudzoziemców (wiedział o tym **Sienkiewicz** czyniąc **Ketlinga** bohaterem „Pana Wołodyjowskiego").

Wiosną 1646 roku Kostka ponownie rusza do Szwecji, by na rozkaz króla werbować zaciągi na spodziewaną wojnę z Turcją. Potem ślad po nim się urywa. Przypuszczenia o pobycie i wspólnym spiskowaniu u **Bogdana Chmielnickiego** lub u Jerzego Rakoczego nie znajdują rzetelnego uzsadnienia.

Dlaczego Podhale?

Skąd się wziął Kostka Napierski na Podhalu? Dlaczego akurat wybrał i opanował Czorsztyn jako punkt oporu?

Dla znawców stosunków na Podhalu wybór tej skalistej ziemi nie był przypadkiem. Lud góralski był szczególnie zakochany w swej wolności osobistej i społecznej Historia zna liczne wśród górali protesty, zaburzenia i walki zbrojne, zarówno przed Kostką Napierskim, jak i wielokroć po nim.

Działalność Kostki na Podhalu w roku 1651 zbiegła się z wystąpieniami chłopskimi w Wielkopolsce, w Lubelskiem, na Śląsku i Ukrainie. Ciągły opór i sprzyjające warunki geograficzne powodowały, że górale nigdy nie płacili takich powinności, jak chłopi na innych terenach. Machina pańszczyzny nie doszła tu nigdy nawet do stanu zbliżonego do ogólnokrajowego. Stosunkowo duża swoboda i niezależność wykształciły swoiste poczucie wolności. Każda nowa próba zwiększenia ucisku rodziła dalsze bunty. Przechodziły one z pokolenia na pokolenie i stały się tradycją. Ponadto opowiadania o wielkim powstaniu ludu ukraińskiego i ponoszonych przez szlachtę klęskach, głoszone przez umyślnie rozesłanych ludzi, podniecały umysły, uświadamiały własne położenie: zwiększający się ucisk i chęć wyzwolenia.

Na tak wzburzone Podhale i jego najbliższe okolice nadchodzi wieść, że w górach zjawił się Kostka Napierski, który opanowawszy zamek czorsztyński nawołuje górali do walki, obiecuje im wolność i sprawiedliwe rządy. Pora jest odpowiednia, szlachta wraz z królem wyruszyła przeciwko Chmielnickiemu.

Dla przeprowadzenia swych planów Kostka pozyskał odpowiednich ludzi, którzy cieszyli się wśród górali szczególnym znaczeniem: podstarościego nowotarskiego, **Wiktora Zdanowskiego,** wobec którego Kostka legitymował się sfabrykowanym listem królewskim; „rektora" **Marcina Radockiego,** nauczyciela szkoły parafialnej w Pcimiu, stale podmawiającego chłopów, aby zaniechali odrabiania pańszczyzny, szczerego arianina, domagającego się zniesienia stanów.

Przede wszystkim trzeba było znaleźć zaufanego działacza wśród chłopów. Jednym z najpopularniejszych na Podhalu górali był znany z długoletnich walk ze szlachtą pułkownik chłopski **Stanisław Łętowski** — zwany Marszałkiem, sołtys z Czarnego Dunajca, *„najprzedniejszy buntownik i rozbójnik w kraju".* Łętowski, wieloletni poseł góralski do sądów referendarskich, przywódca marszu góralskiego na Nowy Targ w 1631 r., który niejedno osobiste zniósł upokorzenie i wiele w dybach przecierpiał, bez wahania przystąpił do powstania. Do tej doborowej kompanii dołączyli dwaj harnasie zbójniccy — **Wasyl Czepiec** i **Jędrzej Sawka,** których Kostka, powołując się na rozkaz króla, uratował spod szubienicy. Byli i inni: szlachcic (!) **Gocławski** ze wsi Krauszowa nad Dunajcem. **Jędrzej Jarząbek** i bracia **Krupowie z Czarnego Dunajca.**

Zajęcie Czorsztyna

12 czerwca opuścił Kostka wraz ze swoimi ludźmi Nowy Targ udając się rzekomo na polowanie. W nocy z 14 na 15 czerwca *„sposobiwszy sobie kupę swawolnych z miasta i wsiów nowotarskich",* siłą opanował zamek czorsztyński, wtrącając burgrabiego **Salomona Włochowicza** do więzienia. Przy przejmowaniu zamku Kostka powołał się kolejny raz na sfabrykowane pismo królewskie, w którym mu rzekomo ten gród pod opiekę oddawano. *„Nalazł pieniędzy kielka tysięcy, wziął płócien, masła, gorzałki, kapkę wina, dwie beczki piwa polskiego, że miał co jeść i pić, telko wody nie mieli".* Odpowiedni posłańcy ruszyli do Krakowa po proch i ołów.

Na wiadomość o opanowaniu zamku biskup krakowski **Piotr Gembicki,** któremu król na czas wyprawy beresteckiej całkowitą opiekę nad województwem powierzył, zwołał radę wojenną i już 16 czerwca wysłał ekspedycję pod dowództwem **Michała Jordana,** starosty dobczyckiego. *„Uradzono, aby fortelem zażyć i w dobry sposób zabawić się z tym Kostką, wziąć go. A jeśli to nie wyjdzie, musi któryś z nas odważyć się i porwać go, póki się lepiej nie zmocni".*

Atak został jednak odparty, a Jordan jak niepyszny wrócił do Krakowa. Opis walki zachował się dzięki samemu Kostce:

Przyszedł Jordan pod Czorsztyn przedawać maślanki
Nie do boju, lecz żeby snać wytrząsał śklanki,
Wysłał swe krasomówce i niektóre popy
Chcąc onego Lwa zmoryczyć słówki, także chłopy.
A podczas tych traktatów bramę zapalili,
Mniemając, żeby orła w piersi ugodzili.
Wtym się im Lew otrząśnie, pocznie prószyć z góry,
Bramę zalał, ich pokłuł, pozabijał konie.
Wtem się porwą do koni, nie chcąc czekać dalej,
Pieszo jedni, na koniech drudzy uciekali.

Nastąpiło parę spokojnych dni. Do zamku nadciągnął sędziwy wódz chłopski — Łętowski. Kostka *„beł wesół z jego przyjazdu, piel z nim i strzelać kazał. Mieli też z sobą i kilka białych głów w zamku".* Zachęcony powodzeniem słał Kostka z zamku uniwersały, pisał listy do przyjaciół, nawoływał lud do walki. Interesujące, że powstańców werbował w imieniu króla. Napierski znając życie różnych warstw społecznych, dostrzegał, że chłopi pałali nienawiścią tylko do szlachty i magnatów. Król był dla nich uosobieniem dobra. Powoływanie się na monarchę przeciwko szlachcie nie budziło podejrzeń i miało szansę powodzenia.

Hasła powstania chłopskiego da się ująć krótko w kilka punktów: uwolnienie chłopów od pańszczyzny, zniszczenie ciemiężców ludu wiejskiego, rozszerzenie powstania na całą Polskę, sojusz z walczącym narodem ukraińskim. Sam Kostka krótko zsyntetyzował program swej walki: *„O Boga i krzywdę ludzką i o nieposłuszeństwo K. J. M. wojować będziemy. Na św. Jan pójdziem pod Kraków"*

Na wezwanie Kostki ruszyli górale z Czorsztyńskiego, Nowotarskiego, Myślenickiego, Lanckorony i Melsztyna, wrzenie ogarnęło nawet bieszczadzkie wsie. Tłumnie zjawiły się drużyny zbójników polskich, ukraińskich i słowackich. Wszyscy gotowali się na zdobywanie Krakowa.

Niepowodzenie Jordana i widok ciągnących rzesz chłopskich wywołały panikę w obozie szlacheckim. Panowie uciekali z rodzinami i dobytkiem do miast, duchowieństwo opuszczało parafie, mieszczanie gotowali się do obrony. W Nowym Sączu nakazano naprawę strzelb, gromadzono proch, naprawiano wały i palisadę, ustawiano działa. Wrzenie na Podhalu narobiło sporo zamieszania również w otoczeniu króla. Nie doszło jeszcze do zetknięcia z wojskiem Chmielnickiego, gdy dowiedziano się o zagrożeniu tyłów. Król Jan Kazimierz z obozu pod Beresteczkiem wysłał dwa tysiące żołnierzy pod komendą miecznika koronnego **Michała Zebrzydowskiego** i koniuszego koronnego **Aleksandra Lubomirskiego** dla stłumienia chłopskiego powstania.

22 czerwca przeszło tysiąc żołnierzy biskupa krakowskiego wspieranych przez wojska królewskie przystąpiło do oblężenia zamku, w którym nie było dostatecznej ilości broni, żywności i przede wszystkim wody. Pułkownik wojsk biskupich, **Wilhelm Jarocki,** przez trębacza wezwał Kostkę na rozmowę bez świadków pod zamek. W odpowiedzi Kostka wzmógł ogień. Kiedy brakło amunicji, *„okna powytłukał, a ołów topieł na kule, gwoździe z gontów z dachów wyjmował, a zwijał i tym strzelał, w pokojach powybierał posadzki, a temi z muru ciskał. A tak i działka zatoczyli, z których do zamku strzelali, wieżę zepsowali i mury podziurawili".*

Zdrada i egzekucja

Oblegający wdarli się przez podwójne mury do zamku i zajęli jedyną studnię. Fakt ten w znacznym stopniu osłabił ducha obrońców. Jarocki zażądał od oblężonych wydania Napierskiego obiecując pozostałym bezkarność. 24 czerwca jeden z rannych obrońców zsunął się na sznurze i przyniósł zgodę oblężonych na wydanie Kostki i Łętowskiego z zachowaniem nietykalności innych powstańców na zamku. Wkrótce pułkownik Jarocki przejął z rąk zdrajców związanych wodzów powstania. Inne źródła podają, że dragoni biskupi weszli do zamku podstępnie niosąc rzekomą pomoc.

Klęska Kostki i upadek Czorsztyna zatrzymały rozwój powstania. Po trzech dniach jeńców dowieziono do Krakowa Obawiając się zamieszek szlachta w szybkim tempie chciała pozbyć się „buntownika". Oskarżono go o podburzanie ludu do ekscesów, sfałszowanie uniwersału królewskiego, zdobycie z bronią w ręku zamku czorsztyńskiego, spiskowanie. Nie pomogły starania trzech obrońców, Kostkę i Łętowskiego oddano na tortury „dla potrzeb śledztwa". Szlachecki sąd grodzki w pełni skorzystał z okazji złamania klasowego wroga. Kostka pomimo ciężkiej udręki nie zdradził żadnego nazwiska, nie wydał towarzyszy walki. Zeznał jedynie, że jest nieślubnym synem króla Władysława IV.

Wyrok ogłoszono 18 lipca. Oto jego brzmienie: *„Przybranego nazwiska Aleksandra Leona Kostkę ze Sztemberku, zwącego się też Napierskim, wreszcie Wojciechem Stanisławem Bzowskim, jako pierwszego sprawcę, wichrzyciela i zdrajcę — kat ma wbić na pal i uśmiercić".*

Egzekucja odbyła się w rejonie dzisiejszych Krzemionek. Piechota zamkowa siłą zmusiła okolicznych cieśli do wznoszenia szubienic, wszyscy bowiem wymawiali się od tej haniebnej roboty Postawa bohatera budziła podziw i powszechne uznanie. Ze spokojem wysłuchał wyroku, nie okazywał żadnego wzruszenia. Egzekucja przeciągała się, gdyż niewprawny kat Szymek dziesięć razy (!) powtarzał swe czynności, zanim udało mu się wbić pal w nieszczęśnika. Łętowskiego ścięto, a potem poćwiartowano jego ciało, głowę Radockiego przybito do szubienicy.

Szlachta odetchnęła z ulgą. Wielu zdawało sobie sprawę, że *„mogła być z tego potoczka rzeka, kiedyby jej było zawczasu nie zatamowano. Mógł być z Napierskiego Chmielnicki, kiedyby prędko jego progresom nie zabieżano".*

Pomimo pewnych cech awanturniczości nie znajdujemy u Kostki niczego, co by nie było ściśle związane z dobrem powstania i ludu; nie dostrzegamy u niego żadnych czynów podejrzanych dla osobistych celów. Napierski szczerze podzielał poglądy uciemiężonych chłopów. Odegrał on znaczną rolę w historii ruchów społecznych. Po odbiciu Czorsztyna ruch nie upadł, wrzenia trwały jeszcze kilka miesięcy. Nadzieje Kostki na ogólnokrajowe powstanie chłopów było na owe czasy czystą utopią. Podhalańskiemu buntowi zabrakło szerokiego rozmachu, pełnego uświadomienia górali, zawiodła organizacja. Niemniej odzew na hasła Napierskiego świadczy, że chłop polski nie poddawał się szlacheckiemu wyzyskowi bez oporu, lecz próbował niejednokrotnie zrywać się do walki o swe chłopskie prawa i wolności. Echo tych wystąpień będzie brzmieć w sławetnych ślubach Jana Kazimierza, ogłoszonych po potopie szwedzkim w 1656 roku. Król obiecał wtedy, **„że po odzyskaniu pokoju użyję ze wszystkimi stanami wszelkich sposobów, ażeby lud mego królestwa od wszelkich niesprawiedliwych ciężarów i uciśnienia uwolnionym został..."**

WESELE U SOBCZAKA

Wesela były zawsze niecodziennym wydarzeniem na wsi, ale to XIX-wieczne wesele u Sobczaków obfitowało nie tylko w obrzędy i zwyczaje ludowe. Było wyjątkowe, bo gościło na nim wiele wybitnych osobistości przybyłych na lato do Zakopanego. A więc, poza sąsiadami, „upytano" na wesele „odkrywcę" Zakopanego jako kurortu, samego „wielmożnego pana" Tytusa Chałubińskiego, przybyłego z gromadą znajomych, cieszącego się powszechnym szacunkiem długoletniego sekretarza Towarzystwa Tatrzańskiego Leopolda Świerza i sędziwego już proboszcza zakopiańskiego ks. Józefa Stolarczyka, a nie zabrakło też Jana Krzeptowskiego Sabały.

Tę elitę zakopiańską uzupełniali znakomici przewodnicy tatrzańscy: Szymon Tatar, Maciej Sieczka i Jasiek od Roja: ten ostatni wykazujący w bitkach odwagę i zimną krew, bo „wiedział jak i kiedy zaciąć".

Stanisław Sobczak, „hruby" gazda, wydawał córkę Ludwinę za Józka Gąsienicę, też z Zakopanego, pełniącego funkcję kościelnego, co stawiało go w rzędzie „niepłonych" gazdów.

Zaproszonych gości zachwycała rewia folkloru, ale szczególny podziw wszystkich weselników wzbudziły tańce, doprowadzone u wykonawców do sztuki, no bo było się przed kim popisać. Kiedy więc Franka Gadeję puszczono do tańca, goście aż się zdumieli, gdyż jak wspominał także obecny na weselu późniejszy znany rzeźbiarz, Wojciech Brzega, „w jego tańcu jakby się duch Tatr objawił w całej swojej tajemnej mocy, w całej swojej powodzi". Przybyli do Zakopanego goście, dumni z takiego syna narodu, wznieśli z zachwytu hymn „Jeszcze Polska nie zginęła". Dla załagodzenia sytuacji obecni na weselu żandarmi zaśpiewali: „Jeszcze wódka nie skwaśniała, to ją wypijemy".

W tańcach u Sobczaka wzięli udział nie byle jacy tanecznicy, a więc w „ozwodnym" z Tereską Gąsienicą Szymek Tatar, chłop czarny o orlim nosie, któremu „zacno się tańczyło". Po nim wyszedł Tomek od Cadejów, chłop sucherlawy, wysoki i gibki „co byś się nim dookoła opasoł", a tańczący jak huragan z Kaśką Bednarką.

Najwięcej jednak podziwu wzbudził Jędrek Kusty Jan, którego wprost wypchnięto do tańca. Był to chłop olbrzymiego wzrostu, ciężki i nieruchliwy, i jak u olbrzymów bywa — łagodny. Gdy tańczył, to dyle dygotały i izba się trzęsła. Zdając sobie sprawę ze swej wagi, Kusty Jan nie „cupkał" więc z całej siły, „boby był do imentu dyle zniszczył, ino sobie powoli nogami przekładał, ledwie do taktu nadarzył niemi".

Na ostatku przyszedł czas na zbójnickiego. Była ładna pogoda i sucho, więc orkiestra wyszła na dwór, gdzie tańczono na oborze.

W zbójnickim Sabała był obrany za „harnasia" i jako prowodyr zabawy ciupagę otaczał kołem tańczących, a gdy orkiestra odmieniła nutę, wszystkie ciupagi zazgrzytały i łysnęły blaskiem nad jego głową. Tańczył w kręgu tanecznikow kręcąc się w przeciwną stronę, a oni wyczyniali różne figury taneczne pod jego komendę. Tanecznicy śpiewali:

„Janicku zytki, nie bój sie bitki,
Zwyrtnij się w koło, dej panu
w coło".

Zwyrtali się więc wywijając ciupagami w powietrzu, rzucali je do nóg Sabały i tańczyli wyrzucając nogi przed siebie, wyskakiwali w górę bijąc się dłońmi w kostki.

W tym tańcu nogi jakby same latały w powietrzu, oczy błyszczały, a znój ciekł z włosów. Tańczono do zatańczenia się, do utraty przytomności, jakby odprawiano jakiś obrzęd religijny z czasów pogańskich. Jak wspominał Brzega: „Gdy muzyka przestała grać pot ramieniem ocierali z twarzy, niektórzy podkładli się na ziemię, ino miechy robiły w piersiach". Musiał to być niezwykły popis taneczny, skoro Brzega stwierdził, że już nigdy potem takiego tańca nie widział.

Echa hucznych wesel na Podhalu nie minęły, zmieniły one tylko swój charakter, zatracając folklor. Nie są też najważniejszym wydarzeniem na wsi, bo są już inne atrakcje.

A przecież zdarzają się wciąż jeszcze prawdziwe góralskie wesela i te, jak dawniej, budzą podziw przyjezdnych gości.

EUGENIUSZ HALICKI

HOROSKOP 1983

BARAN (21 marca — 20 kwietnia) dzięki wpływom Marsa posiada mocne cechy charakteru — jest odważny, wytrwały, energiczny i niezwykle uparty. Potrafi bronić swego zdania „do upadłego", nawet gdy wie, że nie ma racji. Jest realistą mocno stojącym na ziemi, jednak często spotykają go niepowodzenia, wynikające z impulsywności i mało przemyślanego działania. Łatwo wybucha i szybko się uspokaja, w zasadzie bowiem jest łagodny. U kobiety szuka przede wszystkim stałego uczucia i troskliwości. Kobieta-Baran jest mocniejszą osobowością. Ambitna, przedsiębiorcza, wrażliwa na komplementy — i czasem naiwna. Łatwo się obraża, w miłości szuka wrażeń niezwykłych. Oboje nie lubią u partnera przeciętności. Bywają zazdrośni, choć tego nie manifestują. Są dobrymi i wiernymi partnerami, jednak wymagają sporej dozy cierpliwości i zrozumienia dla ich wybuchowej natury. Powinni brać na siebie mniej obowiązków, z większym dystansem spojrzeć na wszystko. Liczby szczęśliwe dla Barana: 7, 17, 21; dzień — poniedziałek.

BYK (21 kwietnia — 21 maja) znajduje się pod mocnym wpływem planety Wenus, stąd jego wielka wrażliwość, uczuciowość i urok osobisty. Urodzeni pod tym znakiem cieszą się sympatią otoczenia, łatwo nawiązują przyjaźnie, choć równie łatwo z nich rezygnują. Mają wiele zalet i równie wiele wad. Pracowici i wytrwali posiadają też zdolności do interesów. W uczuciach, które odgrywają u nich wielką rolę, bywają żywiołowi, nie są jednak stali. Przewrażliwieni na swoim punkcie z trudnością wybaczają błędy innym, choć sami sporo ich popełniają. Mężczyzna spod tego znaku jest towarzyski, wesoły, kocha przygodę, lecz nie posiada mocnego charakteru, jest chwiejny, zmienny i choć nawet przed sobą nie przyznaje się do częstego braku własnego zdania, duży wpływ na jego postępowanie może wywrzeć najbliższe otoczenie. Brak mu krytycyzmu. Niekiedy jest egoistą, dużo wymagając od partnera, a zbyt tolerancyjnie traktując siebie. Kobieta jest oszczędna, czasem nawet skąpa, dla domu i rodziny gotowa do wielkich poświęceń. Często posiada uzdolnienia artystyczne, interesuje się sztuką lub techniką. Nigdy nie rezygnuje z sukcesów zawodowych, godząc różne obowiązki. Ich liczby to 4, 6, 11; dzień — wtorek.

BLIŹNIĘTA (22 maja — 21 czerwca) objęte są wpływami Merkurego, który zapewnia przedsiębiorczość, pomysłowość i dużą ruchliwość. Ich niezwykła aktywność sprawia, że często osiągają znaczne sukcesy zawodowe, gorzej z życiem osobistym — poświęcają mu zbyt mało czasu. Lubią podróżować, szybko nawiązują kontakty, choć przeważnie powierzchowne. Mężczyzna więcej ceni u kobiety zalety intelektu, niż zewnętrzną atrakcyjność. Nie znosi rygorów, wymaga wyrozumiałości i zrozumienia jego życiowych pasji. Stąd jego życie pełne jest zmian i napięć. Kobieta dąży najczęściej do dominacji nad mężczyzną, lubi być niezależna i kierować się własnym zdaniem. Jest nerwowa, ambitna, co przyczynia jej często kłopotów. Uczucie odgrywa u niej wielką rolę — lecz także kariera zawodowa. Brak jej jednak wytrwałości. Gdy jednak trafi na odpowiedniego partnera, który okaże jej zrozumienie, stanie się doskonałą panią domu. Oboje powinni nieco zwolnić tempo życia i czasem ukrócić ambicje. Ich liczby: 3, 5, 12, 18; dzień — sobota.

RAK (22 czerwca — 22 lipca) jest znakiem będącym pod wpływem Księżyca, stąd pewien pozorny chłód i zmiany nastrojów u ludzi urodzonych w tym okresie. Nie mają oni zaufania do własnych możliwości, wciąż szukają potwierdzenia swoich racji u innych. Dużą rolę przywiązują do życia

STANISŁAW GLINKA

WIGILIE WOJCIECHA CIOSKA

Wojciech Ciosek, zwany Turzycą, mieszkał pod Sączem, miał siedemdziesiąt pięć lat, dwoje dorosłych dzieci, córkę i syna, i od dziesięciu lat liczył kolejne Boże Narodzenia, bo właśnie dziesięć lat temu został skrzywdzony przez los. A krzywdą tą była śmierć żony, która zmarła tuż przed tamtą Wilią. Jego szczupła, wysoka sylwetka zaczęła się od tego dnia chylić, wysechł jeszcze mocniej, a na pociągłej twarzy pojawiły się nowe bruzdy, spomiędzy których wyraźniej wysunął się okazały, orli nos. Był Wojciech kiedyś przystojnym mężczyzną, znanym w okolicy z niepospolitej siły i zręczności, i z tego, że potrafił roztropnie gospodarzyć na swoim kawałku słabej i trudnej ziemi. Znali go też dawniej jako dobrego miernicz ego, co sprawiedliwie dzielił grunty i zażegnywał spory między najbardziej zaciekłymi gospodarzami we wsi i okolicy; był także znakomitym myśliwym, ale przede wszystkim wspaniałym kłusownikiem, który polował nie dla pieniędzy ani z zawziętości, ani nie dlatego, że zabijanie sprawiało mu przyjemność, lecz, by dając zawsze równe szanse napotkanej zwierzynie, stanąć z nią do walki jak równy z równym, wypróbowując jedynie nawzajem przemyślność i zręczność. Teraz, kiedy siły uszły z niego, jak z przebitej dętki powietrze, żył chętnie wspomnieniami, przywołując swoją burzliwą i gęstą przeszłość. Z niewielu namiętności została mu wyraźnie ta jedna: rozmyślać o tym, co było przeciwne i tak samo nieustępliwe jak on, bo jedno lubił naprawdę w swoim życiu — twardą i szlachetną walkę.

Było już po wieczerzy wigilijnej, po tych wszystkich uroczystych obrzędach, które dom ten podtrzymywał od pokoleń. Dzieci, zmęczone wrażeniami, położono spać, tylko oni troje: Wojciech, jego córka Helenka i zięć Bronek, kręcili się jeszcze po izbie.

— Czy ojciec pójdzie na Pasterkę? — spytała Helenka.

Wojciech spojrzawszy na córkę swoimi niebieskimi oczyma, które pozostały wciąż młode i w których tliła się rozważna mądrość — rzekł:

— E nie... Nie pójdę, bom cosi nie taki. Bardzom umęczony dniem. Idźcie dziś sami, a ja se tu ostanę.

Gdy drzwi zamknęły się za córką i zięciem, gdy wpuszczony obłok zimna usiadł niewidocznie na powale i ścianach, zrobiło się w izbie dziwnie pusto i markotno. Markotno, choć została pięknie ustrojona i oświetlona kolorowymi lampkami choinka, choć nakryty wigilijny stół przypominał niedawne łamanie się opłatkiem i nie przebrzmiały jeszcze w uszach życzenia szczęścia i zdrowia, i pomyślności wszelakiej; i choć Wojciech zatrzymał w oczach radość wnuków z otrzymanych pod drzewkiem podarków. A mimo to wkradło się w te cztery pobielone ściany coś, co niespokojnie drażniło swoją zimną obecnością.

— Wiem — rzekł. — Pewnie, że wiem! Przyszłaś i ty na uroczyste spotkanie. Spóźniłaś się dzisiaj trochę.

Powiedział to cichutko, prawie szeptem, a szept ten wydał mu się zbyt głośny, wprost rozdzierający. Ale zaraz opanował się, i usiadłszy ciężko na twardym stołku, pozwolił, żeby przyszło teraz t a m t o — żeby przyszła ona, jego nieżyjąca od dziesięciu lat żona, na godowe z nim spotkanie.

I jak co roku poddał się wspomnieniom tamtych chwil.

Pamiętał: wrócił do chałupy ze stodółki, gdzie rżnął sieczkę i szykował obrok dla koni i krów, patrzy, a na stole leży czarne pudełeczko z jakimiś drobnymi klawiszami, pudełko podobne do tranzystorowego radia, które przecież znał, ale to nie było radio. I pamiętał, że Helenka, jego córka, z Maryśką od Grempichów przy tym pudełku majstrowały: wkładały coś i wykładały, jakby przymierzały dziwaczną foremkę do dziwacznej skrzynki, więc spytał ciekawie, co to takiego?

A ona, Helenka, psiajucha, gada, że zaraz tatko

rodzinnego, marzą o pełnym ciepła domu. Mężczyzna-Rak zdolny jest do wielkich poświęceń dla bliskiej osoby, oczekuje jednak zrozumienia i potwierdzenia jego wartości, gdyż nie czuje się zbyt pewny. Łatwo się zniechęca, każde niepowodzenie mocno przeżywa. Z powodu swojej zamkniętej natury nie ma zbyt wielu przyjaciół. Jednak ten, kto okaże mu zrozumienie i serdeczność, może na niego zawsze liczyć. Kobieta-Rak jest nieco próżna, a jej brak pewności siebie sprawia, że bywa łasa na pochwały. Kocha dom i związane z nim zajęcia, chce być doceniana. Nie oszczędzajmy jej pochwał, a stanie się najbardziej uroczą partnerką. Szczęśliwe liczby — 2, 17, 30 dzień — niedziela.

LEW (23 lipca — 22 sierpnia) znajduje się pod znakiem Słońca. Jego wielka aktywność, energia i ambicja łączą się z despotyzmem i dążeniem do podporządkowania sobie innych. Dlatego Lwy często zajmują kierownicze stanowiska i choć są kłopotliwymi szefami, trudno się bez nich obejść; poradzą sobie w każdej sytuacji. Mężczyzna-Lew jest dużą indywidualnością, nieco próżny, lubi „błyszczeć" w towarzystwie i w domu, a partnerkę dobiera najczęściej pod kątem zewnętrznej atrakcyjności. Jest miłym kompanem i towarzyszem, byle tylko nikt nie starał się go przewyższyć. Kobieta — bywa pełna pomysłów, jest atrakcyjna i lubi, aby ją podziwiano. Próżność staje się często przyczyną jej pomyłek życiowych, podejmuje jednak zaraz kolejną próbę naprawienia błędu. Lwy są też niecierpliwe i wybuchowe, choć tak naprawdę — mają w sobie wiele łagodności. Ich liczby 1, 9, 10; dzień tygodnia — piątek.

PANNA (23 sierpnia — 22 września) to znak będący pod wpływem Merkurego, który zapewnia jej zdolności logicznego myślenia, zamiłowanie do pracy i talenty organizacyjne. Dlatego też ludzie spod tego znaku doskonale radzą sobie na odpowiedzialnych stanowiskach. Gorzej — w życiu osobistym. Są nieśmiali, nie przejawiają inicjatywy w kontaktach towarzyskich. Krytyczni wobec siebie i otoczenia trudno znajdują odpowiedniego partnera. Mężczyzna urodzony pod znakiem Panny jest romantykiem, który zraniony w uczuciach zamyka się w sobie. Trzeba dużo cierpliwości, by pozyskać jego zaufanie. Pedantyczny i skromny, inteligentny, z rezerwą nawet wobec najbliższych — bywa trudnym partnerem. Kobieta-Panna często w życiu osobistym usuwa się w cień, jest pracowita i gospodarna, zdolna do dużych poświęceń dla rodziny i przyjaciół. Szczęśliwe liczby: 4, 10, 15, 27; dzień — środa.

WAGA (23 września — 23 października) znajduje się pod wpływem Neptuna, który powoduje, iż osoby spod tego znaku mają tyle samo cech dodatnich, co i wad. Inteligentni, przewrażliwieni, najchętniej poświęcają się nauce, pracy, nie przepadają za towarzystwem. Mężczyzna posiada wiele osobistego uroku, dużą wiedzę, jednak niewiele chce dawać z siebie innym. Duże znaczenie przypisuje uczuciom, jednak bywa zmienny i często — ze względu na duże wymagania — nie może trafić na odpowiednią partnerkę. Jest wybuchowy, lecz jego nastroje ulegają szybko zmianom. Kobieta — interesująca i wrażliwa, chwiejna i niezdecydowana równoważy te usterki życzliwością w stosunku do otoczenia. Oboje najwyżej cenią zalety umysłu u partnera, pragną spokojnego, ustabilizowanego życia. Wagi powinny zwalczać nachodzące je często lenistwo, bardziej ufać swoim możliwościom i z mniejszym dystansem podchodzić do innych ludzi. Ich liczby: 6, 13, 18, 29; dzień — sobota.

SKORPION (24 października — 22 listopada) jest znakiem będącym pod wpływem Plutona, który wywiera ujemny wpływ na urodzonych w tym czasie ludzi, czyniąc z nich istoty pełne sprzeczności. Skorpion może wydawać się czasem niesympatyczny, lubi być ironiczny, często agresywny, jednak potrafi zdobywać sympatię. Zależy to od jego nastroju. Mężczyzna-Skorpion nie jest łatwym partnerem — nieufny, zazdrosny, ale te cechy można złagodzić okazując mu dużo wyrozumiałości. W kobiecie ceni pracowitość, oszczędność i wygląd zewnętrzny. Pragnie być podziwiany i wymaga ustępliwości. Kobieta — choć bywa złośliwa, nerwowa, jest istotą słabą, pragnącą opieki i dlatego też szuka na partnera „mocnego mężczyzny". Jeśli jej się to uda, staje się miłą partnerką. Oboje powinni bardziej opanowywać swoje nerwy. Szczęśliwe liczby: 4, 19, 20; dzień — środa.

STRZELEC (23 listopada — 21 grudnia) znajduje się pod wpływem Jowisza, który rozwija w nim zamiłowanie do podróży, poszukiwania przygód. Często osiąga powodzenie w sferze materialnej, wobec życia nie ma wygórowanych wymagań. Jest pogodnego usposobienia, a uczucia odgrywają ważną rolę w jego życiu. Mężczyzna-Strzelec jest kapryśny, zmienny, wciąż w trakcie poszukiwania swego ideału, ma wygórowane ambicje — chce przewodzić, a jednocześnie przywiązuje dużą wagę do własnej niezależności. Uczuciowy, pełen przyjaznych uczuć do całego świata często ulega nastrojom, a jego słomiany zapał sprawia wiele kłopotu partnerowi. Kobieta-Strzelec ma mnóstwo wdzięku, jest bezinteresowna, czasem lekkomyślna, w zasadzie jednak jest doskonałą towarzyszką w różnych sytuacjach. Rada dla Strzelców — więcej przemyślania swoich planów i wytrwałości. Dobre liczby: 7, 11, 16; dzień — poniedziałek.

KOZIOROŻEC (22 grudnia — 20 stycznia) jest znakiem będącym pod wpływem Saturna, co w rezultacie daje efekty pozytywne — niezwykłą wytrwałość i pracowitość. Ustawienie na przełomie starego i nowego roku powoduje, iż Koziorożce są istotami pełnymi sprzeczności; ambitni, z uporem zdążający do celu łatwo się zrażają, często zmieniają też sam cel, gdyż pociąga ich wiele różnych dziedzin. Humor sąsiaduje z melancholią, zapał z rezygnacją. Pod wpływem nastroju potrafią podejmować się zadań nawet przerastających ich możliwości. Często posiadają uzdolnienia artystyczne, bądź naukowe, w zasadzie osiągają powodzenie w pracy zawodowej, trudniej układa im się życie osobiste. Mężczyzna spod tego znaku poszukuje partnerki — „dobrego kumpla" — jednak z domieszką romantyzmu. Kobieta — pod pozorem chłodu ukrywa romantyczny idealizm. Oboje często mają kłopoty uczuciowe, gdyż wymagają wiele od siebie i innych. Ich trudności może rozwiązać bardziej tolerancyjne podejście do ludzkich słabości. Szczęśliwe liczby: 3, 5, 16 i 25, z dni tygodnia — poniedziałek.

WODNIK (21 stycznia — 20 luty) znajduje się pod wpływem dwóch planet — Saturna i Uranu, które powodują niezwykłą aktywność ludzi urodzonych pod tym znakiem. Żyją w ciągłym pośpiechu, są pomysłowi i pełni zapału, lecz równie szybko potrafią porzucać to, co rozpoczęli. Zbyt mocny krytycyzm w stosunku do własnej osoby nie pozwala im często osiągnąć tego, co innym przychodzi z łatwością. Długo pozostają „dużymi dziećmi", lubią prowadzić życie niezwykłe, ryzykować, są nastawieni idealistycznie do świata. Mężczyzna-Wodnik jest miłym, lecz czasem męczącym partnerem przez swoją zmienność. Poszukuje u kobiet bardziej przyjaźni i zrozumienia, niż gwałtownych uczuć. Kobieta jest głęboko uczuciowa, inteligentna, nudzą ją sprawy „przyziemne", domowe, pragnie widocznych sukcesów zawodowych, które może osiągnąć, jeśli będzie bardziej wytrwała. To samo dotyczy życia osobistego. Liczby Wodników to 7, 14, 20; dzień — niedziela.

RYBY (21 luty — 20 marca). Jowisz i Neptun są planetami opiekuńczymi ludzi spod tego znaku, którzy odznaczają się dużą inteligencją, uczynnością, lecz jednocześnie brakiem silnej woli, ciągłymi rozterkami i pewną bojaźliwością. Łatwo ulegają wpływom otoczenia, zbyt emocjonalnie podchodzą do wszystkiego, stąd często wynikają ich kłopoty. Mężczyzna-Ryba jest trudny do rozszyfrowania, on sam też często nie rozumie kierujących nim impulsów. Wymaga wyrozumiałości i dużego nim zainteresowania, a także — bacznego oka, gdyż lubi ciągłe zmiany i łatwo się poddaje nowym wpływom. Kobieta-Ryba na odwrot — w uczuciach bywa stała, jeżeli tylko zapewni się jej odpowiednie warunki materialne i da poczucie stabilizacji. Jej ideałem jest dom i rodzina. Szczęśliwe liczby — 5, 9, 11, 19; dzień — czwartek.

HOROSKOP 1983

zobaczy, bo jest to takie coś, co utrwala ludzki głos czy muzykę na taśmie... „Aaa! Pewnie ma gnetofon!" zawołał, a ona na to: „Zgadł tatko!"

I rzeczywiście! Po chwili, gdy wszystko narychtowały jak trza, można było gadać, co się chce, a one powtarzały z tego pudełka słowo w słowo i bardzo prawdziwie to wszystko, co się rzekło przed chwilą, pogłaśniając lub ściszając utrwalony głos. Wojciech słyszał, rzecz jasna, o magnetofonach, ale co innego słyszeć, a co innego widzieć na własne oczy w swoim własnym domu; i na dodatek posłuchać samego siebie wtedy, gdy się gadać przestało. Dziwne, ale z początku nie poznawał swojego głosu.

Potem Helenka poinformowała, pamiętał, że zrobią niespodziankę Jaśkowi, to znaczy synowi Wojciecha, który wtedy przebywał na państwowej robocie w odległej Libii i prześlą mu Świąteczne i Noworoczne pozdrowienia od całej rodziny. Pozdrowienia i życzenia utrwalone na taśmie, żeby sobie mile posłuchał w tym dalekim świecie głosów najbliższych mu ludzi spod Sącza.

Na początek, jak się godzi, miała przemówić do Jaśka matka, znaczy żona Wojciecha, Haneczka.

Nie wiedziała, pamiętał, co mówić i jak mówić do własnego dziecka w tym dalekim kraju. Chciała przecież przesłać mu słowa mądre i dobre, i ciepłe, matczyne, najżyczliwsze ze wszystkich słów na świecie; a takie trudno było jej znaleźć, dobrać i zestawić. Kilka razy zaczynała i wciąż utykała. Myśli rozsypywały się jak ten suchy piach.

Mówiła: „Na samym początku, Jaśku, chciałam ci, Jasiu, powiedzieć, że u nas wszystko... wszystko... Nie! — rzekła. — Jeszcze raz!" Mówiła: „Najprzód chcę cię, Jasiu, pozdrowić z całego serca, ja, twoja matka, i od ojca, ma się rozumieć też, od Helenki też, Jasiu, a tero... tero..., ma się rozumieć, podaję ci taką wiadomość, że my przy zdrowiu i... Oj, nie! — westchnęła. — Jeszcze raz, Helenko!" I znowu zaczynała: „Na początku, mój Jasiu, niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, ten Jezusik, Jasiu, co bożym Dzieciątkiem przyjdzie na świat i tam u ciebie, i tu u nas, i co go w żłobku położono ubożuchno, choć był przecie Bogiem i Królem! A tero... tero zawiadamiam cię, Jasiu, że my wszyscy przy zdrowiu, czego i tobie życząc, podaję, że za tobą tęskno nam bardzo, bardzo nam ciebie brakuje, więc... więc... E, co będą tak dużo gadać, Jasiu! Bądź zdrów, wracaj cało i wnet, tego byśmy bardzo chcieli wszyscy, a na koniec posłuchaj..." I nie zapowiedziawszy tego przedtem nikomu, zaczęła śpiewać: „Lulaj że Jezuniu, lulaj że lulaj, a ty Go Matulu w płaczu..." — urwała nagle, pamiętał, prawą rękę przycisnęła do piersi, usta i oczy miała szeroko otwarte, jakby się czymś mocno przestraszyła. A potem wolniusieńko zaczęła osuwać się na podłogę, więc Wojciech przyskoczył, uchwycił Haneczkę i przytrzymał mocno.

A potem Wojciech pognał na motorze po doktora do Sącza. I przyjechali nawet wnet, ale Haneczka już nie żyła — „serce nie wytrzymało!" — powiedział lekarz, a oni w bek! Zamiast przygotowywać radosne Gody, pamiętał, trza było zająć się pogrzebem.

— Popatrz, Hanka, to już dziesięć lat przeleciało od tamtego dnia — rzekł na głos Wojciech Ciosek. — A zdaje się, że...

I zaczęły przesuwać mu się w pamięci fragmenty kolejnych świąt Bożego Narodzenia — różne choinki świąteczne, chrzęst łamanego opłatka, ciepłe słowa życzeń... kolędy, kolędy... „Lulaj że Jezuniu, moja perełko..." Haneczka upadająca, doktor — i znowu kolejne drzewka wigilijne... lśniące bombki, zapach siana pod stołem, życzenia szczęścia, zdrowia... świąteczna strawa dla krów i konia, zapach siana i gnoju, i zboża niedomłóconego w stodółce, i ten uroczysty pośpiech przedświąteczny, nerwowa radość i znowu... „Lulaj że Jezuniu..." śpiewane do magnetofonu przez zmarłą żonę. Mieszało mu się to wszystko, rwało i wracało, a pośród tej plątaniny on, Wojciech, wiedział jedno, że od tamtej bolesnej Wilii życie mu rzedło i puściało, przestało piąć się w górę, szło w dół, ino w dół.

— Idę za tobą, Hanka — powiedział znowu na głos. — Już mam coraz bliżej do ciebie, ino patrzeć, a... Nie, nie boję się śmierci, bo i czego? Wszystko, co trzeba było załatwić, załatwione: Helenka wzięła gospodarstwo, Jasiek spłacony, zięć, znaczy Bronek, chłop nie płony, ja wiesz, dobry i robotny, żonę rad widzi, wnuki rosną zdrowo, wszystkie troje, te na miejscu, Helenki, i te u Jaśka, w Nowej Hucie.

Urwał. Siedział sztywno na twardym stołku, wpatrzony w choinkę, w sam jej szczyt, gdzie chybotliwie wisiała duża, zielona bombka, a w niej, drżąc delikatnie, lśniła odbita gwiazda betlejemska, ta, co na szczycie kończyła drzewko.

— Aha! — przypomniał sobie. — Jasiek dostał Krzyż Zasługi i, jak to gadają, awans do tego jeszcze, i...

Znowu urwał. Przyszło mu na myśl, że zmarła Haneczka może o tym wszystkim wiedzieć dobrze. Jeszcze lepiej niż on, żyjący — przyszło mu to na myśl, bo przecie wierzył w życie za grobem. Może inne niż tu, to prawda jednak wierzył że jest. Ale sprawozdanie składał Hance rok w rok, tyle już

(CIĄG DALSZY NA STR. 18—19)

JULIAN KAWALEC

POTRZEBA WIERNOŚCI

Dla twórczości pisarza najistotniejsze jest miejsce gdzie się urodził, gdzie stała jego kołyska. Ważny jest świat, jaki najpierw poznał, bo już wtedy, we wczesnych latach zapisuje w swojej duszy to wszystko, co ma ukochać lub odrzucić i co w nim pozostanie wtedy, gdy już odbije się od znanych zakątków.

W moim przypadku — wieś była tym najbliższym światem, drewniana kołyska, którą Matka poruszała nogą, bo ręce miała zawsze zajęte jakąś pracą, mała chałupina kryta strzechą bezkresny, rozciągnięty w nieskończoność krajobraz. Moja wieś leżała w rozwidleniu Sanu i Wisły, na szerokiej równinie przeciętej ogromnym jak morze rozlewiskiem

Pierwszymi moimi nauczycielami byli dla mnie prości, nieuczeni ludzie — matka, ojciec, sąsiedzi, wszyscy ci trudzący się całe życie, nisko pochyleni nad ziemią po to, by stwarzać rzecz najważniejszą — zwykły bochenek chleba. Chleb nie leżał wówczas na stole, dostępny w każdej chwili. Był chowany jakby w kapliczce — w komorze, w głębi przepaścistej szafy i owinięty płótnem. Babka wnosiła go do izby, brała nóż, przytulała do siebie bochenek i krając tak patrzyła na mnie, jakby chciała wzrokiem wymierzyć skalę mojego głodu. Prości ludzie uczyli mnie swojego trudu, miłości do ziemi, pazerności nawet w swoich do niej uczuciach, szacunku dla pracy i ludzi starych.

Krajobraz też był moim „wychowawcą". Mam tu na myśli stylistykę, którą obieram; są w niej tempa zwolnione, długie rozlewne frazy, powracające refreny, jakaś biblijność i lament. To wszystko podpowiadała mi owa bezbrzeżna równina, tak płaska, pozbawiona wzniesień, aż jakby cierpiąca w swej jednostajności. Tak też mówią tam ludzie. Ich mowa jest taka, jaką narzuca im ziemia, na której żyją. W mój życiorys wtargnęły też góry w opowieściach dziadka, w śpiewanych przez niego pieśniach o Janosiku. Dziadek pochodził z okolic Czarnego Dunajca i potrafił przekazać nam, którzy sądziliśmy, że ziemia jest równa jak stół, swój obraz gór i sentyment do Podhala. To, że mieszkam teraz w Rabce, jest wynikiem zaszczepionego mi w dzieciństwie sentymentu.

Miasto zawsze wydawało mi się groźne, chłodne i obce. Już wtedy, gdy na furmance po raz pierwszy przyjechałem do Sandomierza, do tamtejszego gimnazjum, poczułem swoją wobec miasta bezbronność. Poczułem się oderwany od ziemi — czystej, chleborodnej, szarej po zabronowaniu jak sukno, zielonej latem, złocistej i srebrnej zimą — i rzucony w inny zupełnie świat. Tłumy ludzi na placach, ulicach, gdzie nikt nikogo nie zna, gdzie wszyscy się jak gdyby nie lubią, a muszą być razem — jak w zatłoczonym tramwaju. Obojętni wobec siebie.

Miasto też w istocie okazało się groźne dla przybyszów ze wsi, odbierało im często tożsamość, nie dając nic w zamian, poza karierą. W książce uważanej przez krytykę za moją najlepszą powieść, „Tańczącym jastrzębiu", pisałem o potrzebie wierności gniazdu, tradycji, o tym, że nie wolno oderwać się od swoich korzeni, odciąć ich od swojego życiorysu. Człowiek występujący w tej książce usiłuje sprzeniewierzyć się zasadom, naukom, którymi starali się go nasycić ludzie z jego środowiska — niepozorni, nieefektowni ludzie, całe życie zajęci ciężką pracą. Im właśnie chciałem wystawić jakby pomnik w tej i innych książkach. Gdy człowiek podcina korzenie, gdy amputuje część swojej biografii dla ambicji, miraży, kariery — zawsze przegrywa. Z poczucia, że nie może nadążyć, by dopisać brakującą część życiorysu, jest gwałtowny, jastrzębi, drapieżny i atakuje przyjmując zasadę — aby tylko dalej i wyżej, za wszelką cenę. Takie postawy są częste w życiu, obserwowałem ich sporo, dlatego kreśląc ten jakby negatyw ludzki chciałem, by mógł on przestrzegać innych.

Człowiek nie może zerwać ogniw wiążących go z przeszłością, z dziedzictwem. Jeśli tych ogniw brakuje, człowiek nie wie dokąd zmierza, skąd przychodzi, czuje za plecami pustkę.

Wszystkie moje książki mówią o zwykłych ludziach, o tym, co chowają oni w swoich wnętrzach, w podziemiach swojej psychiki, bo tam sadowią najważniejsze prawdy. Staram się dotrzeć do tych wewnętrznych zakątków, gdzie gromadzą ludzie swoje najtrudniejsze sprawy i ukryte myśli. Interesuje mnie bardziej krajobraz psychiczny, niż ten widzialny, zewnętrzny

Przypięto mi etykietkę pisarza „nurtu wiejskiego". Nic takiego w moim odczuciu nie istnieje, termin ten stworzono dla wygody naukowej klasyfikacji. Ukazuję ludzi żyjących w wiejskim krajobrazie, pozornie prostych na zewnątrz, a jakże skomplikowanych, ich niełatwe, zygzakami idące ścieżki. Ich pasje, uczucia, miłości są może trochę inne niż te przeżywane przez ludzi z miasta, dotyczą nieco odmiennych spraw, lecz przecież sfera przeżyć ludzkich jest jedna, wspólna. Piszę o ludziach trwających w swej miłości do ziemi lub od niej odchodzących, gdyż ich znam najlepiej. Ażeby mogła powstać książka, pewne znane sprawy, wydarzenia, to co poznałem muszę przetransponować przez „filtr psychiczny" przez wzruszenie, wyobraźnię i stworzyć człowieka, przede wszystkim — stworzyć jego uszę.

Pisarz — to nie jest zawód, to powołanie, choć może zbyt wielkiego użyłem słowa. Przekazując swoje prawdy chciałbym coś ocalić, komuś pomóc, a także siebie uratować od zapomnienia, choć może to być złudne — książki istnieją w obiegu pięć, dziesięć lat, potem egzystują już tylko w bibliotekach. Wiele rzeczy, spraw mnie wzruszało, zapamiętałem wielu ciekawych ludzi i z tych uczuć i pamięci powstaje tworzywo. Chciałbym skłonić do szacunku dla ludzi, zwłaszcza tych niepozornych, odsuniętych, a jednak ogromnie wartościowych, jak na przykład Walenty Knap, o którym pisałem w jednym z reportaży. Ten niepozorny chłopina, którego wszyscy lekceważyli — rodzina, znajomi — był geniuszem. Przez całe życie, przez kilkadziesiąt lat budował zegar, wskazujący dni, miesiące, lata, kwadry księżyca — wielki jak dom. Mówił: — Czas jest taki ogromny, więc i zegar powinien być ogromny.

Obecnie od dłuższego czasu pracuję nad nową książką, bardziej niż inne osobistą, jakby biograficzną, w której staram się uzasadnić przyczyny powstania poprzednich moich książek, ustalić ich rodowód i przemierzyć znów drogę jaką przeszedłem. Ostatnią powieść „Ukraść brata" napisałem w intencji odzyskania wiary w podstawowe wartości i szacunku dla człowieka, tę nad którą pracuję — piszę jakby bardziej dla siebie, by móc ocenić swoją drogę na tę szklaną górę, jaką jest pisarstwo.

Notowała LUCYNA KASZUBA

LUDOMIR MAZELA

ŁUKASIEWICZ

Skupioną ciszę lasu na stokach Oboczy przy szlaku Gorlice — Magura Małastowska burzy monotonny hurgot stalowych lin. Zgrzytają okute ramiona „kiwonów". Patrząc na brunatne wycieki, na zrudziałą trawę, wspominam twórcę naftowego przemysłu, konstruktora lampy naftowej.

Gorlicom, z którymi związał się na kilka lat w połowie ubiegłego stulecia, patronuje do dziś z Pomnika Tysiąclecia, i z drugiego, nowo wzniesionego u wylotu ulicy Węgierskiej. Jest jeszcze pamiątkowa tablica wmurowana w ścianę Urzędu Miejskiego, jest ulica nazwana jego imieniem, cenne pamiątki w miejscowym Muzeum Regionalnym.

Ziemia Gorlicka od dawna była znana ze źródeł i wycieków ropy naftowej. Z Łosia i Bielanki wywodzili się sławni w XIX stuleciu handlarze skalnym olejem. Ropa, Ropki, Ropica Dolna i Górna wywodzą swe nazwy ze związków z poszukiwanym surowcem. Nim Łukasiewicz przybył do Gorlic w roku 1853, prymitywne górnictwo naftowe istniało już w rejonie Kobylanki, Sękowej, Siar i Sokoła. Z końcem roku 1853 zostały odkryte pokłady asfaltu w Męcinie, Dominikowicach i w samych Gorlicach na przedmieściu Magdalena. Jesienią 1853 roku zainteresowany tymi odkryciami Łukasiewicz przybył do Gorlic, by związać z nimi swój los na okres lat pięciu.

Urodzony w Zadusznikach 8 marca 1822 roku, uczęszczał do rzeszowskiego gimnazjum Pijarów, a od 14. roku życia pracował w aptece Antoniego Swobody w Łańcucie. Działając jednocześnie w spiskowej Konfederacji Powszechnej Narodu Polskiego, jako agent Dembowskiego przygotowywał w Rzeszowie powstanie przeciw rakuskiemu zaborcy. Był wówczas pomocnikiem aptekarskim u Edwarda Hübla. Aresztowany w lutym 1848 roku, dwa lata spędził w austriackich więzieniach. Zwolniony, kontynuował praktykę farmaceuty tym razem we Lwowie, w słynnej aptece Piotra Mikolascha. Ukończył studia w Krakowie i Wiedniu, powrócił do Lwowa jako magister farmacji. Od roku 1852 datują niektórzy jego zainteresowania ropą naftową i jej przeróbką. Po wykonaniu wraz z blacharzem Bratkowskim pierwszej lampy naftowej zapłonęła ona w lwowskim szpitalu 31 lipca 1853 roku. W Gorlicach zamieszkał Łukasiewicz na przełomie 1853/54 roku. Apteka, w której pracował, mieściła się w budynku obecnego Urzędu Miasta, w tzw. Ratuszu.

Z Gorlic miał blisko do powierzchniowych wycieków ropy. Do ściślejszej współpracy z Jabłonowskim, właścicielem dóbr Kobylanka, nie doszło, chociaż na terenach tamtejszych dóbr czynny był już pierwszy w Zachodniej Galicji szyb naftowy głębokości 11,5 m. Jabłonowski zraził się szybko skąpym wyciekiem cennego oleju. Od końca 1854 roku Łukasiewicz dzierża-

WIGILIE WOJCIECHA CIOSKA

(CIĄG DALSZY ZE STR. 11)

czasu, więc czemu miałby nagle dzisiaj przestać składać wigilijne meldunki?

— I Jaśkowa chodzi z drugim dzieckiem — skończył przerwaną myśl. — W maju ma nastąpić rozwiązanie, więc cóż, trza mi się gotować na nowe chrzciny, Haneczko, jeśli Bóg przy życiu zachowa.

Bombka z betlejemską gwiazdą okręciła się w jedną i drugą stronę. Zrobiła pół obrotu tam i z powrotem zawieszona na nitce a nitka na jodłowej gałązce — i wtedy Wojciech otrząsnąwszy się z zamyślenia o Hance powrócił do izby, w której cały czas był; i chwycił w nozdrza zapach jedliny.

Pomyślał: „Pachnie tak mocno, bo usycha. Bo umiera — poprawił się. — Czy ta piękna, bo piękna, tradycja musi rokrocznie niszczyć tak bardzo dużo jodełek i świerków? — przyszło mu na myśl. Otóż to!... No, a ta, co tu stoi! — zauważył. — Przecie też ją Bronek, niewiedzieć kiedy, wyciął na dziko, choć upominałem..."

I przypomniała się Wojciechowi ta historia z jodełką. Miał wtenczas chyba dziesięć albo jedenaście roków, pamiętał, miał pod opieką kota, psa, dwanaście gołębi i pewną jodełkę, co rosła opodal domu. Był jedynakiem i mieszkali pod lasem samotnie. Dalko od wsi. Wnet więc pokochał przyrodę — i pozbawiony zabaw z dziećmi, mógł lepiej dbać o swoje zwierzęta i drzewko; i mógł też prędzej pojąć, że życie, to nie żadne tam chichy śmichy ,ino rzecz poważna!

Do tej jodełki, jego rówieśnicy, zakradał się najczęściej wtedy, pamiętał, gdy trapił go jakiś żal albo, kiedy chciał podzielić się nowiną jakąś czy radością, czy czymś takim, co było bardzo ważne dla niego, chodoka, albo wtedy, gdy trza mu było nad czymś podumać w skrytości przed oczyma dorosłych.

Jodełka rosła zdrowo, pamiętał, i dźwigała się prędko. On zaś, Wojciech, wiedział od ojca, ile wysiłku włożyć musi przyroda, żeby z drobniusieńkiego, ulotnego nasionka wyrosło wielkie drzewo. Wiedział więc, że wpierw pokazuje się drobna siewka, potem siewka rośnie i rośnie, i przekształca się stopniowo w pień, coraz grubszy i twardszy, o korze jasnej, szarosrebrzystej i miłej w dotyku, i wiedział, że igły jodełki są płaskie, ustawione grzebieniasto w dwa rzędy, podobnie jak piórka ptaków, że pod spodem mają dwa paski woskowego nalotu — i znał też już wtedy drewno dorosłych jodeł: złocistobiałe, lekkie, miękkie i łupliwe, i — jak gadali — rezonansowe; zdatne do robienia instrumentów muzycznych i do stolarki. Ale nigdy nie próbował wystrugać niczego z tego drewna.

— Tak! Nigdym w życiu nie tknął jodły czymś ostrym — rzekł na głos, wciąż wpatrzony w tę dużą zieloną bomkę.

I żywo stanęły Wojciechowi przed oczyma tamte święta Bożego Narodzenia, kiedy to jakiś nieznany drań wyciął jego umiłowane drzewko.

— Oby cię... — chciał złorzeczyć, ale rychło przypomniał sobie, że przed ustrojoną w anioły choinką siedzi, i w dniu świętym, więc zaniechał przekleństw.

Tamtej Wilii prało śniegiem fest, i mróz trzymał dobry, a on, przed samą uroczystą kolacją, pobiegł w tej kopnej białości do jodełki. Chciał podzielić się z nią swoją radością. Patrzy, a drzewka nie ma. Podszedł bliżej, i zobaczył tylko kawałek pnia, co sterczał ze śniegu; i przyjrzał się temu miejscu, gdzie siekiera, rąbnąwszy, przecięła młode życie jodełki — straszliwe, ukośne cięcie zbroczone kropelkami żywicy. Rozpłakał się na głos.

Wrócił do domu złamany. Przez cały wieczór wigilijny powstrzymywał, gasił w sobie ataki żalu, te nieposłuszne fale płaczu, co uderzały w niego od środka, co go raz po raz próbowały złamać. Wiedział jednak, że musi się trzymać dzielnie, żeby nie psuć w domu świątecznego nastroju. Tak więc połykając napływającą do ust słoność, ze wszystkich sił przywoływał w pamięci to, co mogło odwrócić

LESZEK MAZAN

07 ZGŁOŚ SIĘ

czyli rozmowa z Bronisławem Cieślakiem

— Ludzie robią zakłady, ba — nawet eksperymenty praktyczne — czy po wykręceniu numeru 07 zgłosi się porucznik Borewicz alias Bronisław Cieślak?

— Praktycznie rzecz biorąc, osiągalny jest tylko ten drugi, ale po nakręceniu numeru krakowskiego ośrodka telewizyjnego, gdzie pracuję na stanowisku kierownika redakcji publicystyki. Zresztą wielu o tym wie i tam właśnie dzwoni.

— A o co najczęściej pytają?

— Czy jestem mężem pani Jankowskiej-Cieślak.

— I co pan odpowiada.

— Zgodnie z prawdą.

— Na ekranach telewizorów pojawiły się właśnie cztery nowe odcinki serialu przygód „milicyjnego playboya", czyli porucznika Borewicza. W sumie nakręcił ich pan już, jak przypomniał ostatnio w jednym z wywiadów Krzysztof Szmagier, czternaście...

— Dwanaście z nich reżyserował Krzysztof Szmagier, jeden — nieżyjący już Andrzej Jerzy Piotrowski, a jeden debiutujący jako reżyser Kazimierz Tarnas. Telewizja polska powtarzała pierwsze odcinki w „dwójce", co pozwoliło, poza innymi doznaniami, uświadomić sobie, jak upływa szybko życie... pierwszą filmową aferą porucznika Borewicza była sprawa krempliny. Kto dziś pamięta ten materiał na damskie przyodziewy? Błyskawicznie deaktualizują się — w codziennych realiach — nawet odcinki nakręcone dopiero przed rokiem...

— W „Hienach" je pan jajka po 6 złotych...

— Jak pan widzi, koszty produkcji filmowej rosną błyskawicznie, ale nawet już przed ośmiu laty producent musiał mieć sporo odwagi, by zaangażować do wieloodcinkowego serialu „naturszczyka", osobę spoza branży.

— Tym odważnym był Krzysztof Szmagier?

— Nie, Roman Załuski. Zobaczył mnie w cyklicznym telewizyjnym programie „Bez togi", prowadzącego dyskusję na temat „obrony koniecznej". Zaproszenie na próbne zdjęcia było kompletnym zaskoczeniem, dla mnie, dla rodziny i przyjaciół. Nie miałem zamiaru jechać, ale, pamiętam, rotmistrz redaktor Jacek Stwora rugnął mnie publicznym słowem: — nie wolno ci stracić szansy napisania cudownego reportażu „Jak nie zostałem aktorem filmowym". I tak z notesem powędrowałem do Wrocławia, a po powrocie zacząłem pisać. Nie skończyłem, bo przyszła konkretna już propozycja zagrania roli inżyniera w serialu „Znaki szczególne". 6-odcinkowy serial został nakręcony wcześniej niż „07", ale emitowany później. Wie pan — chodziło tam o budowę Portu Północnego, uzgodnienia z decydentami tele- i pozatelewizyjnymi trwały długo, jeden odcinek w ogóle wyrzucono...

— Czy wcześniej miał pan jakiś „aktywny" kontakt z filmem czy teatrem?

— Jeśli nie liczyć recytowania Gałczyńskiego w teatrzyku studenckim „Salamandra" — nie miałem, nikt mnie nie uczył umiejętności pokonania tej bardzo ludzkiej ciągotki kokietowania własną osobą, umiejętności, którą zdobywa w szkole aktor profesjonalny. Znałem jedynie, jako dziennikarz telewizyjny, filmowe ABC, wiedziałem, co to jest kamera, jakie prawa rządzą montażem i planem filmowym. Trochę mi się to przydało, ale tylko trochę... Nie znając warsztatu, stanąłem przed kamerą i miałem grać.

— Jak przyjęło pana środowisko aktorskie?

— Różnie. Ci, których nazwiska nie schodzą z ekranu i afisza, ci z wyrobioną już pozycją — bardzo sympatycznie i miło. Ale zdaję sobie sprawę, że część aktorów uważa mnie za intruza, no bo w końcu jestem nadal spoza branży. Były korytarzowe „podszczypywania" i drobne złośliwości, ale — wyłącznie korytarzowe. Na planie każdy pomagał mi, jak mógł, zresztą we własnym, dobrze pojętym interesie, bo któż by chciał skopać scenę, w której sam występuje?

— Czy fakt, że jest pan dziennikarzem nie zwiększa pana dystansu do kreowanej postaci porucznika Borewicza? No bo przecież lepiej niż inni wie pan, że oficer milicji, oficer służby kryminalnej, pracuje, delikatnie mówiąc, trochę inaczej?

— Oczywiście, że wiem, iż oficer śledczy we współczesnej kryminalistyce to nie latający detektyw, ale często biurokrata, zasypywany w trakcie prowadzenia sprawy, stosem analiz, raportów, czytający za biurkiem sprawozdania i informacje dziesiątków służb. Zwracają mi na to uwagę sami oficerowie milicji, wzdychając do takich warunków pracy i takich środków, jakimi dysponuje Borewicz. Ale jako dziennikarz telewizyjny znam właśnie szczególnie dobrze prawa rządzące tym gatunkiem filmowym serialu, który musi być „do oglądania" i — musi każdy odcinek kończyć happy-endem.

— Czy możemy oczekiwać dalszych odcinków „07 zgłoś się"?

— Zależy to wyłącznie od Krzysztofa Szmagiera, a ściślej od tego, czy jako szef Polskiej Kroniki Filmowej potrafi wygospodarować czas na napisanie kolejnych scenariuszy. Nawet ostatnio rozmawiałem z nim telefonicznie. Poinformował mnie, że pisze.

— Tak więc, na razie, porucznik Borewicz ma trochę oddechu. A redaktor Bronisław Cieślak? Czy popularność aktora telewizyjnego zwyczajnie, na co dzień, nie przeszkadza panu w pracy dziennikarskiej?

— Prawdziwym dramatem byłoby, gdyby ludzie zaczęli na serio myśleć, że ten Cieślak to faktycznie aktor pełną gębą, który „gra dziennikarza". Mam nadzieję, że tak nie myślą i że potrafię być dla telewidzów rzeczywistym, wiarygodnym dziennikarzem, reporterem, publicystą, czyli wykonywać pracę, którą od wielu lat wykonywałem najpierw w radio, potem w telewizji. Nie jestem aktorem i nie chcę być aktorem. W naszym ośrodku TV przygotowuję i prowadzę w II programie ogólnopolskie „Wieczory krakowskie", sądząc z otrzymywanej przez nas korespondencji, życzliwie przyjmowane i szeroko oglądane. Teraz, gdy w Radiokomitecie toczy się dyskusja nad kształtem antenowym „dwójki", pragniemy przygotować propozycje odpowiadające już nie tylko naszym ambicjom, ale ambicjom całego krakowskiego środowiska kulturalnego i naukowego. Pragniemy przy tym większej samodzielności antenowej dla ośrodków regionalnych, chcemy mieć prawo do odpowiedzialności, do firmowania swą planszą i sygnałem własnych programów czy bloków programowych.

— Czy zdarzyło się, że telewidzowie stanęli przed alternatywą: albo „07", czyli Cieślak w „jedynce", albo „Wieczory krakowskie", czyli Cieślak w „dwójce"?

— Mało brakowało, ale się nie zdarzyło.

— A gdyby tak?...

— No cóż, namawiałbym telewidzów do oglądania „dwójki". Ostatecznie, odcinki serialu są powtarzane w innej porze...

(PAP)

---

wił już gorlicką aptekę, rozwijając szeroką działalność zawodową, naukową i społeczną (m. in. w roku 1855 skutecznie zwalczał panoszącą się w Gorlicach epidemię cholery).

Nie otrzymał jednak dodatkowej posady kasjera miejskiego, prawdopodobnie ze względu na swą działalność polityczną, o czym w ówczesnej Austrii pamiętano długo, nie tylko zresztą wobec Łukasiewicza.

W roku 1857 wziął w dzierżawę drugą aptekę — tym razem w Jaśle. W aptece gorlickiej zastępował go kolega z ławy szkolnej, Walery Rogawski. Po zgonie Tomaniewicza, dotychczasowego właściciela apteki gorlickiej, Łukasiewicz pragnął nabyć na własność jego zakład, lecz i tym razem władze zaborcze nie wyraziły zgody na udzielenie wynalazcy koncesji. Przy współpracy z gorlickimi blacharzami, prawdopodobnie na przełomie 1853/54 roku, zapłonęła pierwsza na świecie uliczna lampa naftowa. Miano ją umieścić na przedmieściu Zawodzie przy zabytkowej, do dziś istniejącej kaplicz-ce.

W gorlickim okresie życia i pracy współpracował Łukasiewicz z właścicielem Sękowej, pomagał w zakładaniu kopalni w Krygu. Walery Rogawski, wspominając o gorlickich eksperymentach z ropą, relacjonował m. in. dramatyczną akcję ratowania budynku apteki po wybuchu kotła z podgrzaną ropą naftową. Wydarzenie wykorzystał literacko Z. Przyrowski w znanej opowieści o I. Łukasiewiczu pt. „Światło z ziemi".

W gorlickim kościele w roku 1857 zawarł Łukasiewicz związek małżeński z Józefą Honoratą Marią Stacherską. Jedyna ich córka, Marianna, zmarła w dwa lata później w Jaśle i tam została pochowana.

Po opuszczeniu Gorlic i przeniesieniu się do Jasła (prawdopodobnie w roku 1858) Łukasiewicz nie stracił kontaktów ani z Gorlicami, ani z obecną Sądecczyzną. Był w latach późniejszych związany z rafinerią w Ropie i kopalnią w Wójtowej, zaś Krajowe Towarzystwo Naftowe z siedzibą w Gorlicach wybrało go prezesem, a następnie dożywotnim honorowym kuratorem. W gorlickim i jasielskim okresie życia powstała w Bóbrce pod Krosnem pierwsza w Polsce (i na świecie) kopalnia ropy naftowej. Wkrótce w Ulaszowicach pod Jasłem założył Łukasiewicz niewielką destylarnię, współpracując z Trzecieskim i Klobassą. Życie prowadził ruchliwe i czynne, działał w Wiedniu i we Lwowie, prowadził aptekę w Brzostku. Po mieszkaniu w Jaśle przyszła kolej na Polankę pod Krosnem, następnie na Chorkówkę, którą zakupił i w której się osiedlił na stałe. Ale w swej pionierskiej działalności dotarł również dalej na zachód. W Klęczanach pod Nowym Sączem współpracował z Zielińskimi przy eksploatacji tamtejszych złóż ropy.

Odznaczony wieloma medalami, wyróżniony dyplomami, posłował do Sejmu Krajowego, czynnie uczestniczył we władzach samorządowych Ziemi Krośnieńskiej. Mówiono, że był wielkim miłośnikiem drzew i wrogiem pijaństwa. Zawsze udzielał pomocy potrzebującym, także politycznie prześladowanym. Dbał o rozwój oświaty w swojej Chorkówce. Zmarł 7 stycznia 1882 roku po ostrym zapaleniu płuc i pochowany został na cmentarzu w Zręcinie niedaleko Krosna. Pozostały po nim pamiątki, pomniki, wdzięczna pamięć rodaków, muzealne eksponaty w Gorlicach, Krakowie i Krośnie. Pozostało dzieło całego życia — pomnożone i ustokrotnione, obejmujące świat.

---

myśli od wyrządzonej mu krzywdy. Było to trudne. Tym bardziej trudne, pamiętał, albowiem stojąca w domu choinka, też przecież ścięta i przystrojona, przywodziła na pamięć jego jodełkę, która... Nie chciał o niej myśleć, fakt, ale mimo to widział ją gdzieś tam u kogoś obcego, spełniającą swoje ostatnie zadanie, a potem, wiedział o tym, obedrą ją ze świątecznego przybrania i wyrzucą, może spalą jak śmieć, uciąwszy wpierw wierzchołek, z którego niektórzy robią rogale do roztrzepywania mleka czy lanego ciasta; i tyle po jego jodełce. Było mu wprost nie do wytrzymania ciężko, a jednak do końca wigilijnej wieczerzy nie zapłakał.

„Dopiero potem — pomyślał — gdym już legł w łóżku, mogłem sobie pofolgować i wypłakać się do woli. A od tej pory nie ściąłem nigdy ani jodełki, ani dużej jodły".

— Oj, Wojciechu, Wojciechu! — powiedział na głos do siebie. — Twardyś, szlachetnyś jeszcze i tero, ale strasznie zgorzkniały, zmarkotniały, a przecie było też radości w twoim życiu kiejsi niemało. A ty wciąż swoje: a to żale wywlekasz, a to śmierć ci się zwiduje, a to jeszcze cosik innego, co smuci, wygarniasz z siebie. Przecież w Boże Narodzenie godzi się radować!

„Wiem — pomyślał. — Tak powinno być. Ale co zrobić, jeśli jest inaczej? Widać tako już i zostało ułożone, że u starych ludzi na pierwsze miejsce w pamięci wychodzi to, co boleścią wryło się w życie. A radość, widać, lekka, ulatuje kajsi, czy tego chcesz czy nie. — I pomyślał: — Chociaż doświadczyłem, że boleść, która minie, też trochę cieszy. Przez to, że się ją przeżyło".

— Jak ujdą z człowieka wielkie namiętności — odezwał się na głos — te wielkie podniety, które cię pchają w górę, to zostaje ino to, co przygniata, co ciągnie w dół, w ten płony, cień, gdzie nie ma już wielkich zmagań ani nic.

„No i widzisz... — E, jesteś, Wojciechu, strasznie skapcaniały dziś, przyznaj — podpowiedziało mu jego drugie ja. — Znowu narzekasz. Spróbuj pomyśleć, a na pewno znajdziesz w swoim życiu wiele radosnych dni. Po co szukasz zaraz wielkich podniet, wystarczy się choć trochę chcieć cieszyć! A ty przecież potrafisz c h c i e ć!"

Spróbował sięgnąć w głąb pamięci, by poszukać swoich radosnych Godów. I owszem: znalazł ich dużo w dziecięcych latach, jednak te były mocno zatarte, wyczuwał zaledwie blado ich nastrój, za to wyraźnie przypłynęły pierwsze święta Bożego Narodzenia, które przeżyli zaraz po ślubie z Haneczką.

Pamiętał: był młody i jakże krzepki, pełen dobrych planów i sił, żeby je wykonać, a Hanka była ładną, zdrową dziopą. I choć bidnie przyszło im te pierwsze święta spędzać, to przecież wiedzieli, że na drugi rok będzie lepiej, a na trzeci znowu lepiej; i jeszcze jedno: byli nareszcie razem, dopasowani jak ulał. Należeli do siebie każdego dnia i potrafili się kochać bez ustanku, bo się znakomicie dobrali...

Pamiętał: Hanka upiekła kołacza z przemielonego ziarna, które sami zebrali; nagotowała wigilijnych różności — i siemionkę z konopi zrobiła, które on, Wojciech, utłukł w stępie, doprawiła ją zatrzepką z mąki i drobno pokrajanym podpłomykiem z cukrem, i były ziemniaki z żurem i grzybami, i kapusta z grochem, i groch ze śliwkami, i płateczki z makiem, i... A stół był posypany przez Haneczkę owsem, pamiętał, pod stołem wiązka siana leżała, w rogu izby on postawił snop żyta, a u powały wisiała podłaźniczka, ustrojona czerwoniutkimi jabłuszkami i kolorowymi opłatkami, wyciętymi w piękne wzory — i pamiętał też tę igłę z nitką, wbitą przez Haneczkę w futrynę okna, z której po trzech dniach wróżyła, czy rok będzie suchy, czy mokry. Potem zaś, kiedy bydło dostało resztki wigilijnego obiadu z opłatkiem, poszli z Hanką na pasterkę. Poszli i razem śpiewali kolędy, i razem...

Bombka na choince, w którą się Wojciech Turzyca wpatrywał, zawirowała nagle, odczepiła się od szpilkowej gałązki i poszybowała pod powałę, a ta, rozstąpiwszy się na roścież, ukazała wielkie, gwiaździste niebo. Stary zasnął. Śniły mu się góry i orzeł szybujący ponad nimi, i była wiosna, a on, Wojciech, wędrował ze strzelbą na ramieniu tak, jakby mu powierzono funkcję gajowego, o czym zawsze marzył. Szedł więc, popatrując wokoło siebie, niósł dumnie ten swój ważny urząd i podziwiał piękno otaczających gór. Nie były to ani kończyste turnie czy krzesanice, ani przepaściste zerwy, ani żleby, co się rozsiadły w Tatrach pośród kamienistych wierchów, lecz oglądał pasma połogich szczytów z mnogością upłazków, polan i połonin, poznaczonych płachtami lasów smrekowych i mieszanych, w których przeważały buki nad brzozą, jesionem czy jaworem, a stąpał właśnie przez cienisty, chłodny bór, bardzo stary, prześwietlony ukośnymi wiązkami promieni. Ptaki śpiewały, a on wdychał łapczywie wilgotną woń żywicy, mchów i porostów, i leśnej próchnicy, z domieszką lekkiego zapachu świeżowiosennych liści i krzewów. I nagle wyszedł na górską łąkę, zalaną jasnością i ciepłym słońcem, i przymrużywszy oczy, ujrzał wiele znajomych traw i kwiatów — kostrzewę, kupkówkę, turzyce, storczyki, jaskry — i motyli rozsypa-

(DOKOŃCZENIE NA STR. 20—21)

Opowiadania Ernesta Hemingwaya

ŚNIEŻNY SZLAK

Wagonik kolejki zachybotał się po raz ostatni i stanął. Nie mógł jechać dalej: śnieg grubą warstwą przysypał tor. Wichura smagająca obnażone stoki góry zbiła śnieg w twardą skorupę. W wagoniku bagażowym Nick smarował narty; potem wsunął buty w żelazne uchwyty i zacisnął klamry wiązań. Bokiem wyskoczył z wagoniku, obrócił się i pochylony, ciągnąc za sobą kijki, pomknął w dół zbocza.

Na bieli poniżej zjawiał się, niknął i znów zjawiał się George. Pęd powietrza, raptowny spadek, szalony zjazd falistą stromizną góry zacierały wszystkie myśli. Po całym ciele rozchodziło się tylko cudowne uczucie pędu i żeglowania w powietrzu. Nick wyprostował się na krótkim przeciwstoku; po chwili śnieg znowu zaczął mu uciekać spod nart, chłopiec mknął w dół, coraz szybciej i szybciej ostatnim, długim i stromym odcinkiem zbocza. Zgięty tak bardzo, że prawie siedział na deskach, usiłując obniżyć jak najbardziej środek ciężkości, omiatany śniegiem, niby w piaskowej burzy, wiedział, że utrzymuje zbyt dużą szybkość. Ale utrzymywał ją. Nie chciał z niej zrezygnować i przewrócić się. Aż trafił na zawianą śniegiem muldę. Przekoziołkował kilka razy w plątaninie nart, czując się jak postrzelony królik. Wreszcie utknął w miejscu — nogi mu się poplątały, nos i uszy miał pełne śniegu, deski sterczały ku niebu.

Poniżej na zboczu stał George otrzepując energicznie śnieg z wiatrówki.

— Wspaniale leciałeś, Nick — zawołał. — Paskudny, miękki śnieg w tej muldzie. Mnie też przyłapało.

— A jak jest na spadzie? — spytał Nick. Leżąc na plecach odpiął i zrzucił narty, potem wstał.

— Trzymaj się lewej strony. Dobry, szybki zjazd. Na samym dole musisz zajechać chrystianią, bo dalej stoi płot.

— Poczekaj chwilkę, zjedziemy razem.

— Nie, ty jedź pierwszy. Chcę zobaczyć, jak ci pójdzie.

Nick Adams minął George'a, którego plecy i jasna czupryna były jeszcze ośnieżone, zjechał na samą krawędź spadu i szusem pomknął w dół. Gwizd powietrza mieszał się z krystalicznym pyłem śnieżnym. Nick zdawał się wznosić i opadać na wielkich śnieżnych garbach. W dole, szusując na płot, trzymał się lewej strony, kolana ścisnął mocno razem, obrócił się całym ciałem, jakby dokręcał śrubę; narty zarzuciły ostro w prawo, wzbijając tuman śniegu. Stracił szybkość równolegle do stoku wzgórza i drucianego płotu.

Spojrzał w górę, George zjeżdżał telemarkiem, w przyklęku. Jedną nogę wysunął i przygiął, drugą ciągnął za sobą. Kijki w dłoniach przypominały cieniutkie nóżki pająka — gdzie musnęły powierzchnię śniegu, tam kotłowały się małe obłoczki. Zbliżył się pięknym łukiem w prawo, w przyklęku, pochylony — jedna noga wyrzucona do przodu, druga w tyle, ciało opierało się prącej na zewnątrz sile, oba kijki niby linie świetlne akcentowały zakręt. Wszystko okrywał tuman śniegu.

— Bałem się chrystianii — powiedział George. — Śnieg za głęboki. Tyś zjechał wspaniale!

— Z moją nogą nie mogę telemarkiem — powiedział Nick.

Nick przydusił nartą drut ogrodzenia i George przeszedł górą. Nick ruszył za nim w stronę drogi. Z wysiłkiem, miarowo, energicznie posuwali się drogą wiodącą w las. Im dalej, tym powierzchnia była bardziej wyślizgana, ubarwiona na pomarańczowo i tabaczkowo od częstego wożenia tędy ściętych pni. Obaj chłopcy trzymali się pasma śniegu na skraju. Droga raz zanurzyła się ostro w dolinę, którą płynął strumień, potem już szła prosto pod górę. Na zboczu dojrzeli długi, zniszczony niepogodą budynek z nisko zwieszającym się okapem. Oglądany zza drzew miał on wyblakłą żółtą barwę. Z bliska widać było, że ramy okienne pomalowane są na zielono i że farba odpryskuje. Nick kijkiem odczepił wiązania i zrzucił narty.

— Stąd możemy już je nieść — powiedział.

Z nartami na ramionach zaczął wspinać się stromą ścieżką, mocno wbijając okute obcasy w zlodowaciałą ziemię. Tuż za sobą słyszał oddech George'a i odgłos jego obcasów na lodzie. Oparli narty o ścianę budynku gospody i wzajemnie otrzepali sobie spodnie ze śniegu; dokładnie odbili śnieg z butów i weszli.

Wnętrze było mroczne, w jednym rogu błyszczał wielki kaflowy piec, pułap zwisał nisko. Po obu stronach izby proste ławy, przed nimi poplamione winem ciemne stoły. Obok pieca siedziało dwóch Szwajcarów z fajkami. Nick i George zdjęli wiatrówki i usiedli pod ścianą z drugiej strony pieca. W sąsiedniej izbie zamilkł śpiew i w drzwiach ukazała się dziewczyna w niebieskim fartuchu. Spytała, czego się napiją.

— Butelkę valais — powiedział Nick. — Odpowiada ci, George?

— Dobrze. Ty się lepiej znasz na winie niż ja. Mogę pić każde.

Dziewczyna wyszła.

— Nie ma jak narty, prawda? — powiedział Nick. — Co za wspaniałe uczucie, kiedy się człowiek puszcza szusem w długi zjazd!

— Aha — zgodził się George. — Aż za wspaniałe, żeby o tym mówić.

Dziewczyna przyniosła wino; mieli kłopot z korkiem, wreszcie Nick otworzył butelkę. Dziewczyna wyszła. Słyszeli, jak śpiewa po niemiecku w sąsiedniej izbie.

— Nic nie szkodzi, że wpadło trochę korka — powiedział Nick.

— Może mają tu jakieś ciasto?

— Zapytajmy.

Kiedy weszła dziewczyna, Nick zauważył, że jej fartuch nieudolnie osłania ciążę. „Dziwne, że od razu tego nie spostrzegłem" — pomyślał.

— Co to była za melodia? — spytał.

— Opera. Niemiecka opera. — Nie zdradzała ochoty do prowadzenia rozmowy na ten temat. — Jest placek z jabłkami. Podać?

— Niezbyt serdeczna, co? — zauważył George.

— A niech tam! Nie zna nas i może myślała, że będziemy pokpiwali sobie z jej śpiewania. Pewno pochodzi z niemieckiej Szwajcarii i jest przeczulona na tym punkcie. Nie ma męża, a spodziewa się dziecka i też jest przeczulona na tym punkcie.

— Skąd wiesz, że nie ma męża?

— Nie nosi obrączki. A poza tym dziewczyny nie wychodzą tu za mąż, póki nie zajdą w ciążę.

Drzwi od dworu otworzyły się na oścież i weszła gromadka drwali. Tupali butami o podłogę, ich odzież parowała. Dziewczyna przyniosła im trzy litry młodego wina. Usiedli przy dwóch stołach, w milczeniu paląc fajki, zdjęli kapelusze i oparli się o ścianę lub stół. Na dworze od czasu do czasu słychać było ostry dźwięk dzwonków, gdy zaprzężone do sani konie szarpały głowami.

Nick i George czuli się szczęśliwi. Lubili się nawzajem. Wiedzieli, że czeka ich jeszcze wspólna droga do domu.

— Kiedy musisz wracać do szkoły? — spytał Nick.

— Dziś wieczorem — odparł George. — Chcę jechać dziesiąta czterdzieści z Montreux.

— Szkoda, że nie możesz zostać. Poszlibyśmy jutro na Dent du Lys.

— Muszę zdobywać wiedzę — powiedział George. — Nick, jakby to było dobrze, gdybyśmy tak mogli razem się powłóczyć! Wziąć narty na plecy, wsiąść do pociągu i dostać się na jakieś dobre tereny. Potem jazda! Sypiać po gospodach, przejść Oberland, całe Valais i Engandine, na wszelki wypadek wziąć do plecaków, co trzeba do reperacji nart, i zapasowe swetry, i piżamy, i nie potrzebować się martwić o żadną cholerną szkołę ani o nic.

— Aha, i potem na Szwarzwald. Ojej! Jaka wspaniała wycieczka!

— Byłeś tam w zeszłym roku na rybach, prawda?

— Aha.

Zjedli placek i wypili resztę wina. George oparł się o ścianę i zamknął oczy.

— Jak się napiję wina, to zawsze się tak czuję — powiedział.

— Źle?

— Nie, dobrze, ale dziwnie.

— Rozumiem.

— Właśnie.

— Zamówić jeszcze jedną butelkę? — spytał Nick.

— Dla mnie nie — odparł George.

Siedzieli — Nick z łokciami na stole, George bezwładnie oparty o ścianę.

— Helena spodziewa się dziecka? spytał George odrywając się od ścian i pochylając nad stołem.

— Aha.

WIGILIE WOJCIECHA CIOSKA

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 19)

nych w bród, a w górze na tle błękitu nieba orzeł krążył na rozpostartych skrzydłach, ptak, którego najwięcej kochał ze wszystkich ptaków. Kochał go, bo dostrzegał w nim bliską jemu, Cioskowi, doskonałość: dostojną godność i odwagę, i jakąś wcale nie drapieżną siłę, lecz upartą roztropność i dbałość...

O, tak! Zawsze zazdrościł orłom ich potęgi, ich podniebnego lotu i uważał, że człowiek został pod tym względem mocno pokrzywdzony. I teraz, przyglądając się tym wielkim, rozpiętym skrzydłom, podziwiał lekkość i sprawność ich lotu, i był wielce rad, że może to znów oglądać... Aż tu nagle, nie wiedzieć dlaczego, tamto wszystko zgasło, a on, Wojciech, usłyszał za plecami dziwny harmider. Obrócił się raptownie i ujrzał... podłaźników, tych przebierańców, co to od świętego Szczepana chodzili po wsi — i był tam Cygan, a i Cyganka z dzieckiem, był Żyd, był Turoń kłapiący paszczęką i dzwoniący dzwonkiem, był Niemy co nic nie gadając — „wyrządzał", i był Dziad. A ten Dziad zaczął nachalnie atakować Wojciecha. Pod nos mu, psiamać, krzyż nabity szpilkami podsuwał, i Ciosek cofał się i cofał, aż w końcu, rozsierdzony do żywego — krzyknął: „Pójdź że do diabła...!" — i ocknął się.

Wstał z miejsca, choć jeszcze nie wiedział, co czynić ma pośród nocy — gdzie się udać? co powiedzieć? komu i jak dziękować, czy też się komu kłaniać? Wdział pospiesznie kożuch na grzbiet, nałożył baranicę, a robił to bez udziału świadomości, z jakiegoś nierozszyfrowanego nakazu, którego nikt mu nie wydawał, ale który był w nim na pewno, bo przecież Wojciech naprawdę robił to wszystko — i dopiero, gdy otworzył drzwi, gdy dmuchnął weń mroźny podmuch nocy, ocknął się po raz drugi, teraz już na dobre.

Przez chwilę stał w miejscu przed progiem chałupy. Dumał. A potem, wiedząc już dobrze, dokąd ma iść, wrócił do izby, żeby zabrać zapałki.

Spadł śnieg. Trzymał mróz i cisza zalegała uroczysta, w której Wojciech słyszał skrzypienie własnego kroku. Szedł w stronę cmentarza. Miał wprawdzie swoje lata, ale chodził jeszcze dobrze, bez żadnej laski czy kija, jednak postradał już, prawda, ową pewność marszu, jaką posiadał kiedyś, nie tak jeszcze dawno. Musiał więc baczyć pod nogi, bo drogę, chociaż była przetarta, wciąż od nowa wiatr przyprószał zdradliwymi smużkami śniegu, pod którymi diabeł wie — twarda nawierzchnia czy dziura... „O, kiejsi! — pomyślał. — Kiejsi mogłem iść z zamkniętymi oczami całe kilometry po takiej drodze, com ją znał. A tero, psiajucha, boję się pewniej stąpnąć. Ano, straciłem już, widać, tę młodą i odporną zwinność. Tę, co nie zna lęku, że jak upadniesz, to musi ci się zło przytrafić. Chociaż, pamiętam, że i w młodości czasem ciężko było mi iść... O, tak! Pamiętam..."

Wojciech Ciosek przywołał tę wigilijną noc podczas hitlerowskiej okupacji, gdy, niosąc ciężko rannego, szli bocznymi drogami na pewien punkt kontaktowy, gdzie można było sprowadzić lekarza.

— O, Boże! — westchnął. — To była naprawdę mordęga, a przecie nosiła mnie wtenczas młodość.

Było to jakoś w środku wojny, pamiętał. Wracali z partyzanckiej akcji, którą zorganizowali na hitlerowski punkt oparcia, na ten cholerny Stützpunkt, właśnie w wigilię Bożego Narodzenia. I wciąż jeszcze trwało w nich t a m t o: widzieli, słyszeli i czuli to ostre starcie — grzechot broni maszynowej i klaskanie karabinów, jadowicie rozsiane ogniki u wylotów luf i kąśliwy bzyk pocisków, i huk granatów, rozrywający, pośród niego brzęk tłuczonego szkła i łomot tynku, i nagle bryzgi światła rakiet, a w sobie nieśli owo nieokiełzane, jedyne, zażarte i bezlitosne przyspieszenie, które nawiedza człowieka wówczas, gdy krąży wokoło śmierci.

— Kiedy?
— Pad koniec lata.
— Jesteś zadowolony?
— Tak. Teraz tak.
— Wrócisz do Stanów?
— Chyba tak.
— Chcesz wracać?
— Nie.
— A Helena chce?
— Nie.

George siedział w milczeniu. Patrzył na pustą butelkę i puste szklanki.

— To straszne, prawda? — spytał.

— Nie, nie tak straszne — odparł Nick.

— Dlaczego nie?

— Nie wiem — przyznał Nick.

— Czy pojedziecie kiedy na narty w Stanach? — zapytał George.

— Nie wiem.

— Tamtejsze tereny są nienadzwyczajne.

— Nie — zgodził się Nick. — Zbyt skaliste. Zbyt zalesione, za daleko do nich jechać.

— Aha. Tak jest w Kalifornii.

— Aha — potwierdził Nick. — Tak jest wszędzie, gdzie byłem.

— Aha — powiedział George. — Tak właśnie jest.

Siedzący pod piecem Szwajcarzy wstali, zapłacili i wyszli.

— Szkoda, że nie jesteśmy Szwajcarami — odezwał się George.

— Oni wszyscy chorują na tarczycę powiedział Nick.

— Nie wierzę.

— Ja też nie.

Roześmiali się.

— Może już nigdy nie pójdziemy razem na narty — powiedział George.

— Musimy — stwierdził Nick. — Samemu to żadna przyjemność.

— Więc musimy pójść razem.

— Aha, musimy — potwierdził Nick.

— Chciałbym, żebyśmy to sobie mogli na pewno obiecać — dodał George.

Nick wstał. Zapiął szczelnie wiatrówkę, pochylił się nad George'em i wziął dwa kijki oparte o ścianę. Jeden z nich wbił szpicem w podłogę.

— Nie ma sensu obiecywać sobie zbyt wiele — powiedział.

Otworzyli drzwi i wyszli na dwór. Było bardzo zimno. Śnieg pokrył się lodem. Droga biegła w górę, między sosny.

Zabrali narty oparte o ścianę gospody. Nick włożył rękawice. George już się oddalił parę kroków, niosąc na ramieniu narty. Teraz czekała ich wspólna droga do domu.

Przełożył

JAN ZAKRZEWSKI

OCZEKIWANIE

Leżeliśmy jeszcze w łóżku, gdy wszedł do sypialni, by zamknąć okna, i zaraz spostrzegłem, że jest chory. Drżał na całym ciele, był blady i ruszał się powoli, jak gdyby każdy ruch sprawiał mu ból.

— Co ci jest, skarbie?

— Głowa mnie boli.

— Wracaj lepiej do łóżka.

— Nie. Nic mi nie jest.

— Wracaj do łóżka. Ubiorę się i przyjdę do ciebie.

Ale gdy zszedłem na dół, był ubrany i siedział przed kominkiem. Wyglądał na bardzo nieszczęśliwego i chorego dziewięcioletniego chłopca. Gdy dotknąłem ręką jego czoła, zorientowałem się od razu, że ma temperaturę.

— Idź na górę i kładź się — powiedziałem. — Jesteś chory.

— Nic mi nie jest — odpowiedział.

Gdy przyszedł doktor, zmierzył temperaturę.

— Ile ma? — spytałem.

— Sto dwa.

Na dole lekarz zostawił recepty na trzy różne lekarstwa w różnokolorowych kapsułkach i dokładne instrukcje co do ich zażywania. Jedno było na obniżenie temperatury, drugie na przeczyszczenie, a trzecie na zneutralizowanie kwasoty. „Zarazki influenzy — tłumaczył mi — mogą występować wyłącznie w środowisku kwaśnym". Był specjalistą od influenzy i powiedział, że nie należy się przejmować, póki temperatura nie przekracza stu czterech stopni. „Jest epidemia lekkiej influenzy, można wykluczyć wszelkie niebezpieczeństwo, pod warunkiem oczywiście, że nie przyplącze się do tego zapalenie płuc".

Wróciłem do pokoju, zapisałem temperaturę chłopca i zanotowałem sobie, w jakich godzinach dawać jakie kapsułki

— Czy chcesz, żebym ci poczytał?

— Dobrze. Jeśli masz ochotę — powiedział chłopiec. Był bardzo blady i miał czarne kręgi pod oczyma. Leżał w łóżku bardzo spokojnie i był jakiś zupełnie oderwany od tego, co działo się dokoła.

Poczytałem mu na głos z Księgi piratów Howarda Pyle'a, ale zaraz spostrzegłem, że nie słucha.

— Jak się czujesz, skarbie? — spytałem.

— Jak dotąd bez zmian — powiedział.

Usiadłem na brzegu łóżka i czytałem dla siebie samego, by doczekać się pory podania jednego z lekarstw. Powinien był usnąć, ale gdy spojrzałem na niego, spostrzegłem, że wpatruje się w brzeg łóżka i że wygląda dziwnie.

— Wiesz co, spróbuj usnąć. Obudzę cię, jak będzie czas na lekarstwo.

— Wolę nie spać.

Po chwili powiedział:

— Wiesz co, tato, nie musisz tu siedzieć przy mnie, jeżeli cię to nudzi.

— Wcale mnie to nie nudzi.

— No tak, ale naprawdę nie musisz tu siedzieć, jeżeli ci się ma znudzić.

Pomyślałem sobie, że może jest trochę zamroczony gorączką, i gdy nadeszła godzina jedenasta, dałem mu przepisane lekarstwo i wyszedłem na chwilę.

Dzień był słoneczny i mroźny. Ziemia pokryta szronem, tak iż zdawało się, że wszystkie nagie gałęzie drzew, krzaki i poszycie, wszystka trawa, a nawet goła ziemia została zawerniksowana cienką warstwą lodu. Zabrałem młodego irlandzkiego setera na krótki spacer po szosie i wzdłuż zamarzniętej łachy, ale trudno było chodzić, a nawet stać na szklistej powierzchni. Rudy pies ślizgał się i potykał; a ja sam upadłem ciężko dwa razy i raz upuściłem dubeltówkę, która pojechała daleko po błyszczącym lodzie.

Spłoszyliśmy stado kuropatw spod wysokiego gliniastego nasypu. Zestrzeliłem dwie, a reszta zniknęła mi z oczu ponad szczytem nasypu. Niektóre osiadły na drzewach, jednak większość rozpierzchła się w gęstym poszyciu i trzeba było skakać po zamarzniętych krzakach, aby je wypłoszyć z ukrycia. Wyfruwały, kiedy ślizgałem się niepewnie na szklistych, sprężystych gałązkach, toteż trudno było strzelać celnie. Zabiłem dwie, chybiłem pięć i ruszyłem do domu zadowolony, że znalazłem stadko tak blisko i że zostało ich jeszcze tyle na inny dzień.

W domu powiedziano mi, że chłopiec nikogo nie chce wpuszczać do siebie.

— Nie wchodźcie — powiedział. — Jeszcze się ode mnie zarazicie.

Poszedłem na górę i zastałem go dokładnie w tej samej pozycji, w jakiej go opuściłem. Był wciąż kredowoblady, ale teraz dwie czerwone plamy malowały się gorączką wysoko na policzkach. Wpatrywał się wciąż w brzeg łóżka.

Zmierzyłem mu temperaturę..

— Ile mam?

— Około stu stopni — odpowiedziałem.

W rzeczywistości miał sto dwa i cztery dziesiąte.

— Miałem sto dwa — powiedział.

— Kto to powiedział?

— Doktor.

— Temperatura jest w porządku — powiedziałem. — Nie ma się czym przejmować.

— Nie przejmuję się — odpowiedział. — Ale trudno mi nie myśleć o tym.

— Nie myśl o niczym — poprosiłem. — Odpoczywaj sobie.

— Odpoczywam — powiedział i patrzał prosto przed siebie. Najwidoczniej dręczyło go coś, i to bardzo.

— Weź to i popij wodą.

— Czy myślisz, że to pomoże?

— Pewnie, że pomoże.

Siadłem, wziąłem do ręki książkę o piratach i zacząłem czytać, ale od razu spostrzegłem, że nie słucha, i dałem spokój.

— Jak myślisz, o której umrę? — spytał.

— Co?

— Jak długo potrwa, zanim umrę?

— Nie umrzesz. Ale co się z tobą dzieje?

— O tak, umrę. Słyszałem, jak powiedział sto dwa.

— Nikt jeszcze nie umarł od stu dwóch stopni temperatury. Nie gadaj takich głupstw.

— Ale ja wiem, że tak. We Francji, w szkole, chłopcy powiedzieli mi, że człowiek nie może żyć z temperaturą wyższą niż czterdzieści cztery stopnie. A ja mam sto dwa.

Cały dzień czekał na śmierć, cały dzień od dziewiątej rano.

— Biedny skarbie! — powiedziałem. — Kochany, biedny skarbie! To tak samo jak mile i kilometry. To jest inny termometr. Na tamtym termometrze normalna temperatura wynosi trzydzieści siedem stopni, a na tym dziewięćdziesiąt osiem.

— Widzisz — tłumaczyłem — to jak mile i kilometry. To tak, jak obliczamy sobie w samochodzie, ile kilometrów zrobiliśmy, kiedy przejechaliśmy siedemdziesiąt mil.

— O! — powiedział.

Wzrok jego, wbity w brzeg łóżka, powoli tajał. Miękła cała jego postawa. A nazajutrz był już zupełnie odprężony i z łatwością płakał z powodu drobnych, nic nie znaczących spraw.

Przełożyła

MIRA MICHAŁOWSKA

Tego dnia padał mokry śnieg. Mieli więc pluchę, pamiętał, siąpiącą na nich ciężkimi płatkami z góry, i mieli ją też pod nogami, tę śliską i roztaplaną bryję, i dźwigali na prowizorycznie z gałęzi skleconych noszach rannego kolegę, Jasia Sołtysika spod Grybowa...

— O, Boże! — westchnął Wojciech znowu. — Co to była za fatalna noc i fatalna droga!

Musieli iść nieprzetartym szlakiem w falistym, terenie, raz pod górę, to znowu w dół, i znowu pod górę, ślizgając się i potykając, a nogi, mdlejące od wysiłku, stawały się coraz bardziej nieposłuszne. Rozsądek nakazywał odpocząć, a konieczność zmuszała, by iść, wciąż iść i przyspieszać, choć już nie było jak przyspieszać. Jasio jęczał na noszach, potem zaczął skowyczeć, nawet chwilami wył z bólu. Miał przecież przestrzelone obie nogi, uszkodzoną kość, to i musiało go straszliwie boleć, fakt, ale im trzeba było maszerować cicho, skrycie, to też fakt, więc musieli mu brutalnie zatykać usta, a on wtedy: „zastrzelcie mnie! — prosił — dobijcie mnie! — prosił. — Jezus Maria, nie wytrzymom!"

„Strasznie się męczył — pomyślał Wojciech. — Ale w nas nie było wówczas ani miejsca, ani czasu na litość. Na dobrą sprawę, to każdy z nas mógł wyć z jakiegoś powodu!"

Wreszcie dotarli na miejsce. Załomotali do drzwi. Raz i drugi. A kiedy je otworzono, wnieśli ostrożnie rannego do izby. Gospodarze nie byli zaskoczeni. Dobrze wiedzieli, co należy w takich okolicznościach czynić — już przecie nie raz przyszło im jeździć nocą po doktora. Bez paniki więc, ale szybko, gospodarz zaprzągł kobyłkę — i jazda! A oni, no cóż, im się diabelnie spieszyło. Przed nimi było już tylko kilka godzin wigilijnej nocy i wiele uciążliwych kilometrów powrotnej drogi. Nie mieli czasu, żeby się rozsiąść przy wigilijnym stole do kolacji, którą częstowała gospodyni. Ale nie omieszkali połamać się opłatkiem i złożyć sobie życzenia rychłego doczekania wolnej Polski — „żeby tego sukinsyna, Hitlera, szlag wreszcie trafił!" — powtarzali. A potem, napiwszy się pospiesznie, na stojąco, gorącego mleka, i przekąsiwszy po kawałku ciasta, opuścili gościnny dom.

Wracali do swoich, którzy stacjonowali w górach. Szli nie myśląc już teraz zbytnio o czymkolwiek, coraz wyżej i coraz bardziej spoceni, wyżęci z sił, pamiętał, zgnojeni i parujący w tej skisłej plusze — i szli już tylko dlatego, bo podtrzymywała ich owa wielka nadzieja, że walka, którą prowadzą, jest pożyteczna i konieczna, i że skończy się ich zwycięstwem.

*

Świetlista bryła księżyca wychodziła, to kryła się za cienką, spękaną warstwą chmur. Wojciech kroczył raźnie, a z jego ust ulatywały równomiernie kłębki pary. Aż w pewnej chwili, z daleka, usłyszał gromadny śpiew. Cichutki i odległy, wznoszący się i zamierający, ale w miarę jak Ciosek zbliżał się do kościoła, melodia jak gdyby pęczniała i wyraźniała, i nabierała potęgi, a za chwilę mógł już dobrze rozpoznać, że jest to znana mu kolęda: „Gdy się Chrystus rodzi..." — i Wojciech uczuł nagłą ochotę czy krzepkość w sobie.

Nie poszedł jednak w stronę świątyni, lecz, skręciwszy w prawo, wstąpił w szeroko rozwartą bramę cmentarza. Nie miał trudności z odnalezieniem grobu Haneczki, choć prawda! — po raz pierwszy znalazł się tu nocą. Z kieszeni kożucha wyjął zapałki, zapalił trzy maluśkie świeczki na maluśkiej choince, co stała na kamiennej płycie, i rozejrzawszy się wokoło, poczuł się nagle zagubiony i samotny pośród krzyży i mogił, i chcąc dodać życia owej cmentarnej ciszy — rzekł na głos:

— Zachodziłaś do mnie rokrocznie, Haneczko, no to pomyślałem, że i mnie za życia trza zajść kiejsi wigilijną nocą do ciebie, bo...

Chciał jeszcze powiedzieć, że pewno za niedługo przyjdzie i jemu tu obok niej się położyć, ale urwał w pół zdania, gdyż dobiegła go z kościoła kolęda: „Lulaj że Jezuniu..." — którą śpiewając, Haneczka straciła życie.

Zasępił się tedy stary Wojciech Ciosek wielce — i wpatrując się w chybotliwe płomienie świec, niby nie rozważając specjalnie nad niczym, jak mu się zdawało, wiedział, że myśli jego chodzą blisko wielkiej prawdy, wszystko, co się rodzi, nosi znamiona śmierci, a miarą sensu życia, miarą jego pożyteczności, jest szlachetna walka o to, żeby było ono coraz lepsze!

Powiedział:

— Myślę, żem s w e g o życia nie zmarnował.

STANISŁAW GLINKA

JERZY LEŚNIAK

Rozmowa z BUNCOLEM

Dwudziestotrzyletni Andrzej Buncol, to piłkarz, którego awans do reprezentacji Polski przyjmowano wiosną 1981 roku z umiarkowanym entuzjazmem. Polaków czekał mecz z drużyną NRD znaną z piłki nożnej bardzo męskiej, żeby nie powiedzieć brutalnej. Andrzej jest chłopakiem raczej drobnym, mierzy sobie 172 cm wzrostu. W 55 minucie na chorzowskim stutysięczniku wybuchła eksplozja radości — Andrzej strzelił jedyną — jak się później okazało — bramkę Graphentinowi głową. Kibice szaleli. Z animuszem poderwali w górę flagi, po czym wszyscy zaczęli wypatrywać na boisku swego bohatera. Andrzej tonął jeszcze w uściskach kolegów. Na zielonej murawie pojawiła się czerwona, uradowana wysepka.

Lubią go wszyscy. I trenerzy, i zawodnicy. Jego spokój i młodzieńcza fantazja sprawiają, że przeciwko Maradonie grał tak samo swobodnie, jak w kolejnym meczu ligowym. Na stadionie River Plate strzelił przed rokiem Fillolowi i Argentynie zwycięską bramkę. Po turnieju w Hiszpanii Andrzej ma tysiące zagorzałych wielbicieli. Ludzie po prostu szanują i cenią sportowców, którzy nie uznają pojęcia „sytuacja stracona" i prędzej padną niż zgodzą się na porażkę. — To jeden z najciekawszych piłkarzy w naszym kraju. Potrafi przez cały mecz grać w równym tempie, nie ma załamań formy. Jego atutem są też silne, zaskakujące strzały — takie referencje wystawił swojemu podopiecznemu Antoni Piechniczek.

Fot. REMIGIUSZ HETMAN

— Przyznam się, że rzadko udzielam prasie wywiadów. Może dlatego, że jestem człowiekiem raczej małomównym i wolę przemawiać swoją grą na boisku. Ponadto sądzę, że jestem jeszcze zbyt młody, aby chwalić się swoimi osiągnięciami. No, ale przedstawicielowi pisma z tak pięknego regionu nie mogę odmówić.

— Dziękuję. Skąd tak przesadna skromność? Wszystko wskazuje na to, że stałeś się etatowym reprezentantem Polski.

— Pożyjemy, zobaczymy. Podobnie myślałem już po udanym dla mnie występie przeciwko NRD w Chorzowie. Niestety, w rewanżu trener uznał, że w drugiej linii nie ma dla mnie miejsca. Dopiero po Mundialu sam potrafię ocenić swoją wartość, choć wiem, jak wiele jeszcze mam braków. Popełniam przede wszystkim błędy taktyczne, w momencie ataku przeciwnika — zamiast asekurować partnera z pewnego dystansu, zbyt wcześnie jako drugi zawodnik atakuję rywala. Jestem słabszy w destrukcji, niż w organizowaniu ataków.

— Myślę, że powinieneś wykazywać nieco więcej radości. Drużyna, w której grałeś pierwsze skrzypce odniosła ogromny sukces — zajęła trzecie miejsce w mistrzostwach świata.

— Cieszę się. To jasne. Wywalczyliśmy tak wiele i w tym sukcesie jest również mój wkład. Na pewno ten turniej będę pamiętał przez całe życie. Przecież niezależnie od tego, co dalej się stanie, jest to mój największy sukces sportowy.

— Debiutowałeś w drużynie narodowej niespełna dwa lata temu.

— Tak, w marcu 1981 roku, w przegranym meczu z Rumunią w Bukareszcie 0:2. Wiele osób twierdziło, że tylko osobistej sympatii trenera Piechniczka zawdzięczam swój awans do kadry , uważano mój debiut za przedwczesny. Nie miałem zresztą szczęścia do debiutów. Moje pierwsze 45 minut gry w młodzieżówce zakończyło się porażką drużyny 1:4 z NRD w Halle. Zebrałem jednak dobre recenzje. Dla malkontentów nie byłem jednak przekonywający. Aż przyszła sobota, 2 maja 1981 roku. Trener wystawił mnie do „jedenastki". Pierwszy odgłos tej decyzji był dość ostry. Mówiono: — *Co on wyprawia! Takiego mikrusa wystawia na mecz z twardo, atletycznie grającymi piłkarzami NRD, to przecież strata jednego miejsca w drużynie. Z NRD powinni grać zawodnicy słusznego wzrostu, odważni...* Odważny okazał się Piechniczek, a ja go nie zawiodłem. Smolarek wykonywał rzut rożny, Grzegorz Lato sprytnie przedłużył lot piłki, doskoczyłem, to fakt, że byłem dobrze ustawiony i z trzech metrów skierowałem ją głową do siatki. Pochlebcy mówią mi, że ta bramka miała decydujące znaczenie w walce o finały Espana '82.

— Zaczynałeś swoją karierę w II-ligowym „Piaście" Gliwice.

— Tak w Gliwicach się urodziłem i tam nadal mieszkam. Miałem 13 lat, gdy Lubański i Deyna strzelali bramki na turnieju olimpijskim w Monachium. Złoty medal rozbudził moje marzenia, chciałem iść w ślady starszych kolegów. Przeszedłem wszystkie szczeble kariery, od trampkarzy, poprzez kadrę juniorów, młodzieżówkę, aż wreszcie zagrałem w I reprezentacji. Z wcześniejszych osiągnięć cenię sobie brązowy medal w turnieju UEFA w 1978 roku. W „Piaście" trenował mnie Jerzy Klejnot, potem przeniosłem się do „Ruchu" Chorzów, gdzie byłem już pomocnikiem, wspomagającym atak i obronę.

— Czy byłeś pewny, że pojedziesz do Hiszpanii?

— Wykluczając nieszczęśliwy przypadek, byłem pewny, że zagram w Mundialu. Czy jednak wyjdę na boisko w „jedenastce", tego nie wiedziałem. Przede wszystkim nie wiedziałem dokładnie, na co mnie stać. Przez osiem miesięcy nie rozegraliśmy żadnego międzypaństwowego spotkania. Doszło do tego zdenerwowanie z powodu rychłego porodu mojej żony — sądziliśmy, że dziecko urodzi się w czasie mojego pobytu na Półwyspie Iberyjskim. Tymczasem maleństwo pośpieszyło się, dzień przed wyjazdem Ilona urodziła śliczną córeczkę — Darię.

— Jak przeżywałeś pierwsze dwa mecze, z Włochami i Kamerunem?

Och, nawet nie pytaj. Atmosfera stawała się coraz bardziej nerwowa. Po tych słabych występach dochodziły wiadomości, że kibice w kraju nie zostawiają na nas suchej nitki. Przed decydującym meczem z Peru wiedziałem jedno — musimy wygrać. I znów to samo — atakujemy, Smolarek i Boniek mają dobre pozycje strzeleckie, a na tablicy wciąż wynik 0:0. Wreszcie jest gol. Sędzia orzeka jednak, że Smolarek był na spalonym. Przerwa — humory w szatni dosyć podłe. Nawet nie wiesz, co to za świadomość, że za 45 minut możemy pakować walizki i odlatywać do kraju. Trener powiedział, że pech musi się wreszcie skończyć. I miał rację. Worek z bramkami się rozwiązał, zdobyłem trzecią bramkę. W klasyfikacji pisma „AS" dostałem najwyższą ocenę — trzy listki.

— Zdobyliście w Hiszpanii srebrny medal. Czy to jest „tylko" srebro, czy też „aż" srebro?

— Do dziś się nad tym zastanawiam. Przed mistrzostwami nikt się tego nie spodziewał po naszej drużynie. Jednakże przed decydującym meczem z Włochami liczyłem, że zagramy w finale. Gdyby miejsce odsuniętego za dwie żółte kartki zajął Andrzej Szarmach... Gdyby nie przeklęta klimatyzacja w hotelu „Gispert"... Nie mogłem — podobnie jak inni koledzy — spać. Już przed spotkaniem czułem, że jest coś niedobrze. W szatni przed wyjściem na boisko było jakoś sennie. Zupełnie inaczej, niż przed poprzednimi spotkaniami. Czuliśmy się zmęczeni.

— Co dał Ci Mundial?

— Myślę, że dopiero tam poczułem, że dorosłem do wielkiego futbolu. Do tej pory, owszem, chwalono mnie, ale tak na dobrą sprawę nie miałem stuprocentowego miejsca w drugiej linii. W Hiszpanii byłem raczej widoczny w każdym spotkaniu. Z każdym meczem nabierałem pewności siebie. Miałem kontakt z różnymi stylami gry, i choć jestem raczej spokojny, małomówny — poznałem wielu zawodników. Zrozumiałem, że w futbolu liczy się przede wszystkim taktyka. Brazylia przegrała, bo nie myślała o obronie własnej bramki. Szkoda — cudowny, efektowny, pełen technicznych sztuczek atak pozycyjny, musiał uznać wyższość lepszych taktycznie Włochów. Nie chciałbym jednak, żeby w piłce zaczęła dominować siła, a żelazna taktyka brała górę nad improwizacją.

— Zwiedziłeś wiele krajów na kilku kontynentach.

— Nie są to podróże turystyczne. Na mecze lecimy samolotami, dnie wypełnione są treningami, odnową. Na zwiedzanie pozostaje niewiele czasu. Jedynie w Hiszpanii oglądnęliśmy dokładnie centra wielkich miast, byliśmy również w klasztorze Montserrat.

— Co trzeba robić, aby wygrać mecz? Jaka jest Twoja recepta na zwycięstwo?

— Najważniejsze w meczu z silnym przeciwnikiem to dobre przygotowanie do spotkania. Psychiczne. Trzeba nastawić się na twardą walkę od pierwszej do ostatniej minuty. I grać mądrze. Nie zapalać się, nie grać nachalnie do przodu, ale wykorzystać silną broń — kontratak. Na siłę trzeba odpowiadać siłą, na spryt — sprytem, na waleczność — walecznością. Trzeba kochać walkę i zabiegać przeciwnika na śmierć. Ponadto — dobry piłkarz musi być chytrym lisem. Nie może być tylko dobrym technikiem, potrzeba tu jeszcze silnego charakteru i wiary we własne siły. Tego mi chyba nie brakuje i być może uda mi się rozegrać w reprezentacji ponad sto meczy, tak jak Deyna i Lato.

— Kilka zdań o sobie...

— No, cóż, urodziłem się 21 sierpnia 1959 roku, koledzy na boisku nazywają mnie z racji zawodu ojca — Krupniokiem. Ulubiona potrawa — szaszłyk z polędwicy, w wolnych chwilach słucham muzyki, numer buta — 5,5...

— Plany i marzenia.

— Chciałbym wyeliminować kilka swoich piłkarskich wad. Wzbogacić doświadczenie, okrzepnąć. Aktualnie kończę pierwszy rok służby wojskowej, gram w „Legii'. Nie wiem, czy po wojsku zostanę w Warszawie, czy pójdę do innego klubu. O grze w zagranicznej drużynie w ogóle nie myślę. W sierpniu kończę dopiero dwadzieścia cztery lata. Na mistrzostwach świata w 1990 roku będę miał tyle lat, co Grzegorz Lato w Hiszpanii. A jak on grał...

— Dziękuję za rozmowę i świąteczne życzenia dla Czytelników „Dunajca".

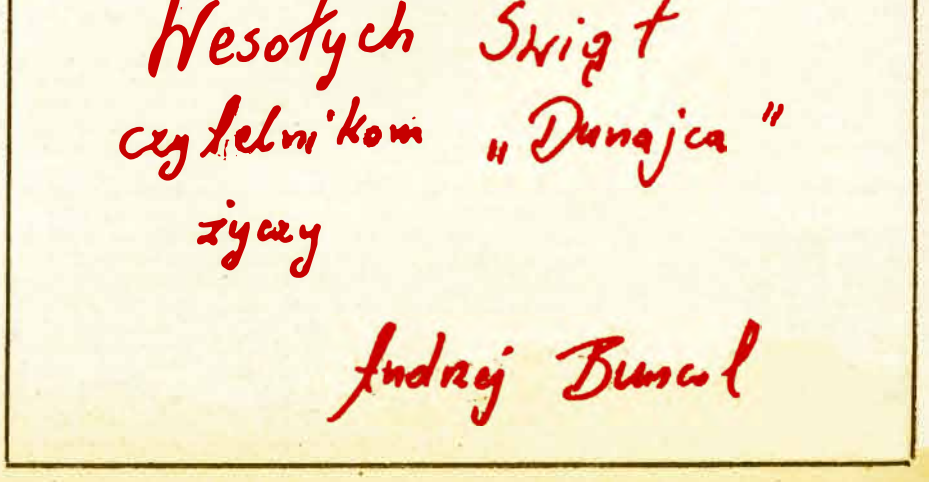

na ekranie TV

24. XII. 1982 r. — 2. I. 1983 r.

PIĄTEK

PROGRAM I

9.00 Dla dzieci: Teleferie. 10.00 „Niespotykanie spokojny człowiek" — komedia prod. polskiej. 15.55 Program dnia. 16.00 Dla przedszkolaków: Piątek z Pankracym. 17.00 Dziennik. 17.20 Moje miejsce na ziemi. 17.45 Orawska zima — polski film dok. 18.10 Robert Schumann: Karnawał — gra Artur Rubinstein. 18.40 Kolędy góralskie. 19.00 Wieczorynka. 19.30 Dziennik. 20.00 Kolędy i pastorałki. 20.35 Jestem, czyli w wigilijny wieczór. 21.15 „Szpital na peryferiach" (nowa seria). 22.00 „Student żebrak" — film muzyczny prod. polsko-zachodnioniemieckiej. 23.40 Biegnie światem nowina — pastorałki.

PROGRAM II

17.00 Wigilijne scherzo. 19.30 Dziennik. 20.00 Program wigilijny. 20.40 Leksykon gatunków filmowych — musical. 21.45 „Święta, święta i ...". 22.15 W starym kinie: „U schyłku dnia" — franc. film fab. 23.55 Film na dobranoc: „Zima".

SOBOTA

PROGRAM I

9.00 Dla dzieci: „Kot" — film przygodowy prod. USA. 10.20 Sport i turystyka. 10.50 Estrada folkloru. 11.25 Galerie świata: Ermitaż (11). 12.00 Telewizyjny koncert życzeń. 12.50 Teatr dla dzieci: Szopka krakowska. 13.45 W starym kinie: „Cyrk" — radziecka komedia muz. 15.10 Klub 6 kontynentów. 16.00 Przyjechałam powtórzyć jesień — recital Sławy Przybylskiej. 16.45 Myśl polityczna Renesansu w Polsce. 17.15 „Ojciec królowej" — polska komed. muz. 19.00 Wieczorynka. 19.30 Dziennik. 20.00 „Siedem rewolwerów braci MC Gregors" — western prod. włosko-hiszp. 21.40 „... bo ten demon charleston" — pr. rozrywk. 22.05 Teatr sensacji — Aldoux Huxley: „Uśmiech Giocondy".

PROGRAM II
STUDIO 2

10.10 Gwiazda betlejemska. 10.30 Szopkarz — reportaż. 10.50 Sportowa gwiazda roku — Antoni Piechniczek. 11.25 Kolędnicy idom — kolędują dzieci z Nowego Bystrego. 11.50 Sergiusz Prokofiew: „Piotruś i wilk" — balet dla dzieci. 12.25 Gwiazdy, planety, komety. 12.50 Cudowne dzieci — program L. Bukowieckiego. 13.20 Świąteczny gość Studia — 2. 13.35 Hej kolęda w każdej chacie. 14.10 Jean Luc Ragnotti — film dok. 14.30 Gwiazda estrady: Chris Doerk. 15.00 Panie na Wilanowie — reportaż. 15.35 „Król w Nowym Jorku" — film fab. prod. USA. 17.15 Świąteczny gość studia — 2. 17.25 Przetańczyć całą noc. — pr. muz. 18.10 Gwiazda o gwieździe — Jan Tomaszewski o Pelem. 18.30 Aniołowie się radują. 19.00 Świąteczny gość Studia — 2. 19.10 Piosenki z państwa listów. 19.30 Dziennik. 20.10 Pół żartem, pół serio. 20.50 Tajemnice hotelu „Polonia" i okolic — reportaż. 21.20 Gwiazdy, idole, meteoryty — pr. rozr. 21.50 Świąteczny gość Studia — 2. 22.00 Picnic Country — pr. rozr. 23.10 Filmoteka narodowa: „Ewa chce spać" — komedia polska.

NIEDZIELA

PROGRAM I

9.00 Dla dzieci: „Posyłam cię sam nie wiem dokąd" — radziecka baśń filmowa. 9.55 Espana '82. 11.30 „Hollywood": „Swanson i Valentino" — ang. serial dok. 12.25 Centralny Zespół Artystyczny Wojska Polskiego. 13.25 Sportowe dramaty roku. 13.50 Teatr dla dzieci — „Największy krasnal świata". 14.45 Losowanie dużego Lotka. 15.00 Dziennik i magazyn „Świat". 15.45 Piękno i wdzięk — gimnastyka art. i jazda figurowa na lodzie. 16.10 „Dziś bawi nas" — komediowe role Janusza Kłosińskiego. 16.45 Waldemar Marszałek. 17.25 „Alicja" — komedia muz. prod. Polska — Belgia — W. Brytania. 19.00 Wieczorynka. 19.30 Dziennik. 20.00 „Telethon" — ang. film sens. 21.40 Seweryn Krajewski — progr. muz. 22.15 Sportowa niedziela.

PROGRAM II

11.10 Teatr Telewizji — Walentin Rasputin: „Żyj i pamiętaj" (powt.). 12.30 „Szpital na peryferiach" (wersja dla niesłyszących). 13.30 Militaria, obronność, nowoczesność. 14.00 „Spotkania" (zwyczaje i obyczaje świąteczne).

STUDIO — 2

14.35 Zaczarowany świat operetki. 14.50 Dziecięce kolędowanie. 15.20 Gość Studia — 2 — Beata Artemska. 15.35 „Między nami jaskiniowcami" — film animow. prod. USA. 16.00 Zaczarowany świat operetki. 16.15 1500 sekund wielkiego sportu. 16.40 Gość Studia — 2. 17.15 Zaczarowany świat operetki. 17.35 Komu bije dzwon czyli wawelskie opowieści L. Mazana. 17.55 Gość Studia — 2 — Iwona Borowiecka. 18.10 Kolędy i pastorałki — gra Kapela Czerniakowska. 18.40 Świąteczny gość Studia — 2. 19.05 Zaczarowany świat operetki. 19.30 Dziennik. 20.00 Boże Narodzenie wśród swoich. 20.15 Zaczarowany świat operetki. 21.25 Gość Studia — 2 — Wanda Polańska. 21.35 „Manewry miłosne" — polska komedia filmowa.

PONIEDZIAŁEK

PROGRAM I

9.00 Dla młodych widzów: „Teleferie TDC" w programie m. in. film czechosłowacki „Walizka pełna złota". 16.00 Dla młodych widzów: „Zwierzyniec i nie tylko". 17.00 Dziennik. 17.20 „Kamerton" (2) — film fab. prod. ZSRR. 18.25 „Echa stadionów". 18.50 Dobranoc. 19.00 „Diagnoza". 19.30 Dziennik. 20.15 Teatr telewizji na świecie — Herol Pinter: „Ziemia niczyja". 21.50 Punkt krytyczny — bilans 82. 22.20 Dziennik. 22.40 Rok Szymanowskiego — pieśni do muzyki K. Szymanowskiego.

PROGRAM II

17.30 Program lokalny. 18.00 „Spotkanie z historią". 18.25 Spotkanie z Operetką Śląską. 19.00 Kronika. 19.30 Dziennik. 20.00 „Bliżej sąsiadów". 21.45 „Przygoda filatelistyczna" — czechosłow. komedia obyczajowa.

WTOREK

PROGRAM I

9.00 Dla dzieci: „Teleferie TN" — w programie m. in. film radz. „Kwiatek siedmiopłatek". 10.00 Film dla drugiej zmiany: „Bezimienny zamek" — węgierski serial hist. 15.45 Kwadrans z Artelem. 16.00 Dla młodych widzów: „Latający Holender". 16.30 Dla dzieci: „Skakanka". 17.00 Dziennik. 17.20 „Dwójka" prezentuje. 17.45 „Interstudio". 18.15 „Rysować? rysować!" — reportaż filmowy. 18.40 Rolnicze rozmowy. 18.50 Dobranoc. 19.00 „Czas przeszły dokonany" — twarze historii. 19.30 Dziennik. 20.15 „Bezimienny zamek" (1) węgierski serial hist. 21.25 „Liczą się fakty". 22.05 Dziennik. 22.25 „Portrety" — Stanisław Brzozowski.

PROGRAM II

17.20 „Mówić nie mówić" — dokumenty. 18.05 „Swego nie znacie" — inscenizowany program muz. 19.00 Kronika. 19.30 Dziennik. 20.00 Telewizja Kraków na antenie „Dwójki". 22.10 „Szpital na peryferiach" (14) serial tv CSRS (powt.). 23.10 Kwadrans z Artelem.

ŚRODA

PROGRAM I

9.00 Dla młodych widzów: „Teleferie TDC" — w programie m. in. film czechosłowacki „Klatka pełna ptaków". 10.30 Dla drugiej zmiany. 16.00 „Krąg" — magazyn harcerzy. 16.30 Dla dzieci: „Pozytywka". 17.00 Dziennik. 17.20 „Od melodii do melodii". 17.40 Losowanie Express Lotka i Małego Lotka. 17.55 „Syty głodnego nie zrozumie" — film dok. 18.40 Rolnicze rozmowy. 18.50 Dobranoc. 19.00 Wymiary świata — „Planeta Ziemia". 19.30 Dziennik. 20.15 „24 tysiące dni" — widow. public. z okazji 60-lecia ZSRR. 21.50 „Jabłko" — czechosłowacka nowela filmowa. 22.20 Dziennik. 22.40 Kino debiutów: „Natalia" — film J. Kulczyckiego.

PROGRAM II

17.30 „Prawo do szczęścia" — radziecki film fab. 19.00 Kronika. 19.30 Dziennik. 20.00 Telewizja Gdańsk na antenie „Dwójki". 22.00 „Reforma po starcie" (powt.).

CZWARTEK

PROGRAM I

9.00 Dla dzieci: „Teleferie TM" w programie m. in. film pt. „Dobosz". 10.00 Dla drugiej zmiany. 15.45 Kwadrans z Artelem. 16.00 Dla młodych widzów: „Czwartek TDC" oraz film produkcji NRD „Dżokej Monika" (2). 17.00 Dziennik. 17.20 „Telekino". 17.45 Telewizyjny inf. wydaw. 18.05 „Wojsko, wojsko" — reportaż. 18.30 Przemówienie ambasadora Republiki Kuby. 18.40 Rolnicze rozmowy. 18.50 Dobranoc. 19.00 „Sonda". 19.30 Dziennik. 20.15 „Hazardziści" — film kryminalny prod. polskiej. 22.00 „Pegaz". 22.45 Dziennik.

PROGRAM II

17.15 Program dnia. 17.20 Kino „Dwójki": „Litości dla żywych" — bułgarski film obyczajowy. 19.00 Kronika. 19.30 Dziennik. 20.00 „Zawsze teatr" (5) — czas Szekspira. 21.05 Kombi — królowie życia" — program rozrywkowy. 21.45 „Czarno na białym" — publicystyka sportowa. 22.15 Film o zespole „Śląsk". 23.00 Kwadrans z Artelem.

PIĄTEK

PROGRAM I

9.00 Dla młodych widzów: „Teleferie TDC". 10.30 „Nawet wam się nie śniło" — film obyczajowy prod. ZSRR. 15.50 Dziennik. 16.00 Dla dzieci i młodych widzów — „Pantofelki zdarte w tańcu" — baśń filmowa prod. NRD; „Czarne charaktery" — amerykański film z serii „Diesneyland". 18.30 Sylwestrowe zakłady Toto-Lotka. 19.00 Wieczorynka. 19.30 Dziennik. 20.00 Przemówienie noworoczne. 20.15 Muzyka polska. 20.30 „Hallo, Szpicbródka" — komedia muz. prod. polskiej. 22.05 Koncert sylwestrowy. 22.35 Telewizyjna lista przebojów. 23.05 Sylwestrowy przekładaniec. 0.00 Życzenia noworoczne. 0.05 Sylwestrowy program orkiestry PRiTV J. Miliana. 0.30 „Retro VOX" — program rozrywkowy. 1.00 „Dziewczyna inna niż wszystkie" — angielska komedia filmowa. 2.35 Pagart przedstawia — Henry Gorman Band.

PROGRAM II

16.35 „Wypij do dna" — radziecka komedia obyczajowa. 18.00 Narty w Zakopanem. 19.30 Dziennik. 20.00 Przemówienie noworoczne. 20.15 Muzyka polska. 20.30 Tańcz ze Studiem — 2. 22.05 „Kadet Rousselle" — francuski film kostiumowy. 0.00 Życzenia noworoczne. 0.05 „Sylwester wolnego mężczyzny" — czechosłowacka komedia filmowa. 1.35 Horoskop na rok 1983 — program z przymrużeniem oka. 2.00 Tańcz ze Studiem — 2.

SOBOTA

PROGRAM I

9.00 Dla dzieci: „Scooby w mieście Snow" — amerykański film przygodowy. 9.50 Wielkopolska pastorałka. 10.20 W starym kinie: „Czy Lucyna to dziewczyna" — polska komedia filmowa. 11.45 Koncert noworoczny. 12.30 Powtórzenie przemówienia noworocznego. 12.50 „Kapelusz pełen marzeń" — widowisko muz. 13.35 Teatr dla dzieci: Jan Brzechwa — „Pan Tydzień". 14.20 „Z muzycznego salonu babuni" — śpiewa Cathy Berberian. 14.45 „Karnawał" (1) — radziecki film fabularny. 16.00 Studio sport: konkurs czterech skoczni — Garmitsh-Partenkirchen. 16.45 Teatr Telewizji — Aleksander Fredro: „Pan Jowialski". 18.25 Leksykon polskiej muzyki rozrywkowej — Mieczysław Fogg. 19.00 Wieczorynka. 19.30 Dziennik. 20.00 Wiadomości sportowe. 20.10 „Rewia chromatyczna" — włoski pr. rozrywk. 21.10 „Z zaciśniętymi zębami" — western produkcji USA. 23.15 „Gwiazdy kabaretu".

PROGRAM II

12.25 „Jak przychodzi zbawienie?" — najnowsza historia polskiej piłki nożnej.

STUDIO — 2.

14.00 Studio — 2 wita w Nowym Roku. 14.20 „Między nami jaskiniowcami". 14.45 Wybieramy bohatera reportaży. 15.15 „Co, gdzie, kiedy w nowym roku?" — inf. kult. Studia — 2. 15.35 Wybieramy bohatera reportaży. 16.00 „Zaczarowany świat operetki" — program B. Kaczyńskiego. 16.45 Wybieramy bohatera reportaży. 17.10 Sporty dziwne i ciekawe — czyli sport w Studiu — 2. 17.35 Wybieramy bohatera reportaży. 18.00 „Między nami jaskiniowcami". 18.25 Wybieramy bohatera reportaży. 18.55 George Hamilton IV — w programie muzycznym „Blue Train". 19.00 Dziennik. 20.00 Studio — 2 wita w wieczornej części bloku. 20.10 Odwaga i ryzyko w sporcie. 20.30 Wybieramy bohatera reportaży. 21.00 „Pussycat" — program rozrywk. 21.25 Wybieramy bohatera reportaży. 21.50 Kabaret Olgi Lipińskiej — „Jubileusz". 23.15 „Bombowy temat" — kanadyjski film sensacyjny.

NIEDZIELA

PROGRAM I

9.00 Dla młodych widzów: „Teleranek TDC": w programie m. in.: serial TV czechosłowackiej „Arabella" (1). 10.15 „Po drugiej stronie ekranu". 10.30 „Hollywood" — angielski serial dok. 11.25 „Zrodzona w walce" — wojsk. film dokument.

DZIEŃ DZIENNIKA

11.55 Transmisja hejnału z wieży Mariackiej w Krakowie. 12.10 „Nie tylko muzyka". 12.15 Goście Studia DT. 12.25 „Jak to się zaczęło?". 12.40 Goście Studia DT. 12.50 „Jak ro- Goście Studia DT. 14.40 „Nie tylko muzyka". 13.15 Sport 82 — sportowe wydarzenia minionego roku. 14.00 „Przygody Sindbada". 14.25 Goście Studia DT. 14.40 „Nie tylko muzyka". 14.45 „Jak wygrać milion?". 15.10 Losowanie Toto-Lotka. 15.25 Goście Studia DT. 15.30 Świat — fakty 82. 16.00 „Karnawał" (2) — radziecki film fabularny. 17.15 Goście Studia DT. 17.25 DT i Widzowie. 18.10 Goście Studia DT. 18.20 Zaproszenie do teatru „Syrena". 19.00 Dobranoc. 19.30 Dziennik. 20.00 Pytania do dziennika. 20.15 „Szpital na peryferiach" (15) — serial fabularny TV CSRS. 21.20 Goście Studia DT. 21.30 „Mam inne zdanie". 21.50 „Nie tylko muzyka". 21.55 Goście Studia DT. 22.05 Sportowa niedziela. 22.20 Program rozrywkowy. 22.50 Goście Studia DT. 23.00 „Nie tylko muzyka". 23.10 Dziennik. 23.25 Zdjęcia rodzinne.

PROGRAM II

9.55 „Szpital na peryferiach" (15) (wersja dla niesłyszących). 10.55 Wojsko i muzy — Świeradów 82. 11.25 „Spotkania" — Praha: zabytki i legendy.

„DWÓJKA" PREZENTUJE

12.00 „Wspomnienia z dyskoteki". 13.00 Teatr dziecięcy z Poznania. 13.25 „Gdy zapłonie ognisko...". 13.50 Telewizja Szczecin proponuje. 14.10 „Program waszych życzeń" (1). 14.25 Odcinek nowej serii filmowej. 15.25 „Przed i za kamerą". 15.50 „Program waszych życzeń" (2). 15.55 „Na estradach świata". 16.30 „Program waszych życzeń" (3). 16.45 „Bitwy morskie". 17.20 W starym kinie: „Profesor Wilczur" — polski film archiwalny. 19.00 „Religie świata". 19.30 Dziennik. 20.00 Piosenki na zamówienie. 20.15 „Tysiąc pytań" — nowy teleturniej W. Pijanowskiego. 21.10 „Program waszych życzeń" (4). 21.15 Telewizja Kraków proponuje. 21.45 „Program waszych życzeń" (5) — finał akcji. 22.05 „Martin Eden" — jeden z odcinków nowego serialu fabularnego na podstawie powieści Jacka Londona.

OGŁOSZENIA DROBNE

TOBIE służy biuro matrymonialne „NADZIEJA" — 25-001 Kielce, skrytka pocztowa 390.

SZCZĘŚLIWIE kojarzy małżeństwa Biuro Matrymonialne „Mazury", Olsztyn 2, skrytka 336.

SĄDEL Ludwik, zam. Laskowa 203, zgubił wkładki zaopatrzenia N-401473 i N-401406 dla żony Stanisławy, wydane przez Urząd Gminy w Laskowej. A-257

SZYMCZYK Bronisław, zam. Sękowa 305, zgubił wkładki zaopatrzenia N-597256, N-597257 dla żony Józefy N-597258 dla córki Reginy, N-597259 dla córki Danuty, N-597260 dla syna Wiesława, N-597261 dla syna Romana, N-597262 dla córki Doroty, wydane przez Stadninę Koni w Siarach.

KRÓLOWI Tadeuszowi, zam. Dominikowice 230, skradziono wkładkę zaopatrzenia N-321821, wydaną przez Urząd Gminy w Gorlicach. S-34016

KOS Anna, zam. Podegrodzie 128, zgubiła wkładkę zaopatrzenia N-009996, wydaną przez Urząd Miejski w Nowym Sączu. S-34097

WAŃCZYK Kazimierz, zam. Klęczany 7, zgubił wkładkę zaopatrzenia N-186296, wydaną przez Spółdzielnię Inwalidów „Spójnia" w Starym Sączu. S-34098

JANOWIEC Stanisław, zam. Chabówka 8a, zgubił wkładkę zaopatrzenia N-424411, wydaną przez Wagonownia PKP Nowy Sącz — Oddział Rewizji Technicznej Utrzymania i Napraw Wagonów Chabówka. S-34099

SZOŁDROWSKI Stanisław, zam. Trzetrzewnia 186, zgubił wkładkę zaopatrzenia N-347093, wydaną przez Bielskie Przedsiębiorstwo Budowlano-Przemysłowe w Bielsku-Białej. S-34100

BIGOS Maria, zam. Frydman 192, zgubiła wkładkę zaopatrzenia N-225063, wydaną przez PUPiK RSW „Prasa-Książka-Ruch" w Nowym Targu. S-34001

URYDZE Wiesławowi, zam. Chomranice 9, skradziono wkładkę zaopatrzenia, N-0066348 wydaną przez Wojewódzki Szpital Zespolony w Nowym Sączu. S-34002

BĄK Małgorzata, zam. Nowy Sącz, Dunajcowa 145, zgubiła wkładkę zaopatrzenia N-010378, wydaną przez ZUS — Oddział w Nowym Sączu. S-34009

URYGA Barbara, zam. Kamionka Mała 54, zgubiła wkładkę zaopatrzenia N-403813, wydaną przez Urząd Gminy w Laskowej. S-34004

CAPARCZYK Piotr, zam. Krynica, ul. Słoneczna 95, zgubił wkładkę zaopatrzenia N-300431, wydaną przez MPGK w Krynicy. S-34006

GRYBEL Zofia, zam. Grybów, Kazimierza Wielkiego 25, zgubiła wkładkę zaopatrzenia N-271761, wydaną przez Urząd Miasta i Gminy w Grybowie. S-34007

DUDZIK Ludwika, zam. Jurków 32, zgubiła wkładki zaopatrzenia N-439039, N-439070 dla syna Jana, N-439071 dla męża Władysława, wydane przez Urząd Gminy w Dobrej. S-34008

ROMANOWSKI Marek, zam. Nowy Targ, ul. Podhalańska 2/68, zgubił wkładkę zaopatrzenia N-467331, wydaną przez GS „Samopomoc Chłopska" w Zakopanem S-34003

PORĘBSKI Józef, zam. Przysietnica 144, zgubił wkładki zaopatrzenia N-181906, N-181907 dla córki Urszuli, N-181908 dla syna Henryka, N-181909 dla syna Marka, N-181999 dla żony Marii, wydane przez Miejsko-Gminny Zespół Ekonomiczno-Administracyjny Szkół w Starym Sączu. S-34012

KAWECKI Jerzy, zam. Kęty, os. Leśne 25, zgubił wkładkę zaopatrzenia N-127823, wydaną przez Przedsiębiorstwo Polonijno-Zagraniczne „Adrema" w Nowym Sączu. S-34011

DUNAJEC — tygodnik Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Redaguje zespół: Danuta Binek, Beata Dembowska, Krzysztof Dobosz, Krzysztof Dybel, Elżbieta Glinka (z-ca redaktora naczelnego), Lucyna Kaszuba, Jerzy Leśniak, Adam Ogorzałek (redaktor naczelny), Franciszek Palka (redaktor graficzny), Krzysztof Podbiera (redaktor techniczny). Adres redakcji: 33-300 Nowy Sącz, Al. Wolności 49. Telefony: 238-36, 238-90. Telex: 0322748. Oddział w Krakowie: ul. Wielopole 1, pok. 58, telefon: 22-32-08, 22-75-88, wewn. 238, telex: 0322491. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa-Książka-Ruch" Krakowskie Wydawnictwo Prasowe w Krakowie, ul. Wiślna 2. Druk: Zakłady Poligraficzne RSW w Krakowie, ul. Wielopole 1.

Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Ogłoszeń, ul. Wiślna 2, 31-007 Kraków, telefon: 22-70-89 oraz wszystkie Biura Ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch" na terenie całego kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 23, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11. Nr indeksu 35657.. K-2

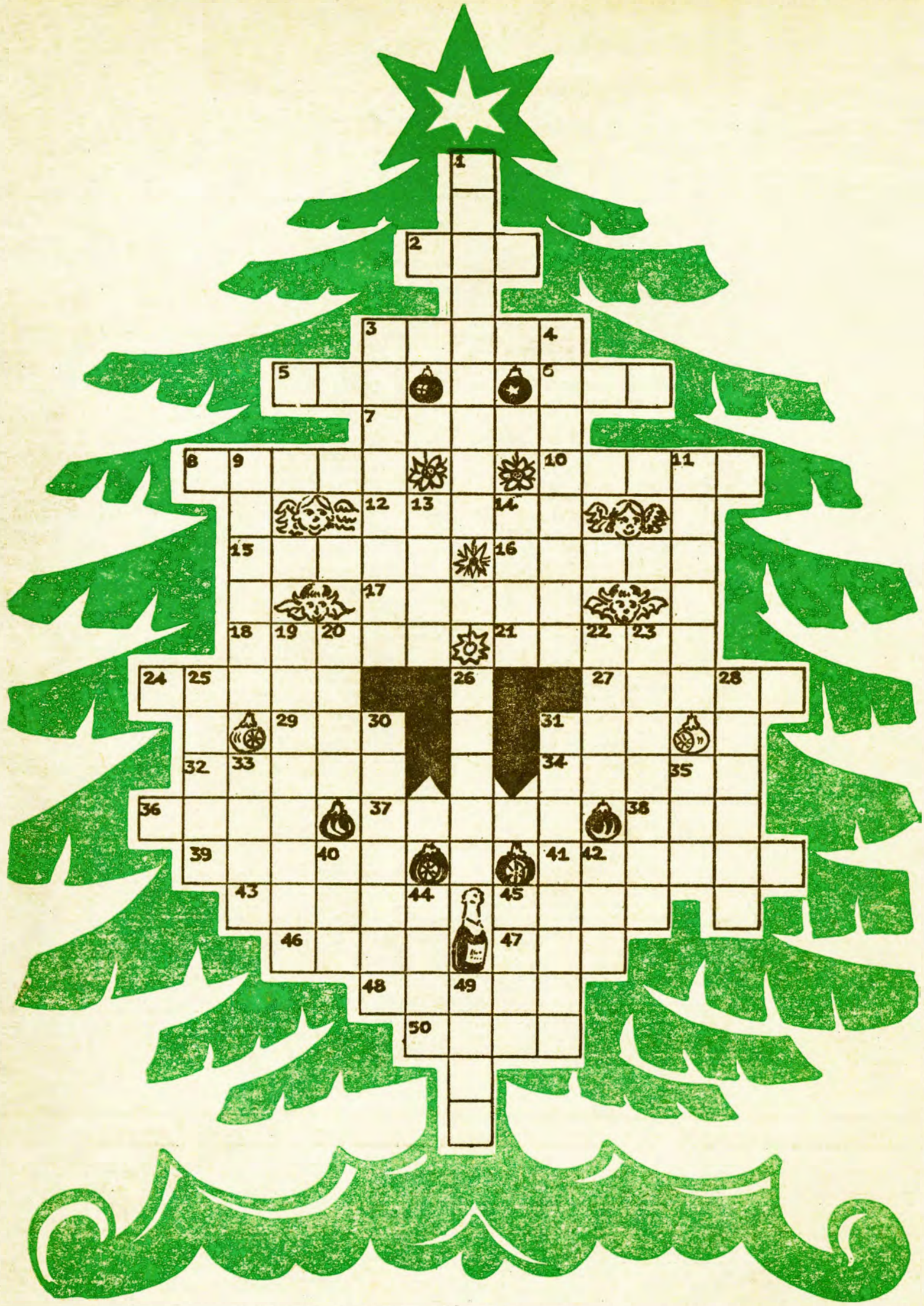

POZIOMO: 2) prawy dopływ dolnej Wisły; 3) ssak z podgromady torbaczy, przypomina niedźwiadka; 5) przodek bydła domowego; 6) faza księżyca; 7) polski odpowiednik tergalu; 8) miasto w woj. gdańskim nad Wisłą; 10) zespół aktorski w teatrze lub cyrku; 12) muza poezji miłosnej; 15) dochód z włożonego kapitału; 16) kochanek filmowy; 17) płazy bezogonowe z rodziny ropuszek, chronione; 18) w kościołach romańskich i gotyckich wąskie przejście wokół prezbiterium; 21) ssak nieparzystokopytny; 24) samica jelenia; 27) ssak z rodziny żyraf; 29) jednostka pracy i energii; 31) angielskie piwo jasne; 32) jedno z ramion ośmiornicy; 34) uporczywy, chorobliwy lęk przed określonymi sytuacjami, zjawiskami; 36) chwast polny i ogrodowy; 37) potocznie dźwignia do podnoszenia ciężarów; 38) niski głos żeński; 39) część posiłku; 41) „...i mieczem; 43) służy do odspajania skał, gruntów spoistych; 45) potocznie myśl, pojęcie, pomysł; 46) ogon lisa; 47) jeden z produktów spalania; 48) żargon, gwara środowiskowa; 50) koleżanka Bolka i Lolka.

PIONOWO: 1) karnawałowa zabawa; 3) raki pływające; 4) nauka o budowie organizmu człowieka, zwierząt i roślin; 9) bylina warzywna; 11) naczynie w kształcie misy na nóżce; 13) większe, uroczyste przyjęcie wieczorowe bez tańców; 14) wzgląd na drugich, delikatność; 19) orka; 20) żaglowiec handlowy o 3—5 masztach, z ożaglowaniem rejowym; 22) najwybitniejszy europejski podróżnik średniowiecza, Wenicjanin; 23) sztuka układania kwiatów; 25) wschodnie imię męskie; 26) miasto we Włoszech, ze słynną romańsko-gotycką bazyliką S. Antonio; 28) przedmiot metalowy pokryty cienką warstwą cenniejszego metalu; 30) żaglowiec handlowy o wypukłych burtach i zaokrąglonej rufie, 2 lub 3 masztowy, używany w XVI—XVII w.; 31) bogini miłości i piękności; 33) wysokoprocentowy (ok. 60 proc.) napój alkoholowy; 35) rzeka w Chinach i ZSRR; 40) rzeka w ZSRR, uchodzi do jez. Bałchasz; 42) część seta w tenisie; 44) szczęście, powodzenie; 45) symbol bóstwa, bożyszcze; 49) szkocko-angielska gra sportowa.

Rozwiązania prosimy przysyłać do dnia 10 stycznia 1983 r.